

PRZEDMOWA

Krzysztof
Rutkowski

Keith Schafferius
Grantlee Kieza

Odrzyśkane dzieci

 hachette
POLSKA

pisane przez życie

Keith Schafferius
Grantlee Kieza

Odzyskane dzieci

Jak daleko się posuniesz, by odzyskać swoje dziecko?

Co roku ginie w Polsce kilka tysięcy dzieci i nastolatków, z czego za uprowadzenie dzieci do szóstego roku życia najczęściej odpowiada jedno z rodziców.

Keith Schafferius jest prywatnym detektywem, który pomógł blisko stu uprowadzonym dzieciom powrócić do zrozpaczonych rodziców. Na rozwiązywanie spraw dzieci porwanych za granicę - wbrew wyrokom sądu - przez jednego z opiekunów, poświęcił blisko 30 lat swego życia. Pracował w takich krajach jak Polska, Jemen czy Filipiny, budując siatkę kontaktów, płacąc łapówki urzędnikom oraz niejednokrotnie ryzykując własnym życiem. A wszystko po to, by uprowadzone dzieci mogły znowu cieszyć się wolnością.

ISBN 978-83-7739-838-8



9 788377 398388



hachette
POLSKA
www.hachette.com.pl

patron medialny

recenzje • rozmowy • wydarzenia

książki
magazyn

www.rynek-ksiazki.pl

Keith Schafferius
Grantlee Kieza



Odkrykame
dzieci

 hachette
POLSKA

Przedmowa

Czuję się wyróżniony tym, że mogę podzielić się z Czytelnikami książki *Odzyskane dzieci* paroma refleksjami na temat poruszanej problematyki. Cieszę się, że mam okazję odnieść się do działalności Keitha Schafferiusa, z którym miałem przyjemność współpracować i którego wysoko cenię za profesjonalizm i zaangażowanie.

Wiem, że sprawom, w których w grę wchodzi dziecko, towarzyszą wielkie emocje, dlatego wymagają one wyjątkowego podejścia i wnikliwej, często trudnej oceny sytuacji. Jednak gdy zakończą się powodzeniem, przynoszą taką satysfakcję, której nie da się przeliczyć na żadne pieniądze.

Dziecko to bezbronna istota, całkowicie zdana na łaskę dorosłych, w pierwszej kolejności swoich rodziców. Żeby żyć i się rozwijać, potrzebuje opieki, ale przede wszystkim miłości. Dziecko chce kochać i być kochane. Pozbawienie go tej obustronnej miłości jest chyba największą krzywdą, jaką można mu wyrządzić, ale niestety bywa, że czynią to najbliżsi, czyli rodzice.

To zdarza się coraz częściej. Dwoje ludzi, którzy kiedyś się kochali, żyli razem, wspólne siadali do stołu, spali w jednym łóżku i mają dziecko, po rozstaniu stają się swoimi zaciętymi wrogami. Pochłonięci własnymi emocjami, czasem wręcz nienawiścią do byłego partnera, zapominają, że na polu ich walki znajduje się osoba najbardziej pokrzywdzona. Co gorsza, nie rzadko z premedytacją wykorzystują jej istnienie, żeby zranić partnera lub coś na nim wymóc. Dziecko staje się kartą przetargową w prowadzonym konflikcie, a nawet przedmiotem, który można odebrać drugiej stronie, żeby ją ukarać albo zmusić do określonych zachowań.

Szczególnie drastyczne przypadki uprowadzenia dziecka przez jedno z rodziców to te, w których matka lub ojciec pochodzi z innego kraju i wywozi dziecko do miejsca, które jest mu całkowicie obce, z którego językiem, kulturą i obyczajami nigdy wcześniej się nie zetknęło.

To pogłębia traumę spowodowaną samym wywiezieniem i rozstaniem z jednym z rodziców, z którym dotąd przebywało. Pod wpływem tych ciężkich przeżyć dziecko może utracić poczucie bezpieczeństwa i mieć urazy psychiczne.

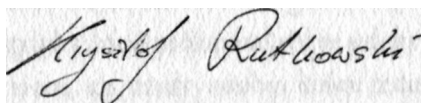
Wszyscy rodzice, którym odebrano dzieci, obok innych negatywnych emocji, mają ogromne poczucie bezsilności wynikające z daleko posuniętej niedoskonałości przepisów prawa i opieszałości instytucji, do których zwracają się po pomoc. Z powodu wszechobecnej biurokracji funkcjonują one często tak, jakby w ogóle nie chodziło o człowieka, dla dobra którego zostały powołane.

To właśnie ci zdesperowani ludzie przychodzą do biur detektywistycznych, ponieważ tylko w mniej konwencjonalnym

działaniu, niekiedy na granicy prawa, widzą szanse na odzyskanie dzieci. Keith Schafferius poświęcił temu problemowi czterdzieści lat pracy. Za jego sprawą około stu dzieci powróciło do domu, z którego je uprowadzono. Aby to osiągnąć, pracował w trudnych warunkach i często wiele ryzykował. Wiem, że konieczne są wtedy determinacja, umiejętność podejmowania błyskawicznych decyzji i niezachwiana wola doprowadzenia sprawy do szczęśliwego finału. Zdaję sobie sprawę, jak ciężko poradzić sobie z porażkami, które niestety również się zdarzają. Jego doświadczenia pokrywają się w pełni z tymi, jakie stały się moim udziałem.

Opowieść o pracy „detektywa od dzieci” jest tak barwna i niezwykła, że czyta się ją z zapartym tchem, jak wciągającą i świetnie napisaną powieść sensacyjną. Jednak sądzę, że jej istotna wartość kryje się gdzie indziej. Dzięki niej Czytelnik po chwili refleksji może inaczej spojrzeć na kwestię relacji międzyludzkich i hierarchię wyznawanych wartości.

Odzyskane dzieci to książka o wielkiej odpowiedzialności. Odpowiedzialności nas, dorosłych, za dziecko, które przecież nie inaczej, jak tylko dzięki nam, zjawia się na tym świecie, i chyba nie po to, żeby przez nas cierpieć.

A handwritten signature in black ink on a light-colored, textured background. The signature reads "Myszko Rutkowski" in a cursive script.

Detektyw "od dzieci"

Dzieci to najwspanialsze, co przytrafiło mi się w życiu. Kocham je bezwarunkowo. Fakt, że mogę obserwować, jak dorastają i stają się samodzielne, uważam za największe szczęście i dar od losu. W 2009 roku byłem wyjątkowo dumnym ojcem, ponieważ prowadziłem do ołtarza córkę Timiko. Dziś odnosi ona sukcesy jako prawniczka pracująca w Londynie, a jej życie kwitnie niczym kwiaty rosnące w moim ogrodzie w Brisbane - są więc powody, żeby się nią chwalić. Mój syn Kamball planuje właśnie ślub w tropikalnym rajku Port Douglas. Świadomość, że moje pociechy mają udane życie, napełnia mnie ogromną radością.

Przeraża mnie natomiast myśl, że coś mogłoby się im stać. Nie zniósłbym tego, gdyby ktoś próbował mi je odebrać. Dlatego doskonale rozumiem, co czuły osoby, które zastukały do drzwi mojego biura, ponieważ utraciły najcenniejszy skarb, jaki miały w życiu - swoich synów lub córki. Bez mojej pomocy nigdy więcej by ich nie zobaczyły.

Wychowałem się na farmie w Queensland, w dużej, choć biednej rodzinie. Już w dzieciństwie zabiegałem o szczęście

innych. Wyobrażałem sobie, że będę stróżem prawa albo oficerem śledczym, człowiekiem uczciwym i pełnym dobrych chęci. Dorosłym powtarzałem, że pewnego dnia zostanę policjantem. I zrealizowałem swoje dziecięce marzenia. Po odbyciu obowiązkowej służby wojskowej w australijskich siłach powietrznych i pracy w ASIO (Australijska Tajna Służba Wywiadowcza) rozpocząłem karierę detektywa, a potem specjalisty od odzyskiwania uprowadzonych dzieci. To niesamowita przygoda, w trakcie której zwiedziłem niemal cały świat i brałem udział w wielu bardzo trudnych akcjach. W ich trakcie nieraz korzystałem z pomocy agentów CIA i KGB, posługiwałem się fałszywymi paszportami i wchodziłem w układy z szemranymi pogranicznikami. Często była to niebezpieczna gra na granicy prawa. Czasem przekraczałem tę granicę, ale zawsze działałem w słusznej sprawie.

W mojej branży nie brakuje bezpieczniejszych, bardziej prestiżowych zleceń. Także takich, które pozwalają detektywowi całkiem sporo zarobić. Jednakja nigdy nie kierowałem się tylko chęcią zysku. Nie myślałem o nim nawet w trakcie najbardziej ryzykownych misji, kiedy mogłem trafić do więzienia lub zginąć. Na pierwszym miejscu zawsze stawiałem ludzi, zwłaszcza tych, którym nikt nie chciał pomóc. Zdarzało się, że za wykonane zlecenie nie brałem pieniędzy. Przyływ adrenaliny i niezwykła przygoda, połączone z satysfakcją, były dla mnie wystarczającą zapłatą. Przez czterdzieści lat byłem prywatnym detektywem i specjalizowałem się w odnajdywaniu uprowadzonych dzieci. Zwracali się do mnie ludzie, którzy stracili nadzieję. Robili to, ponieważ wiedzieli, że jeśli trzeba będzie polecieć na drugi koniec świata, to zaryzykują życie, aby sprowadzić ich pociechy do domu. Najczęściej

oznaczało to konfrontację z byłym małżonkiem lub partnerem, który nie pogodził się z decyzją sądu, bo niejemu przyznał opiekę nad potomstwem, i w efekcie porwał swoje dzieci.

Moja praca to wiele sukcesów, co nie oznacza, że udało mi się wykonać każde zadanie. Czasami jedynie pogłębiałem smutek osoby, która mnie wynajęła. Niestety w tej branży nie zawsze można osiągnąć cel. Niekiedy odzyskanie uprowadzonego dziecka okazywało się zwyczajnie zbyt trudne.

„Rodzinny” kidnaping to coraz większy globalny problem. Departament Sprawiedliwości USA szacuje, że co roku na całym świecie uprowadzanych jest około 650 tysięcy dzieci. Jeżeli nielegalnie opuszczają ojczyznę i zostają przewiezione do jednego z państw respektujących konwencję haską, odzyskanie ich tylko teoretycznie jest proste. Ten międzynarodowy dokument zobowiązuje do wydania dzieci prawowitym opiekunom, ale w praktyce niestety różnie bywa, a takie sprawy potrafią ciągnąć się latami. Dzieci wywiezione do krajów niestosujących konwencji haskiej są w jeszcze trudniejszej sytuacji. Nie ma bowiem odpowiednich procedur, żeby przywieźć je z powrotem do domu, respektując obowiązujące prawo. W efekcie jedynie sześcioro na dziesięcioro uprowadzonych dzieci wraca do swojego prawdziwego domu. Mam w tym swój udział.

Kiedy rozpada się małżeństwo, powstają trzy różne wersje mówiące o przyczynach niepowodzenia związku. Są to wersja żony, wersja męża i trzecia opcja, z reguły najbliższa prawdy. O tę prawdę walczą ze sobą byli małżonkowie. I o dzieci. Nieraz miałem okazję się przekonać, co to znaczy, gdy miłość zmienia się w nienawiść i pragnienie zemsty. Podczas pracy uświadomiłem sobie, że rozwód w bolesny sposób

dotyka przede wszystkim najmłodszych, a zwłaszcza tych, którzy stają się zakładnikami swoich rodziców.

Kiedy człowiek traci ukochane dziecko, świat wali mu się na głowę. Znałem niejedną matkę czy ojca, którzy wskutek takiej przymusowej rozłąki stawali się agresywni lub wpadali w depresję. Frustracja i wściekłość doprowadzały ich do szaleństwa i nieroztropnych czynów. Byli jednak dorośli, więc łatwiej im było odnaleźć się w nowej sytuacji. Wyobraźcie sobie dezorientację dziecka, które wbrew swojej woli musi przejść przez podobne piekło. Małe, bezbronne i przerażone zostaje uprowadzone z rodzinnego domu. Traci przyjaciół i bliskich, porzuca swoje ukochane zwierzęta i całe dotychczasowe życie. Wkrótce trafia do dziwnego, nieprzyjaznego kraju po drugiej stronie kuli ziemskiej, gdzie ludzie mówią zupełnie innym, niezrozumiałym językiem. Dość często słyszy oszczerstwa pod adresem drugiego z rodziców. Jest okłamywane i wprowadzane w błąd. Manipuluje się jego emocjami. Dowiaduje się, że było niechciane bądź znienawidzone i postrzegano je jako ciężar. Często nie wie nawet, dokąd tak naprawdę trafiło. Wstrząs związany z uprowadzeniem powoduje ogromną traumę i to niezależnie od tego, czy wraca później do domu rodzinnego, czy też nie.

Niestety dzieci stają się często bronią wykorzystywaną przez dawnych kochanków w trakcie sprawy rozwodowej. Poznałem rodziców, którzy kłamali, że pociechy były molestowane seksualnie przez drugiego opiekuna, i nie mieli skrupulów, by fałszować dowody. Ci ludzie decydowali się na oszustwo, żeby jeszcze mocniej zranić dawnego partnera. Potrafili zapłacić tysiące dolarów za pomoc w odzyskaniu potomstwa, a potem wcale się nim nie opiekowali. Po wygranej sprawie

w sądzie podrzucali je komuś z rodziny i szybko o nim zapominali. Dlatego z odzyskiwaniem uprowadzonych dzieci wiąże się wiele problemów etycznych. Im bardziej angażowałem się w prowadzone sprawy, tym lepiej docierało do mnie, jak trudno ocenić, kto ma rację i po czyjej stronie leży prawda. Początkowo nie zamierzałem grać roli sędziego. Nie takie były moje intencje. Mało tego, pierwszą sprawę, jaką przyjąłem - a było to dobre trzydzieści pięć lat temu - wybrałem wyłącznie ze względów finansowych. Okoliczności mnie nie interesowały! Wiedziałem tylko, że mam przed sobą zdesperowanego ojca chcącego odzyskać swoje dzieci. Cóż, byłem wtedy młodym, pełnym entuzjazmu chłopakiem marzącym o karierze detektywa. Zamierzałem po prostu wypełnić polecenie klienta. Jednak kiedy rozpocząłem śledztwo i odnalazłem jego pociechy, uświadomiłem sobie, jak wielki wpływ będę miał na ich życie. Zrozumiałem, że muszę kierować się ich dobrem, a nie dobrem płacącego. Od tej pory wszystkie zlecenia - a było ich już ponad sto - rozpoczynałem od dokładnego wywiadu środowiskowego. Musiałem mieć pewność, że pracuję po właściwej stronie.

Niektórym klientom odmówiłem. Przed podjęciem ostatecznej decyzji dowiadywałem się możliwie wiele o rodzicach uprowadzonego dziecka. Rozmawiałem z ich sąsiadami i krewnymi, odwiedzałem parafie, szkołyki niedzielne i przedszkola, a także byłych pracodawców. Starałem się ustalić, który z rodziców powinien zająć się synem lub córką. W wielu przypadkach dochodziłem do wniosku, że dzieciom będzie lepiej z osobą, z którą właśnie są, i nie podejmowałem się zlecenia.

Rodzice, którzy porwali swoje dzieci i których ścigałem po całym świecie, z reguły mnie przeklinali. Nazywali przy tym

bezwzględny najemnik i człowiekiem, który zmienił ich życie w piekło. Tymczasem w większości przypadków stały za mną wyroki sądów. Ale tam, gdzie docierałem, nie zawsze można było je wyegzekwować zgodnie z prawem.

W ciągu tych wszystkich lat wielokrotnie mnie śledzono i ścigano, strzelano do mnie i mi grożono. Spędziłem tydzień w jemeńskim więzieniu, modląc się, żeby kat nie ściał mi głowy. Szukałem porwanego dziecka, unosząc się nad filipińską dżunglą w prywatnym śmigłowcu prezydenta, a także pomogłem przekonać amerykańskich kongresmenów do zmiany prawa dotyczącego uprowadzeń.

Niebezpieczeństwo zawsze było częścią mojej pracy. W trudnych chwilach wracałem myślami do przygód, które przeżyłem w młodości na farmie mojego ojca. Odebrałem od niego niejedną lekcję. Nauczyłem się być twardy i polegać przede wszystkim na sobie. Umiałem zachować zimną krew w najtrudniejszych i najbardziej zaskakujących sytuacjach. Być może dlatego inni detektywi zaczęli mówić o mnie „pan Valium”. Dostałem tę ksywkę, ponieważ trudno było wyprowadzić mnie z równowagi. Zachowywałem pokerową twarz zarówno w obecności zleceniodawców, jak i moich przeciwników, których ścigałem na wszystkich kontynentach. Czy gdybym nie wierzył w siebie, wzbudzałbym zaufanie w ludziach, którzy mieli powierzyć mi życie swoich ukochanych dzieci?

Często mnie pytano, dlaczego przyjmowałem tak ryzykowne zlecenia. Zawsze przecież mogłem odmówić. Jednak gdy dowiadywałem się od cierpiącego rodzica o jego tragedii, czułem się zobowiązany, żeby mu pomóc. Większość moich klientów była przeraźliwie samotna. Często jedyną osobą, którą kochali, było nielegalnie odebrane im dziecko.

Nieszczęście polegało na tym, że nie znali miejsca jego pobytu i bardzo przeżywali tę stratę. Niejednokrotnie zmagali się też z brakiem pieniędzy i barierami urzędowymi, których nie potrafili ominąć...

Byli załamani, samotni i zdesperowani. Musiałem im pomóc.

Złamane serce

Wiosną 1992 roku do mojego biura w biznesowej dzielnicy Brisbane przyszły dwie zdenerwowane Polki. Pierwsza z nich, Marianna Wojtek, miała około czterdziestu lat, jasne włosy, była szczupła i wyglądała na wyczerpaną. Druga - Danuta Keical, ciotka Marianny - zbliżała się do siedemdziesiątki. Kobiety usiadły i zaczęły opowiadać. Dowiedziałem się wówczas, że jedenaście miesięcy wcześniej były mąż Marianny uprowadził dwójkę ich dzieci i wywiózł je do Polski, gdzie żyły w nędzy, choć to Mariannie sąd przyznał opiekę nad synem i córką.

Kiedy Marianna i Danuta trafiły do mojego biura, były kłębkiem nerwów. Załamując z rozpaczny ręce, przedstawiły historię, która poruszyła mnie do głębi. Marianna opuściła komunistyczną Polskę w 1974 roku jako dziewiętnastolatka. Wychowała się w kraju pogrążonym w głębokiej biedzie, więc kiedy nadarzyła się okazja, żeby przenieść się na drugą stronę globu, postanowiła z niej skorzystać. Osobie przyzwyczajonej do pustych półek w sklepie i długich kolejek po podstawowe produkty Australia wydawała się krajem nieograniczonych możliwości.

Po przybyciu do Brisbane ta drobna, pracowita dziewczyna zaczęła sprzątać toalety. W ciągu pięciu lat zaoszczędziła dość pieniędzy, żeby kupić dom w Buranda na przedmieściach Brisbane, niedaleko Gabba, słynnego stadionu do gry w krykieta. W 1983 roku wyszła za mąż za Stana Wojtkę, niezbyt atrakcyjnego, zwalistego mężczyznę o grubym karku. Połączyło ich pochodzenie i wychowanie, a także - jak sądziła Marianna - podobne marzenia. Stan miał w Polsce syna z poprzedniego związku, ale postanowił żyć na antypodach i zacząć wszystko od nowa.

Początkowo dziewczyna czuła się w małżeństwie jak w niebie. Jednak gdy urodziła dwoje dzieci, Jenny i Antona, uświadomiła sobie, że chyba popełniła błąd. Jej mąż stał się apodyktyczny i coraz częściej wybuchał gniewem bez powodu. Chętnie sięgał po pędzony w domu bimber, po którym wszczynał awantury, i był agresywny wobec żony i dzieci. Po pięciu latach małżeństwa Marianna i Stan stali się sobie obcy. Gdy Marianna straciła cierpliwość do męża, wyprowadziła się z domu i zabrała ze sobą dzieci. Jednak po kilku tygodniach nalegań z jego strony postanowiła dać Stanowi szansę. Wróciła, ale we wzajemnych relacjach małżonków nic się nie poprawiło, dlatego ponownie się wyprowadziła. W 1988 roku, tuż przed Bożym Narodzeniem, podjęła decyzję o ostatecznym zakończeniu związku. Stan postarał się jednak o ładne prezenty i miłą atmosferę na święta, przeprosił żonę i obiecał, że popracuje nad sobą. Marianna dała mężowi kolejną szansę, czego żałowała już po tygodniu. Zaproponowała wówczas wspólną wizytę u psychoterapeuty rodzinnego. Stan się nie zgodził. Znowu stał się agresywny, więc kobieta przestała wierzyć w szczęśliwą przyszłość u jego

boku. Złożyła pozew o rozwód. W 1990 roku prawnik Stana próbował przekonać Mariannę do podpisania papierów, w myśl których mąż mógłby przebywać w jej domu nawet po rozwodzie. Kobieta odmówiła i zaczęła planować sobie przyszłość - już bez męża.

W sierpniu 1991 roku skierowała sprawę do sądu i rozpoczęła prawną bitwę z ukochanym o dzieci. Nie zakazywała mu jednak kontaktów z nimi. Chciała, żeby ośmioletnia wówczas Jenny i sześciolatek Anton pozostali w dobrych stosunkach ze swoim tatą. Nie spodziewała się, że Stan szykuje niespodziankę, która zmieni jej życie na zawsze.

22 września 1991 roku sąd rodzinny przyznał Mariannie opiekę nad dziećmi. Dzień wcześniej Stan odebrał paszporty Jenny i Antona. Wyrobił je w tajemnicy, fałszując podpis żony na formularzach imigracyjnych. Mało tego, podał telefon krewnej w rubryce, w której powinien znaleźć się kontakt do jego byłej małżonki. Kiedy urzędnik zadzwonił pod wskazany numer, żeby się upewnić, czy wszystko jest w porządku, kobieta przedstawiła się jako matka dzieci i wyraziła zgodę na ich podróż za granicę. Stan zarezerwował trzy bilety lotnicze do Warszawy. Planował polecieć z dziećmi we wtorek 15 października 1991 roku.

Tego dnia powiedział Mariannie, że zabierze dzieci do cyrku, i poprosił, żeby się nie martwiła, ponieważ wrócą później. O jedenastej rano pojawił się w szkole podstawowej, do której chodzili Jenny i Anton, i powiadomił nauczycielkę, że musi zabrać syna i córkę na umówioną wcześniej wizytę u dentysty.

O piątej po południu Marianna gotowała obiad. Spodziewała się, że za chwilę dzieci wpadną do domu. Będą

z przejęciem opowiadać niesamowite historie o klaunach, tygrysach i słońcach.

O szóstej po południu lekko się zaniepokoiła.

O siódmej poczuła, że pot spływa jej po plecach. Modliła się, aby to nie był wypadek samochodowy.

O ósmej zaczęła odchodzić od zmysłów.

O dziewiątej wpadła w panikę.

Pojechała do mieszkania Stana tylko po to, żeby się przekonać, że właściciel się wyprowadził. Zniknął zarówno jej były mąż, jak i wszystkie jego meble.

Nigdzie nie było też dzieci.

Kiedy Marianna poprosiła o pomoc policję, Stan, Jenny i Anton znajdowali się na pokładzie samolotu polskich linii lotniczych LOT. Właśnie opuścili Singapur i skierowali się w stronę Warszawy. Mężczyzna zapadł w sen i głośno pochrapywał. Dzieci błąkały się po samolocie.

Marianna czuła się bezsilna. Nie rozumiała postępowania męża - przecież pozwoliła mu widywać się z dziećmi tak często, jak tylko chciał. Być może dlatego nie podejrzewała, że mężczyzna zdecyduje się uprowadzić je na drugi koniec świata.

Kilka dni po porwaniu Stan zadzwonił do byłej żony. Obiecał, że wróci do Australii pod jednym warunkiem - otrzyma pełne prawa do opieki nad dziećmi. Marianna zrozumiała, że jeśli zgodzi się na jego propozycję, już nigdy ich nie zobaczy.

Załamana się. Bała się, że już nie odzyska dzieci, które do niedawna były całym jej światem. Postanowiła poruszyć niebo i ziemię, żeby znów mieć je przy sobie. Zgłosiła sprawę na policję, a potem prosiła o wsparcie duchownych i polityków.

Wszyscy bardzo jej współczuli, jednak okazywali się bezużyteczni. Powtarzali tę samą formułkę: „Tego typu sprawy wymagają czasu. Musi się pani uzbroić w cierpliwość. Pracujemy nad tym”. Marianna zrobiła wszystko, co mogła, żeby zmusić władze do działania. Nic nie wskórała.

Jedynie poseł Garrie Gibson postanowił pomóc Mariannie i dziesięć dni po uprowadzeniu Jenny i Antona napisał list do prokuratora generalnego. Poinformował go, że Stan szantażuje byłą żonę, i opisał jego próbę wymuszenia pełni praw do opieki nad dziećmi. „Ten mężczyzna twierdzi, że przyjedzie do Australii jedynie po dokument potwierdzający zrzeczenie się praw rodzicielskich przez byłą żonę. Dopiero kiedy go odbierze, pozwoli jej zobaczyć się z dziećmi. Pani Wojtek uważa, że ani policja, ani żadna inna instytucja w kraju nie udzieliły jej należytej pomocy”. Nawet takie wsparcie nie pomogło Mariannie i nie zachęciło władz do wspomżenia jej wysiłków zmierzających do odnalezienia dzieci. Mijały kolejne miesiące, lecz władze nie podejmowały żadnych działań. Marianna nie miała kontaktu z dziećmi. Dostawała jedynie pełne nienawiści listy od córki, która twierdziła, że nie chce jej widzieć. Każda taka wiadomość sprawiała, że kobieta wybuchała płaczem. Wiedziała jednak, że to mąż zmusza małą do wygłaszania podobnych twierdzeń.

W akcie desperacji Marianna napisała do najważniejszego Polaka, jakiego znała - papieża Jana Pawła II. Dyrektorka szkoły, do której chodziły jej dzieci, przekazała list nuncjuszowi papieskiemu w Canberze z prośbą o wstawiennictwo. Marianna otrzymała odpowiedź, ale nie była

usatysfakcjonowana. Ojciec Świąty nie mógł angażować się w międzynarodowe spory prawne.

W końcu kobieta postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce: wrócić do Polski, odnaleźć Stana i odebrać mu dzieci. Potrzebowała jednak pomocy profesjonalisty. W 1992 roku Polska nie należała do państw, które podpisały konwencję haską. Jeżeli skłócony małżonek chciał odzyskać uprowadzone dziecko, to musiał dogadać się ze swoim byłym partnerem. Prawo australijskie nie miało w takich sprawach zastosowania. Marianna sięgnęła po książkę telefoniczną, zobaczyła moje ogłoszenie, chwyciła słuchawkę i zadzwoniła do mojego biura, żeby umówić się na spotkanie. Kiedy pojawiła się w towarzystwie ciotki, była kłębkim nerwów. Z trudem radziła sobie z emocjami.

- Keith, zrobię wszystko, żeby odzyskać dzieci - powiedziała, szlochając. - Nie mam się do kogo zwrócić. Koszty nie grają roli, pokryję wszystkie. Będę miała pieniądze, obiecuję. Sprzedam dom w Buranda, byle tylko Jenny i Anton wrócili...

- Stan nie uprowadził dzieci z miłości - dodała Danuta. - Zrobił to, bo wiedział, że w ten sposób zrani Mariannę.

Naprawdę chciałem pomóc tym zdruzgotanym kobietom. Niestety przyszedł do mnie w nie najlepszym momencie. W sierpniu 1992 roku zamierzałem zrealizować swoje ambicje polityczne i wywalczyć miejsce w parlamencie Queensland. Dwa lata wcześniej nie udało mi się dostać do rady federalnej w Brisbane, więc tym razem postanowiłem się przyłożyć i cały swój wolny czas poświęcałem kampanii wyborczej.

- Chciałbym wam pomóc - powiedziałem. - Jednak wybory pochłaniają mnie całkowicie. Jeśli wygram, nie będę

w stanie wyjechać z Australii. Poza tym moja firma potrzebowała by kilku tygodni, żeby bliżej przyjrzeć się sprawie.

Moja odpowiedź z pewnością nie brzmiała zachęcająco, jednak obiecałem, że jeśli nie zostanę politykiem, to spróbuję im pomóc.

- Proszę pamiętać, że wyjazd do Polski i odebranie dzieci byłemu mężowi wiąza się z ryzykiem. Może nam grozić wieloletnie więzienie - powiedziałem. - Ambasada Australii nie udzieli nam pomocy. Jeśli jednak przekonam się, że dzieciom będzie lepiej w Australii niż ze Stanem, odbiorę muje.

Przede wszystkim chciałem się upewnić, czy historia Marianny jest prawdziwa. Wydawała się wiarygodną osobą, ale musiałem być pewny.

Oczywiście nie miałem okazji poznać Stana, jednak z opowieści Marianny wyłaniał się miłośnik alkoholu o dość nieprzyjemnym temperamencie. Tego typu mężczyźni z reguły nie byli dobrymi ojcami. Nie miałem natomiast wątpliwości, że dzieciom byłoby lepiej w Brisbane. Przyjaciele, którzy pochodzili z Polski, opowiadali mi o trudnych warunkach życia, jakie tam panowały. Nad Wisłą racjonowanie tak podstawowych produktów jak żywność czy benzyna było do niedawna czymś powszednim.

Marianna nie miała zamiaru ranić Stana. Chciała, aby pozostał częścią życia Jenny i Antona. Marzyła jednak, żeby dzieci wróciły do ich prawdziwego domu.

Choć bardzo się starałem, tym razem również nie rozpocząłem kariery politycznej. Przegrałem wybory, więc miałem czas. Dlatego postanowiłem pomóc pani Wojtek. Musiałem jednak mieć pewność, że podejmuję właściwą

decyzję. Potrzebowałem opinii kogoś, kto osobiście sprawdziłby, w jakich warunkach wychowują się dzieci. Marianna i Danuta przyszły do mojego biura rok po porwaniu. Upłynęło więc dostatecznie dużo czasu, żeby Jenny i Anton przyzwyczaili się do życia w nowym miejscu, poznali miejscowy język i kulturę. W takim przypadku sprowadzenie ich do domu niekoniecznie wydawało się najlepszym pomysłem.

I dlatego chciałem się dowiedzieć, jak im się żyje z ojcem. Potrzebowałem „szpiega” na miejscu, w Polsce.

Mój polsko-australijski przyjaciel powiedział, że ma znajomego w Warszawie, który kiedyś był milicjantem. Po upadku komunizmu Krzysztof Rutkowski - bo o nim mowa - otworzył niewielkie biuro detektywistyczne i szukał zleceń. Wysłałem do niego faks. Przedstawiłem się i poprosiłem, żeby odnalazł rodzinę Stana. Rutkowski ucieszył się, że może pomóc agencji detektywistycznej działającej na innym kontynencie. Na ogół zajmował się odnajdywaniem skradzionych samochodów. Po upadku muru berlińskiego tego typu kradzieże stały się prawdziwą plagą we wschodniej Europie.

Marianna przypuszczała, że jej mąż ukrył się z dziećmi w domu swojej matki na Śląsku, w Bytomiu. Było to wówczas brudne, podupadające miasto. Ponure osiedla na każdym kroku przypominały o panującej tam biedzie.

Krzysztof pojechał do Bytomia i odnalazł chylącą się ku upadkowi kamienicę, w której mieszkała matka Stana. Przez kilka dni obserwował jej mieszkanie. Któregoś poranka zauważył dwoje dzieci w wieku Jenny i Antona. Ciepło ubrane szły w stronę miejscowej szkoły. Rutkowski próbował dowiedzieć się o nich czegoś więcej. Szybko zorientował się, że niewiele o sobie mówiły obcym, jednak z całą pewnością

przyjechały do Polski rok wcześniej, a ich matka mieszkała w odległym kraju. Teraz opiekowała się nimi babcia, a czasami nawet prababcia.

Po kilku dniach obserwacji Krzysztof poszedł za dziećmi i zagadnął je na ulicy. Mówił po polsku, językiem, którym Jenny i Anton teraz się porozumiewali, choć nadal mieli silny australijski akcent. Nie chciał, żeby Stan i jego rodzina nabrali jakichkolwiek podejrzeń, dlatego nie wypytywał o matkę.

Stan wiedział, że w Australii poszukują go za sfałszowanie paszportów, więc zakazał dzieciom rozmawiania z obcymi ludźmi. Prosił, żeby nawet nie wspominały o swojej ojczyźnie. Nic dziwnego, że Jenny i Anton zachowywali się bardzo ostrożnie, a w swoich wypowiedziach byli niezwykle powściągliwi. Jednak podczas krótkiej rozmowy z nieznanym dzieckiem zwierzyły się, że mieszkają z babcią w dość obskurnym mieszkaniu, a ich ojciec pije i znacznie więcej czasu poświęca swojemu pierworodnemu synowi Michałowi. Jenny i Anton czuli się niekochani.

Krzysztof zakończył zadanie. Zadzwoił do mnie do Brisbane, powiedział, że odnalazł dzieci i jest pewny, że w Australii byłyby dużo szczęśliwsze.

To było zielone światło, na które czekałem.

Ucieczka

Jak już wspomniałem, w wyborach nie otrzymałem wystarczająco dużo głosów, żeby wejść do parlamentu. Po 29 września mogłem więc poświęcić cały swój czas Mariannie i jej dzieciom.

Zadzwoiłem do znajomego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i zapytałem o paszporty Antona i Jenny. Okazało się, że choć wyrobiono je na podstawie sfałszowanych dokumentów, to pozostawały ważne. Nie mogliśmy otrzymać kolejnych. Dowiedziałem się jednak, że do Polski powinienem zabrać fotografie paszportowe dzieci oraz odpisy decyzji sądu i na tej podstawie w ambasadzie wystąpić o specjalne dokumenty podrózne, które umożliwiłyby nam powrót do Australii.

W tym samym czasie starałem się lepiej poznać Mariannę, żeby dobrze się z nią dogadywać. Podziwiałem ją za to, że się nie poddała i nie przestraszyła odległości dzielącej ją od ukochanych dzieci. Co więcej, zamierzała towarzyszyć mi w niebezpiecznej misji. Planowałem wywieźć Jenny i Antona z Polski bez pytania o zgodę byłego męża Marianny, polskiej

policji i urzędników imigracyjnych, a to oznaczało, że musieliśmy dobrze się rozumieć i mieć do siebie zaufanie. Z tego powodu zaprosiłem ją do swojego domu w Wilston na południu Brisbane. Marianna zjadła obiad razem z moją żoną Yvonne oraz dziećmi, jedenastoletnim wówczas Kamballem i siedemnastoletnią Timiko.

Choć trudno mi się do tego przyznać, bo przecież zawodowo często zajmowałem się nieudanymi małżeństwami i znałem temat od podszewki, nie zdołałem uratować swojego. Najważniejszym powodem rozstania z żoną były moje częste wyjazdy. Ciągła rozłąka kładzie się cieniem na każdy związek, a Yvonne było szczególnie ciężko. Przez cały czas pomagała mi zarówno w domu, jak i w pracy. Czasami nawet angażowała się w moje śledztwa. Pamiętam, jak zatrudniła się jako kelnerka w restauracji w Brisbane - prowadziliśmy wówczas dochodzenie w sprawie rozwodowej. Wiem, że była dumna z tego, jak szybko rozwijała się moja firma.

Jednak na początku lat dziewięćdziesiątych byliśmy jeszcze szczęśliwą parą i zaproszenie Marianny do siebie uznałem za celne posunięcie. Chciałem ją po prostu uspokoić i sprawić, żeby czuła się komfortowo w moim towarzystwie. Zależało mi również na tym, żeby omówić szczegóły wyprawy. Tak wszystko zaplanowałem, aby cała operacja nie kosztowała zbyt wiele. Wiedziałem, że kobieta nie jest milionerką - sprzedała przecież dom, żeby sfinansować wyprawę po dzieci. Postanowiłem, że nie będziemy nocować w hotelach, które są drogie, tylko w skromnych pensjonatach. To samo dotyczyło wyżywienia. Liczyłem na to, że dzięki temu Mariannie zostaną jakieś pieniądze, z których skorzysta, gdy odzyska dzieci.

Moje propozycje ucieszyły Mariannę, choć jej nie uspokoiły. Kobieta obawiała się ryzyka związanego z akcją - w końcu w Bytomiu mogło pójść coś nie tak, jak planowaliśmy.

Poprosiłem mojego polsko-australiskiego przyjaciela, Waldka Kajzera, żeby pojechał z nami jako tłumacz. Jego syn grywał z moim w piłkę, poza tym to jego rodzina poleciła Krzysztofa Rutkowskiego. Dwudziestego października 1992 roku cała nasza trójka - Marianna, Waldek i ja - opuściła Brisbane i samolotem Lufthansy poleciała do stolicy Polski.

Zawsze chciałem odwiedzić ten kraj, ponieważ stamtąd pochodzili moi przodkowie. Nie sądziłem jednak, że już podczas pierwszej wizyty będzie mi groził areszt. Cóż, życie jest pełne niespodzianek.

Gdy tylko dolecieliśmy, nawiązałem kontakt z Krzysztofem. Podczas pierwszego spotkania przekonałem się, że zupełnie nie przypominał Jamesa Bonda. Okazał się drobnym, nierzucającym się w oczy mężczyzną. Świetnie znał się na swojej robocie i ją uwielbiał, dzięki czemu okazał się cennym sojusznikiem. Poprzez agencję nieruchomości załatwił nam tani nocleg na warszawskiej Starówce. Przed laty powstańcy prowadzili tu dramatyczną walkę o życie i starali się ocalić swoich bliskich. Uznałem, że to dobre miejsce, aby zacząć naszą misję.

Krzysztof mówił trochę po angielsku i przekonał mnie, że warto nadal korzystać z jego pomocy. Zatrzymał się w swoim warszawskim mieszkaniu, podczas gdy my spędziliśmy tydzień w kamienicy, w której starsza pani prowadziła hotel. Świetnie gotowała i codziennie serwowała nam przepyszne ciasta, kopytka domowej roboty oraz barszcz. Jednak Marianna nie miała na nic ochoty. Przez cały czas myślała

tylko o swoich dzieciach i pytała mnie, czy dobrze postępuje. Powtarzałem jej, że podjęła słuszną decyzję.

Krzysztof załatwił nam również samochód marki Volvo, żebyśmy mogli swobodnie się przemieszczać, a przy okazji zaplanować trasę ucieczki. Zanim jednak przystąpiliśmy do akcji, pojechaliśmy do australijskiej ambasady w Warszawie, żeby przedstawić sytuację i poprosić o pomoc.

Pracownicy ambasady stwierdzili, że nie mogą przygotować nowych paszportów, dopóki Anton i Jenny nie znajdą się ponownie pod opieką matki. Wydawali się jednak chętni do współpracy. Gdyby Marianna przyprowadziła dzieci ze sobą, zrobiliby, co w ich mocy, by cała trójka legalnie opuściła kraj z niezbędnymi dokumentami. Niestety na razie nie było to możliwe. Moja rola polegała na tym, żeby to zmienić.

Kiedy przyjechaliśmy do Polski, złoty nie był mocną walutą. Rządził amerykański dolar, który idealnie nadawał się do przekupywania policji oraz urzędników. Za dolary Marianny Krzysztof wypożyczył forda transita - dużego vana, którym mieliśmy uciec. Uznałem, że to dobry wybór, ponieważ samochód miał świetne przyspieszenie, a na drodze zachowywał się jak zwykły sedan. Brytyjska policja szacowała nawet, że w latach siedemdziesiątych blisko 95 procent napadów rabunkowych zostało dokonanych przez przestępców poruszających się właśnie takim fordem. Problem w tym, że firma, która dostarczyła nam samochód, upierała się, żeby jeden z jej kierowców stał nam towarzyszył. Krzysztof rozumiał właścicieli. Obawiali się kradzieży auta, co było normą w tamtym czasie w Polsce.

Początkowo planowaliśmy przewieźć dzieci przez czechosłowacką granicę i stamtąd udać się do Niemiec, jednak po wizycie w ambasadzie uznaliśmy, że powinniśmy działać

zgodnie z prawem. Plan był w sumie dość prosty: pojechać na Śląsk, zapakować dzieci do samochodu i popędzić z nimi do stolicy. Szybko wyrobić im nowe paszporty, a potem pojawić się na lotnisku, i to zanim lokalne władze zorientują się, co się stało. Mieliśmy przy tym nadzieję, że w drodze z Bytomia do Warszawy nie zatrzyma nas policja. Ryzykowaliśmy, ale wierzyłem w powodzenie misji. W przeszłości brałem udział w podobnych akcjach i zawsze mi się udawało.

Warszawę opuściliśmy w towarzystwie przydzielonego nam kierowcy. Wyjechaliśmy przed świtem, ponieważ czekało nas 280 kilometrów drogi do Bytomia. Według przewodnika trasa powinna zająć nieco ponad cztery godziny, jednak przejąłem kierownicę i wycisnąłem z transita wszystko, co się dało. Na Śląsk dojechaliśmy znacznie szybciej.

W nocy przed wyjazdem żadne z nas nie zmrużyło oka z powodu stresu. Gdyby policja zatrzymała nas z dziećmi w samochodzie, w drodze do ambasady, groziłoby nam więzienie. Strach sprawił, że Marianna zamilkła na kilka godzin. Przez całą drogę nie odezwała się ani razu.

Mówiłem ja.

- Marianna, posłuchaj mnie teraz uważnie. Zrobisz, co ci powiem, dobrze? - poprosiłem. - Trzymaj się planu i działaj rozważnie. Pamiętaj, że być może będziemy mieć tylko jedną szansę, aby zabrać dzieci. Bardzo możliwe, że uda nam się przejąć zaledwie jedno z nich. Jeśli tak się stanie, będziemy musieli zapomnieć o drugim, w przeciwnym razie stracimy oboje. Najdrobniejszy nawet błąd może sprawić, że nasza misja zakończy się niepowodzeniem.

Marianna słuchała, jednak myślami była w zupełnie innym miejscu. Świadomość, że jedno z dzieci może zostać w Polsce

- przed czym ostrzegałem ją od kilku tygodni - nie dawała jej spokoju.

Większość polskich dróg była wyboista, a jazda nimi przypominała przejażdżkę kolejką górską. Mimo to pędziliśmy w stronę Bytomia, rozganiając światłami unoszące się nad pół mgły. Zimno i panujący wokoło półmrok wpływały niekorzystnie na kondycję psychiczną Marianny. Wydawała się spięta. Cieszyła się, że niedługo zobaczy dzieci, ale jednocześnie martwiła się, że jeśli coś pójdzie nie tak, utraci je już na zawsze.

Około szóstej rano zatrzymaliśmy się na chwilę pod domem, w którym mieszkał Stan ze swoją matką i z dziećmi. Było szaro i zimno, ale Mariannie pot wystąpił na czoło. Po chwili ruszyliśmy z miejsca, żeby zaparkować kilka przecznic dalej, przy drodze, którą według Krzysztofa dzieci chodziły do szkoły. Wokoło gęstniała mgła.

W samochodzie zapadła cisza. Wszyscy czekaliśmy, aż miasto zbudzi się ze snu.

Spodziewaliśmy się, że dzieci będą szły razem, jednak około siódmej trzydzieści na horyzoncie pojawiła się zaledwie jedna niewysoka postać. To był chłopiec, który niósł niewielki samolot zbudowany z klocków lego.

Marianna była w szoku.

- To naprawdę Anton? - zapytała. - Z tej odległości nie potrafię go rozpoznać.

- Wsiądź i podejdź do niego - pospieszyłem ją. - Porozmawiaj z nim po polsku. Przyrowadź go do samochodu.

- Ale Jenny... Gdzie jest Jenny?

Trzeba było szybko podjąć decyzję.

- Idź już! - krzyknąłem.

Marianna wyskoczyła z samochodu i zbliżyła się do chłopca. Kiedy ją mijał, dotknęła jego ramienia. Siedząc w transcie, zrobiłem zdjęcie dokumentujące ich ponowne spotkanie. Początkowo nie było one miłe.

- Anton! Anton! Toja, mama! - powiedziała Marianna.

Chłopiec odepchnął nieznaną osobę. Jak się potem okazało, Stan powiedział mu, że jego matka umarła, więc chłopiec był bardzo zaskoczony wyłaniającą się z mgły postacią.

Po roku pobytu w Polsce siedmioletni Anton niemal zupełnie zapomniał języka angielskiego. Nie miał również pewności, jak wyglądała jego matka.

Po chwili zatrzymał się jednak i uważnie przyjrzał kobiecie. Mrugnął kilka razy, by się upewnić, że nie śni. W końcu, pośrodku mroźnej zimy i leżącego wokół śniegu, w jego umyśle ożyły wspomnienia ze słonecznego Queensland. Złapał Mariannę za rękę. Kobieta zaproponowała mu odwiedziny u wujka, który mieszkał w Warszawie.

Oboje wskoczyli do samochodu. Anton wyjaśnił wówczas - po polsku - dlaczego nie ma z nim siostry. Okazało się, że Jenny chodziła do szkoły dla dzieci uzdolnionych sportowo, która znajdowała się w innej części miasta. Dziewczynka szła więc zupełnie inną drogą.

Pojechaliśmy tam. Marianna weszła z Antonem do budynku. Czekaliśmy w vanie, podczas gdy oni biegali od klasy do klasy, szukając Jenny i niepokojąc zarówno uczniów, jak i nauczycieli. Kobieta powiedziała mi później, że kiedy wreszcie zobaczyła córkę, jej serce zaczęło bić jak oszalałe.

Marianna pozwoliła synowi jako pierwszemu wejść do klasy. Chłopiec jak burza wpadł do środka.

- Mama przyjechała! - krzyknął na cały głos po polsku.

Jednak na Jenny nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Stan powiedział jej kiedyś, że mama nie umarła, tylko wyrzekła się dzieci. Nienawidziła Jenny i Antona i nie chciała mieć z nimi nic wspólnego. Właśnie dlatego ojciec zabrał je do Polski, gdzie mógł się nimi należycie zaopiekować.

Kiedy Marianna weszła do klasy, żeby przekonać córkę do powrotu do kraju, dziewczynka wpadła w histerię.

- Idź sobie stąd! Wynocha! - wołała. - Odczep się ode mnie! Nie chcę jechać do Australii! Chcę tu zostać z tatą!

Potem podbiegła do nauczycielki i przytuliła się do niej, patrząc z nienawiścią na matkę. Stan umiejętnie zatruł jej serce. Nauczycielka zagroziła, że wezwie policję.

Zachowanie córki doprowadziło Mariannę do płaczu.

- Proszę, pomóż mi - zwróciła się do prowadzącej lekcję kobiety. Mówienie przychodziło jej z najwyższym trudem. - Pozwól mi choć przez chwilę porozmawiać z córką. Przyjechałam z Australii, żeby coś jej wyjaśnić. Mój mąż uprowadził dzieci. To jedyna szansa, żebym je odzyskała.

- To nie moja sprawa - odpowiedziała nauczycielka. - Proszę stąd wyjść albo zadzwonię do ich ojca.

Anton przełamał impas. Chwycił swoją małą dłonią rękę matki i powiedział, że z nią pojedzie. Marianna zrozumiała, że musi podjąć bolesną decyzję. Decyzję, której tak bardzo się obawiała.

Musiała zostawić jedno ze swoich dzieci w Polsce.

Wyszła ze szkoły, płacząc. U jej boku maszerował Anton. Od razu zrozumiałem, że Jenny nie zgodziła się na wyjazd. Decyzja o pozostawieniu jej w Polsce była najtrudniejsza, jaką Marianna podjęła w swoim życiu.

- Musimy jechać - ponagliłem ją, gdyż wciąż wyglądała na oszołomioną. Następnie złapałem ją za ramię, by podkreślić powagę sytuacji. - Nauczycielka zadzwoni na policję. Jeśli nas tu znajdą, będziemy mieć więcej kłopotów, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. Anton chce jechać z nami do Australii, więc bierzmy go i spadajmy.

Marianna spojrzała na mnie mokrymi od płaczu oczami.

- Keith, nie zostawij jej tutaj - powiedziała. - Jak mogłabym to zrobić? Porozmawiam ze Stanem i z jego matką. Być może pójda po rozum do głowy.

- Marianna, czyś ty oszalała?! - wrzasnąłem,

- Proszę, Keith! Wracaj do Warszawy, ja zostanę tutaj, w Bytomiu. Spróbuję wyjaśnić im, co jest najlepsze dla dzieci.

Zrozumiałem, że mój prosty plan właśnie legł w gruzach.

- Przecież ich nie obchodzi, co jest najlepsze dla dzieci - odpowiedziałem. - Stan je porwał, żeby zrobić ci na złość. Chce, żebyś bardziej cierpiała.

Marianna mnie nie słuchała. Podjęła decyzję, która dla nas mogła oznaczać więzienie, a dla dzieci utknięcie w Polsce na kolejne długie lata. Nie mogłem jednakże zmusić do postępowania zgodnie z moją wolą. Chciała wykorzystać ostatnią szansę na odzyskanie dzieci. Wierzyła, że zdoła przekonać Stana. Dlatego niechętnie przystałem na jej prośbę. Na razie zawiozłem ją do naszego wynajętego pokoju.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, Marianna postanowiła się przejść. Krzysztof uparł się, by iść razem z nią. Stwierdził, że nie powinienem pozwalać jej na samotne spacer, bo sprowadzi to na nas nieszczęście. Uważał, że oszaleliśmy, a misja skazana jest na niepowodzenie. Poprosił także o zapłatę. Chciał ją otrzymać, zanim pojawi się policja i zostaniemy aresztowani.

Ja też chciałem czym prędzej wydostać się z Polski.

- Poczekam na ciebie w Warszawie, ale tylko kilka dni
- powiedziałem Mariannie. - Potem wracam do Brisbane.
Dojedź do nas pociągiem, z Antonem i Jenny, jeśli zdołasz ją
przekonać. Ale obawiam się, że tylko tracisz czas.

Kiedy wyjechaliśmy z Bytomia, Marianna zabrała syna do teściowej, której nigdy wcześniej nie widziała. Anton poprowadził ją schodami na drugie piętro. W mieszkaniu przywitał ich owczarek niemiecki, który na widok Marianny zawarczał i obnażył kły. Matka Stana okazała się znacznie sympatyczniejsza niż syn i ucieszyła się na widok byłej synowej. Okazało się, że syn nie powiedział jej, w jaki sposób wywiózł *dzieci* z Australii. Utrzymywał, że uzgodnił wszystko z Marianną, która miała przyjechać do nich na wakacje. Uśmiech na jej twarzy zgasł, kiedy dowiedziała się, że Stan kłamał. Marianna poprosiła teściową o pomoc.

- Chciałabym zabrać dzieci, zanim mój były mąż wróci do domu. Postaram się pani odwdzińczyć! - obiecała.

Jednak kobieta bała się swojego syna.

Kilka godzin później Jenny wróciła ze szkoły. Kiedy zobaczyła Mariannę w domu babci, znów zaczęła krzyczeć.

Sytuacja zrobiła się nerwowa. Dodatkowo pogorszyła się, kiedy po pracy pojawił się Stan. Dziewczynka wskoczyła mu na kolana.

- Wynos się z naszego domu! - rozkazała matce i przytuliła się do ojca.

Zdesperowana Marianna posunęła się do groźby. Oświadczyła, że z pieniędzy ze sprzedaży domu opłaciła w Warszawie prawnika i zamierza walczyć o swoje dzieci.

- No i co z tego? - zapytał Stan i wzruszył ramionami. Najwyraźniej bawiła go ta sytuacja.

Potem wyjaśnił, że planował zabrać dzieci na noc do ich prababci. Zgodził się, żeby Marianna pojechała z nimi, choć od razu dodał, że na pewno nie oddaje dzieci.

Droga do starego, ceglanego domu zajęła im dwadzieścia minut. Chłodne, wieczorne powietrze nie przeszkodziło im jednak w kłótni. Na miejscu okazało się, że budynek jakiś czas temu spłonął i nie został jeszcze wyremontowany. Wewnętrzne ściany były czarne, a w kranach była tylko zimna woda. Jenny i Anton spędzili noc w niewielkim łóżku, obok siebie.

Marianna była zaszokowana warunkami, w jakich żyły jej dzieci. Błagała Stana, żeby pozwolił jej zabrać je do Australii.

Mężczyzna oświadczył, że nawet gdyby całowała go po stopach, nie zgodziłby się na to.

- Rób, co chcesz - dodał. - Dzieci zostają ze mną.

Marianna nie wiedziała, co robić, postanowiła jednak przed pożegnaniem kupić dzieciom porządne ubrania i zabawki.

- Mamo, czy będziemy mogli zachować prezenty od ciebie, jeśli nawet nie zgodzimy się lecieć do Australii? - zapytała Jenny.

Mariannie zrobiło się przykro. Kochała swoje dzieci, więc słowa córki odebrała jako policzek. Mimo to pocałowała Jenny na pożegnanie i znalazła siłę, żeby wrócić ze Stanem do mieszkania jego matki. Po drodze znów się z nim pokłóciła. W końcu mężczyzna stwierdził, że pójdzie się napić.

- Wracaj do Warszawy - powiedział stanowczo. - Porozmawiaj ze swoim prawnikiem. Zresztą rób, co chcesz. Nie zobaczysz się z dziećmi, dopóki nie wyślesz mi kasy na ich utrzymanie. Dzieciaki zrobią, co im każę.

Marianna nie miała dokąd pójść. Została na noc u teściowej, co nie było dla niej łatwe. Kobieta okazała się gościnna, lecz nie zamierzała pomagać jej w walce ze swoim aroganckim synem.

- Nic nie mogę zrobić, żeby ci pomóc - powiedziała ze smutkiem w głosie.

Następnego ranka załamana i niewyspana Marianna poszła - już bez dzieci - na stację kolejową i kupiła bilet do Warszawy.

Później zwierzyła mi się, że w połowie drogi poczuła tak wielką pustkę, że myślała o wyskoczeniu z pędzącego wagonu. Wyglądała naprawdę żałośnie. Do naszego hotelu na Starówce dotarła zapłakana. Nie miałem wyboru, musiałem ją zrugać. Powiedziałem, że zachowała się bardzo niemądrze. Dodałem, że kontaktując się ze Stanem i z jego rodziną, naraziła również mnie.

Obawiałem się przede wszystkim, że Stan zorientuje się, że była żona będzie chciała wywieźć dzieci z kraju. Mógłby wówczas przewozić je z miejsca na miejsce i stale ukrywać. Nigdy byśmy ich nie odnaleźli.

- Mówiłem ci, że musimy trzymać się planu - przypomniałem ze złością w głosie. Oczywiście rozumiałem, co Marianna czuła, ale aresztowanie nas z pewnością nie pomogłoby jej dzieciom. - Co im powiedziałaś o mnie? Mam nadzieję, że nic?

- Nic im nie powiedziałam - oznajmiła, ocierając łzy.
- Stan myśli, że zatrudniłam w Warszawie prawnika.

Poprosiłam ją, żeby się przespała, i obiecałem, że w tym czasie wymyślę, jak wydostać się z tego bagna. W końcu zmęczona zasnęła, a ja próbowałem obmyślić plan ucieczki.

W nocy poszedłem do jej pokoju i ją obudziłem.

- Posłuchaj, przecież Anton chce z namijechać - powiedziałem. - Może pojedziemy po niego do Bytomia?

- Możemy to zrobić, Keith? - zapytała błagalnym tonem.

- Myślę, że nawet powinniśmy - wyjaśniłem. - Nie po to tutaj przyjechaliśmy, żeby wrócić z pustymi rękami.

Opłaciliśmy kierowcę i następnego dnia, 30 października, znów wyruszyliśmy vanem na Śląsk. Pod dom matki Stana przyjechaliśmy tuż przed ósmą rano.

Czekaliśmy, aż pojawi się Anton. Czekaliśmy i czekaliśmy. Jednak chłopca nie było.

Marianna bardzo się zdenerwowała. Widziałem, jak cała sztywnieje, a niewielka żyłka na jej szyi zaczyna pulsować. Rozglądała się na wszystkie strony.

- Pojedziemy do jego szkoły i stamtąd go zabierzemy - zaproponowałem. - Czy wiesz, gdzie to jest?

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała. - Pewnie niedaleko szkoły Jenny.

Nie radziłem sobie zbyt dobrze na wąskich bytomskich uliczkach, dlatego postanowiłem pojechać za maszerującymi ulicą dziećmi i przekonać się, dokąd idą. W pewnym momencie Marianna wyskoczyła z samochodu i zaczęła przepytawać, czy znaję jej syna.

W końcu odnaleźliśmy właściwą szkołę. Marianna wbiegła do środka i pobiegła do gabinetu dyrektora.

Mężczyzna okazał się podejrzliwy.

- Kim pani jest? - zapytał.

- Matką Antona. Czy chłopiec jest dzisiaj w szkole?

- A dlaczego pani pyta? Co się dzieje?

- Mój mąż przyjechał z dziećmi do Polski. Teraz ja dojechałam. Czy jest Anton?

- Nie, dziś go nie ma. Chłopiec ma chyba jakieś problemy
- wyjaśnił dyrektor.

Jego zdaniem w ostatnich tygodniach Anton był podenerwowany i nawet został wysłany do psychologa.

Ta wiadomość wstrząsnęła kobietą. Sama sporo przeszła, ale nie spodziewała się, że jej syn również cierpi. Zrozumiała, że za wszelką cenę musi go odebrać Stanowi.

„Dokąd teraz?“, zastanawialiśmy się. Skoro w mieszkaniu babci nie było śladu Antona, być może należało go szukać u prababci. Dzięki Mariannie, która była tam ze Stanem, udało nam się nie zgubić w obcym mieście. W końcu dotarliśmy do zniszczonej kamienicy.

Marianna zadzwoniła do drzwi.

- Kto tam? - zaskrzeczała stara kobieta.

Marianna szybko wymyśliła odpowiedź. Wyjaśniła, że jest nauczycielką Antona i martwi się, ponieważ chłopiec nie pojawił się tego dnia w szkole.

- Poszedł z babcią do lekarza - odpowiedziała zza drzwi kobieta.

Ruszyliśmy w kolejny pościg.

Popędziliśmy z powrotem do mieszkania babci. Po drodze wręczyłem Mariannie plik dolarów. Wiedziałem, że w Polsce można kupić za nie wszystko. Zasugerowałem, żeby podsunęła je teściowej.

Na miejscu Marianna błyskawicznie wyskoczyła z samochodu. Wbiegła schodami na górę i zrobiła to, o co ją poprosiłem.

- Mamo, skoro już tu jestem, chciałabym zostawić ci trochę amerykańskich pieniędzy - zawołała do chowającej się za drzwiami kobiety.

Wtedy do drzwi podszedł Anton. Miał na sobie ubrania, które dostał od mamy. Pogłaskał owczarka, który znów złowrogo warczał na Mariannę, i pies trochę się uspokoił.

- Anton, jedziesz ze mną? - szepnęła Marianna i pochyliła się nad synem.

- Tak, mamusiu! - odpowiedział.

Marianna kolejny raz zwróciła się do teściowej.

- Będę potrzebowała twojej książeczki oszczędnościowej. Inaczej nie zdołam wpłacić ci tych pieniędzy - wyjaśniła.

Teściowa ruszyła w głąb mieszkania. Wtedy Marianna szepnęła do syna:

- Biegnij na dół tak szybko, jak potrafisz! Czeka tam na ciebie biały samochód. Wskocz do środka i nie wychodź. Prędko!

Z mieszkania dobiegły odgłosy krzątania. W końcu matka Stana krzyknęła, że nie może znaleźć dokumentu.

- Zaczekaj chwilę, Marianna! - zawołała. - Jestem pewna, że ta książeczka gdzieś tu musi być. Za chwilę ją znajdę!

Anton był już na dole. Marianna ruszyła za nim. Kiedy wskoczyli do samochodu, wdusiłem pedał gazu. Zachowałem się tak samo jak większość brytyjskich przestępców chwilę po napadzie.

- Stan mnie zabije! - krzyczała babcia chłopca, kiedy odjeżdżaliśmy.

Wiedziałem, że przesadza, poza tym mieliśmy inne problemy na głowie. Pędziliśmy do Warszawy jakby naszemu vanowi wyrosły skrzydła. Od razu pojechaliśmy do ambasady. Mieliśmy nadzieję, że pojawimy się tam, odbierzemy niezbędne papiery i wsiądziemy w pierwszy samolot odlatujący do Brisbane. Niestety okazało się, że ambasadora nie ma. Tylko on mógł podpisać dokumenty podrózne Antona.

Błagałem pracowników ambasady o pomoc, jednak nie mogli zrobić. To oznaczało, że musieliśmy zostać w Warszawie jeszcze jeden dzień. To poważnie komplikowało nasz plan. Nie mogliśmy pozwolić, żeby Stan skontaktował się z policją i uniemożliwił nam ucieczkę.

Nie było chwili do stracenia.

Marianna zadzwoniła do teściowej. Poprosiła ją, żeby nie zawiadamiała policji, po czym wyjaśniła sytuację.

- Przepraszam, mamó, że się tak spieszyliśmy, ale musieliśmy spotkać się z moim wujem - powiedziała. - Nie martw się. Rano wrócimy. Powiedz Stanowi, żeby się niczym nie przejmował. Anton jest zadowolony i dobrze się bawi. Do zobaczenia jutro.

Następnego dnia ambasador pojawił się w swoim biurze. Antonowi wyrobiono dokumenty i wydano zastępczy paszport. Potem pojechaliśmy na lotnisko. Oficer imigracyjny przyglądał się dokumentowi chłopca.

Musieliśmy szybko coś wymyślić.

- Mały zgubił paszport - powiedziałem. - Australijska ambasada dała nam nowy. To jest matka chłopca.

Marianna została poproszona do innego pomieszczenia na rozmowę z urzędnikami. Zanim odeszła, wsunąłem w jej dłoń kolejny plik dolarów. Poprosiłem, aby trzymała się uzgodnionego scenariusza. Ustaliliśmy wcześniej, że bajeczka dla celników miała brzmieć następująco: Marianna przyjechała z synem odwiedzić jego ojca; chłopiec zgubił paszport, ale otrzymał nowy, a teraz wracał z mamą do domu.

- Cokolwiek będzie się działo, zachowaj spokój. Nie możesz wpaść w panikę - doradziłem.

Kiedy wróciła z rozmowy, uśmiechnęła się szeroko, choć była zapewne biedniejsza o kilkanaście dolarów.

W końcu rozległo się ostatnie wezwanie na nasz lot do Frankfurtu. Po chwili weszliśmy na pokład samolotu Lufthansy. Lot LH796 prowadził nas ku wolności, choć Marianna martwiła się o córkę, którą zostawiła w kraju.

- Nie patrz w przeszłość - poradziłem jej. - Pomyśl o przyszłości. Jakoś rozwiążemy tę sprawę.

Jednak kobieta wciąż była roztrzęsiona. Z jednej strony cieszyła się, że ma u boku małego Antona, z drugiej zaś była załamana tym, że Jenny ją odrzuciła i postanowiła zostać w Polsce. Łzy szczęścia mieszały się ze łzami smutku.

Do Sydney dotarliśmy 1 listopada 1992 roku. Sprawa porwania dzieci przez Stana wywołała sporo szumu w australijskiej prasie, więc kobieta cieszyła się, że tym razem może przekazać dziennikarzom dobre wiadomości. Niektórzy z nich od roku śledzili losy Jenny i Antona. Moje biuro poinformowało ich o naszym powrocie. W hali przyłotów, gdzie czekaliśmy na samolot do Brisbane, udzieliliśmy wielu wywiadów. Marianna podzieliła się z dziennikarzami swoim szczęściem, a także ostrzegła innych rodziców. Powiedziała, że porwanie dziecka wywołuje szok i poczucie bezsilności. Urzędnicy sporo obiecują, ale w jej przypadku zrobili naprawdę niewiele.

- Bytom to miasto, w którym nawet ptaki nie śpiewają - wyjaśniła mediom. - To chyba najbardziej zanieczyszczone miejsce w Polsce i z pewnością nie służyło zdrowiu moich dzieci.

Jej uwagi o kondycji dzieci były i tak łagodne. Nie wspominała przecież o traumie psychicznej Antona i o tym, w jaki

sposób Stan zatruł serce swojej córki. Uśmiechnęła się za to i na oczach fotoreporterów pocałowała syna, choć w głębi duszy czuła smutek.

Kiedy dziennikarze wyłączyli mikrofony i odeszli, szepnęła do mnie tak cicho, że ledwo ją usłyszałem.

- Wiesz co, Keith? Myślę, że już nigdy nie zobaczę Jenny.

Powrót do domu

Anton i Marianna opuścili brudny, zniszczony Bytom, jednak nawet gorące, letnie słońce Brisbane nie było w stanie ogrzać ich serc. Przez kilka kolejnych tygodni oboje myśleli o Jenny i jej decyzji o pozostaniu w Polsce. Marianna miała wrażenie, że zostawiła tam kawałek siebie, a jej syn po prostu tęsknił za siostrą. Przez ostatni rok opiekowała się nim, więc teraz bardzo mu jej brakowało.

Myśl, że Marianna już na zawsze utraciła córkę, męczyła również i mnie. Obiecałem przecież, że przywieziemy oboje dzieci do kraju. Czułem, że wykonałem zaledwie połowę powierzonego zadania. Mniej więcej miesiąc po powrocie do Brisbane postanowiłem, że pora wreszcie uporać się z tym tematem, ponieważ nie dawał mi spokoju.

Zadzwoiłem do Marianny i przedstawiłem jej śmiały plan.

- Wracajmy do Polski - zaproponowałem. - Wiem, że to ryzykowne, ale tym razem uda nam się przywieźć Jenny do domu. Wierzę, że to możliwe.

Koszty poniesione podczas poprzedniej wizyty w Polsce bardzo uszczupliły finanse Marianny. Pieniądze, które

otrzymała ze sprzedaży domu, były na wyczerpaniu. Na szczęście ciocka Danuta przysłała Mariannie z pomocą i wzięła kredyt, z którego opłaciła drugą misję ratunkową. Tym razem znaleźliśmy już skalę ryzyka, a ponieważ byłem pewny, że wykonamy zadanie, zdecydowałem się zabrać w podróż własnego syna.

Kamball miał wówczas jedenaście lat. Zawsze lubił przygody, a także grę w tenisa, krykieta i siatkówkę. Uchodził za jednego z najlepiej wysportowanych uczniów Anglikańskiej Szkoły Przykościelnej we wschodnim Brisbane. Ciekawiła go również moja praca. Z zainteresowaniem słuchał opowieści o poprzednich sprawach. Kiedy więc zapytałem, czy chciałby mi pomóc w śledztwie i wyjechać z kraju, nawet się nie zastanawiał. Wiele lat później przyznał, że kiedy usłyszał moją propozycję, poczuł ucisk w żołądku. Nie ze strachu, ale ze szczęścia, że będzie mógł towarzyszyć ojcu w pracy.

Kamball mógł poznać życie, którego niewielu chłopców w jego wieku miało okazję doświadczyć. Moja żona Yvonne poparła pomysł, żeby zabrać go na wyprawę. Uważała, że będzie to dla niego wspaniała lekcja. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że wciągamy syna w szalony i niebezpieczny pościg.

W podróż wyruszyliśmy 6 grudnia 1992 roku. Po 28 godzinach dotarliśmy do Warszawy i błyskawicznie ją opuściliśmy. Na Okęciu czekała na nas krewna Marianny. Przyniosła gazetę z rzucającym się w oczy tytułem. Wydanie ukazało się miesiąc wcześniej, zaledwie kilka dni po naszej ucieczce z Antonem.

W Australii gromadziłem publikacje prasowe dotyczące tej sprawy, aby opublikować je w biuletynie Międzynarodowych Służb Detektywistycznych. Miałem się czym pochwalić.

W tym samym czasie polskie dzienniki, zachęcane przez Stana i jego matkę, w zupełnie inny sposób opisywały naszą pierwszą wizytę w Polsce. „Rozpacz ojca i podstępna matka” - głosił nagłówek polskiej gazety.

W zamieszczonym poniżej artykule napisano: „Oficer miejscowej policji otrzymał alarmującą wiadomość. Dzwoniąca kobieta powiedziała, że jej synowa uprowadziła swojego siedmioletniego syna z mieszkania, a następnie uciekła białym samochodem na warszawskich numerach rejestracyjnych. Policja błyskawicznie zamknęła drogi wylotowe z Bytomia i poinformowano wszystkie przejścia graniczne na terenie kraju, żeby zatrzymały samochód Marianny. Niestety po kilku dniach władze międzynarodowego lotniska Warszawa Okęcie nadesłały faks, z którego wynikało, że w dniu porwania podejrzana wraz z synem weszła na pokład samolotu Lufthansy zmierzającego do Frankfurtu. Cała historia rozpoczęła się kilka lat temu, kiedy Stan Wojtek poznał swoją przyszłą żonę (Mariannę) w Australii. W 1990 roku pierwszy raz od lat odwiedził Polskę. Miał już wówczas dwoje dzieci i, jak wyznał wówczas matce, jego małżeństwo nie należało do udanych. W październiku 1991 roku wrócił z dziećmi do kraju. Żona miała dołączyć do niego po sprzedaży nieruchomości. Niestety tak się nie stało. W maju tego roku samotnie wychowujący dzieci Stan wystąpił do sądu rodzinnego o przyznanie pełnych praw rodzicielskich, które bez problemu otrzymał. W październiku wniósł sprawę o rozwód”.

Artykuł nie wspominał, że Stan sfałszował paszporty dzieci i uprowadził je z Australii wbrew decyzji miejscowego sądu oraz że zmuszał córkę do pisania okropnych listów do matki. Przyniósł jednak inne zaskakujące informacje

i zdecydowanie utrudnił nam pracę. W myślach przeklinałem krewnych Marianny, że nie podesłali nam tego artykułu, zanim opuściliśmy Brisbane. Polska policja, sądy i urzędnicy imigracyjni wiedzieli już o naszym istnieniu.

Skoro Stan otrzymał od polskiego sądu prawo do opieki nad Jenny, nie mogliśmy wywieźć jej do Australii samolotem z Warszawy. Gdybym o tym wiedział wcześniej, nie zabrałbym ze sobą Kamballa. Stojąc w hali przylotów na Okęciu, zastanawiałem się, jakim cudem nie zamknięto nas w chwili, gdy postawiliśmy stopę na polskiej ziemi. Szczęście, które się do nas uśmiechnęło, nie było darem od losu, tylko przestarzałym systemem komputerowym, z którego korzystała wówczas policja i służby celne. Dał on nam przewagę, jednak nie pozwolił pozostać dłużej w stolicy.

- Musimy jak najszybciej wydostać się z kraju - powiedziałem. - Kiedy policja uświadomi sobie, że tu jesteśmy, z pewnością nas aresztuje.

Mariannie z pewnością nie odpowiadało takie rozwiązanie, jednak po przeczytaniu artykułu zrozumiała, że mam rację. Pożegnała się z krewnymi i zostawiła im paczkę z ubraniami, które przywiozła dla Jenny. Polecieliśmy najbliższym samolotem do Frankfurtu i opuściliśmy Polskę. Sprawy wyglądały niezbyt zachęcająco, jednak mój umysł pracował równie szybko jak silniki tej maszyny. Za wszelką cenę starałem się znaleźć alternatywne rozwiązanie.

Zatrzymaliśmy się w tanim niemieckim hotelu i rozważaliśmy kolejne posunięcia. Zacząłem studiować mapy Polski i przejścia graniczne z Niemcami i Czechosłowacją. Doszedłem do wniosku, że choć ryzyko wpadki wzrosło, nie odpuszczę i dokończę zadanie. Syn wciąż bardzo chciał mi towarzyszyć.

Od Krzysztofa Rutkowskiego miałem informacje na temat nielegalnego przekraczania granic i wiedziałem, komu - w razie kłopotów - zaferować łapówkę. Choć lata dziewięćdziesiąte przyspieszyły proces komputeryzacji, to znaczna część Polski nie była podpięta do sieci. Pod względem technologicznym niektóre przygraniczne miasteczka znajdowały się lata świetlne za resztą kraju. Poprzednim razem, podczas naszej pierwszej wyprawy, Krzysztof sugerował opuszczenie Polski przez najłabiej strzeżony punkt graniczny. Tym razem postanowiłem skorzystać z jego podpowiedzi.

Po spędzeniu nocy na rozmyślaniach zdecydowałem się przekroczyć granicę w miejscu, w którym wszystko powinno pójść gładko. Zamierzałem czym prędzej odnaleźć upartą małą Jenny i wywieźć ją z Polski, i to niezależnie od tego, czy zgodzi się na to, czy też nie.

- A jeśli odmówi wyjazdu? - zapytała Marianna.

- Cóż, być może będziemy musieli ją do tego zmusić - odpowiedziałem, po czym spojrzałem jej w oczy. - Czy zgadzasz się, żeby porwać córkę?

Marianna nie odpowiedziała od razu. W końcu zrezygnowana pokiwała głową. Miała świadomość, że jeśli tym razem się nie uda, nigdy nie zobaczy własnego dziecka.

Ostrzegłem Mariannę, że jeśli zostaniemy złapani, będzie jej grozić nawet sześć lat więzienia, mnie zaś - jako pomocnikowi - dwa. Kamball ugrzązłby wówczas w kraju, o którym nic nie wiedział i w którym ludzie porozumiewali się językiem, którego nie znał. Anton wychowywałby się samotnie w Australii.

Miałem sporo do stracenia, ale obiecałem Mariannie, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby sprowadzić Jenny do Australii. Zamierzałem dotrzymać danego słowa.

Kiedy pierwszy raz przyjechaliśmy do Polski, Krzysztof radził nam przewieźć dzieci przez granicę w niemieckim Görlitz, które sąsiadowało ze Zgorzelcem leżącym na południowym zachodzie Polski. Kiedyś tworzyły one jeden organizm miejski, jednak po drugiej wojnie światowej władze postanowiły, że przez jego środek będzie przebiegać granica państwowa.

Krzysztof utrzymywał, że w Polsce system informacyjny jest na tyle ułomny, że być może uda nam się przedrzeć do Niemiec z dodatkowym pasażerem, zanim służby graniczne zorientują się, co się stało. W jego opinii telefony w tej części kraju rzadko działały, a komputery nadal należały do gadżetów rodem z powieści science fiction.

- Jeśli dotrzecie do Görlitz późnym popołudniem lub wieczorem, będziecie mieli sporą szansę - powiedział. - Zanim miejscowa policja zostanie postawiona na nogi, wy będziecie już w Niemczech albo nawet w drodze do Australii.

Krzysztof wyjaśnił nam również, że polskie samochody policyjne były równie szybkie co ciągniki rolnicze, a policjanci otrzymywali tylko około 30 litrów benzyny tygodniowo. Dziś, w XXI wieku, sytuacja się zmieniła i Polacy dysponują podobnie zaawansowanym sprzętem jak inne kraje zachodnioeuropejskie, jednak wtedy policjanci korzystali z samochodów marki Polonez, przypominających nieco archaiczne wozy marki Hillman Hunter. Podczas naszej poprzedniej wizyty widzieliśmy kilka takich biało-niebieskich maszyn krążących po ulicach. Ponieważ od upadku komunizmu nie upłynęło zbyt wiele czasu, na niektórych z nich można było zauważyć, że słowo „policja” zastąpiło „milicję”.

W polonezach montowano słabiutkie silniki. Ponieważ chciałem mieć pewność, że wyprzedzę każdy pojazd z syreną na dachu, we Frankfurcie wynająłem białego fordą sierrę z turbodoładowaniem. Całkiem nieźle znałem się na szybkich samochodach. Przeszedłem kilka szkoleń dla zawodowych kierowców, po których kupiłem holdena monaro z silnikiem V8 oraz kilka maszyn marki Rambler, w tym model javelin z silnikiem o pojemności ponad sześciu litrów. Uznałem jednak, że przerobiona sierra również się nada.

Wyruszyliśmy zaraz po północy. Zapowiadał się kolejny chłodny, zimowy dzień. Upewniłem się, że mam kieszonkę pełną dolarów, waluty, która przez 45 lat sowieckich rządów uchodziła w Polsce za prawdziwy rarytas. Liczyłem na to, że wieczorem będziemy wracać z Jenny do Niemiec, choć równie dobrze mogliśmy siedzieć w policyjnym areszcie.

Przed wyjazdem porozmawiałem z synem na osobności. Wyjaśniłem mu, że ryzyko wypadku jest spore. Podróż z Bytomia do Görlitz miała zająć kilka godzin, a to mogło oznaczać kilka godzin wrzasków rozhisteryzowanej dziewczynki siłą uprowadzonej z domu. Tysiące rzeczy mogły uniemożliwić nam wykonanie zadania.

Kamball miał wówczas jedenaście lat, ale doskonale rozumiał, co się dzieje.

- Jeśli policja nas złapie, zadbam o to, żebyś trafił do australijskiego konsulatu w Warszawie. Oni odeślą cię do domu - powiedziałem, po czym dodałem to samo, co tata powiedział mi czterdzieści lat temu. - Nie bój się niczego. Ważne, żebyś był świadomy tego, co może się przytrafić. Musisz być na to przygotowany. Jeśli będziesz dzielny, nic złego ci się nie stanie.

Frankfurt od Görlitz dzieli 560 kilometrów, z czego 425 przypada na autostradę prowadzącą przez Berlin i Drezno. Ponieważ nie obowiązywały na niej żadne ograniczenia prędkości, miałem okazję przetestować możliwości sierry. Okazało się, że niewiele samochodów mogłoby dorównać.

Trasę przejechaliśmy w cztery godziny. Dosłownie przelecieliśmy przez Zwickau, Chemnitz i Drezno, po czym zatrzymaliśmy się przy polskim punkcie kontrolnym na granicy niemiecko-polskiej. Uzbrojonych żołnierzy oświetlało przytłumione światło latarni ulicznych.

Postanowiłem przetestować na nich mój plan „Na ratunek Jenny”. Chciałem się przekonać, czy łatwo jest przekupić pograniczników - przecież za kilka godzin miałem wracać tą samą drogą z porwaną dziewczynką w samochodzie. Musiałem wówczas wjechać do Niemiec bez zbędnych pytań. Wiedziałem, że biurokraci pracujący po polskiej stronie zarabiali miesięcznie około stu dolarów. Jeśli miałem kogoś przekupić, to właśnie ich.

Jeden z polskich celników, ubrany w wojskowy mundur i czapkę ozdobioną orłem, spojrzał na nas badawczym wzrokiem.

- Paszporty - powiedział, wyciągając rękę.

Podaliśmy mu trzy australijskie dokumenty. W każdym z nich znajdowała się wiza umożliwiająca jednorazowy wjazd do kraju, wykorzystana w dniu przylotu do Warszawy i naszej pospiesznej ucieczki.

Mężczyzna przyjrzał nam się dokładnie.

- Nie macie wiz - powiedział po polsku, oddając nam paszporty.

Korzystając z pomocy Marianny, pokazałem mu podstemplowane wizy, które miały sześciomiesięczny termin ważności.

- Te wizy pozwalają na jednorazowy wjazd do Polski - wyjaśnił. - A wy byliście już w Polsce.

Udałem, że jego słowa całkowicie mnie zaskoczyły.

- Wasz kraj bardzo nam się spodobał. Jest naprawdę piękny i chcielibyśmy jeszcze raz go odwiedzić. Czy mógłby pan nam jakoś pomóc?

Mówiąc to, podałem mu jeszcze raz nasze paszporty oraz plik dolarów - równowartość jego trzech pensji.

Mężczyzna zastanowił się.

- Porozmawiam z przełożonym. Zobaczymy, co da się zrobić - powiedział w końcu.

Kilka minut później wrócił uśmiechnięty.

- Wejdźcie do dyżurki - poprosił.

Zrozumiałem, że to kluczowy moment całej transakcji. Czy zostaniemy aresztowani za łapówkarstwo? Będą nas przesłuchiwać? Zabiorą nas do więzienia?

Nic takiego się nie stało. W biurze czekał na nas mały poczęstunek.

Strażnik i jego przełożony zapytali, dlaczego chcemy wrócić do Polski. Marianna wyjaśniła, że z okazji świąt chcielibyśmy odwiedzić krewnych w ojczyźnie i trochę pozwedzać.

Pogranicznicy kupili tę historię, wydali nam nowe wizy i życzyli udanego pobytu. Uznałem, że należy jeszcze bardziej wkraść się w ich łaski.

- Mój syn kolekcjonuje czapki - powiedziałem, zerkając na nakrycie głowy strażnika, który nas odprowadził.

- Czapki? Jakie czapki? - zapytał.

- Pamiątki - wyjaśniłem. - Kolekcjonuje czapki z miejsc, które odwiedził. Chciałbym kupić pańską - dodałem i wskazałem na jego imponujące nakrycie głowy. - Ile pan za nią chce?

Wyciągnąłem pięćdziesięciodolarowy banknot i pomachałem mu przed nosem obrazkiem przedstawiającym prezydenta Granta. To było pół miesięcznej pensji celnika.

Mężczyzna sprawiał wrażenie zainteresowanego transakcją, choć jednocześnie zachowywał ostrożność.

- Nie, nie, nie. Nie sprzedac czapki - powiedział łamaną angielszczyzną. - Duże kłopoty, jak ją stracić. Duże kłopoty. My nie mieć więcej czapek. Ja musieć dbać o mundur albo duże kłopoty.

- Szkoda - westchnąłem i zacząłem chować banknot do kieszeni.

- Ale kurczak! Mogę sprzedać kurczak! - zawołał.

- Kurczaka? Ale co ja zrobię z kurczakiem? - spytałem.

- Kurczak! - zawołał, po czym wskazał palcem na orzełka na swojej czapce. - Sprzedam ci kurczak. Czasem my gubić kurczak i dostawać nowe. Spoko. Spoko - zapewnił.

- Dobra - uśmiechnąłem się i podałem mu pięćdziesiątkę.

- Kupię twój kurczak.

Tego poranka wszyscy mogli poczuć się zwycięzcami. Najbardziej zadowolony był Kamball. Orzełek bardzo mu się spodobał, ponadto przez długie lata opowiadał anegdotkę o jego pochodzeniu. Musiałem się jeszcze upewnić, że celnika nie będzie w pobliżu, kiedy pojawimy się tu z Jenny. Nie chciałem wzbudzić jego podejrzeń.

- Możliwe, że będę zainteresowany innymi pamiątkami - powiedziałem i pomachałem portfelem wypchanym

zielonymi banknotami. - O której godzinie zazwyczaj kończysz pracę?

Mężczyzna wyjaśnił, że właśnie ją rozpoczął i że przez cały tydzień będzie na zmianie od piątej rano do pierwszej.

- OK, to do zobaczenia w tygodniu - skłamałem.

Wskoczyliśmy do samochodu, minęliśmy szlaban graniczny i pomachaliśmy strażnikowi na pożegnanie.

- Dzięki za kurczaka! - zawołałem.

Miałem świadomość, że już niedługo mogę mieć na pieńku z jego kolegami.

Ruszyliśmy w stronę Bytomia, przecinając chłodne powietrze szarego, zimowego poranka. Na miejsce dotarliśmy po ósmej rano. Doszedłem do wniosku, że tak szybki samochód, w dodatku na niemieckich tablicach rejestracyjnych, będzie rzucał się w oczy, zwłaszcza w pobliżu starej, rozpadającej się kamienicy, w której Jenny mieszkała ze swoją babcią. Postanowiłem zostawić go na parkingu w pobliżu stacji kolejowej, gdzie nie brakowało zachodnich aut. Mając na uwadze fakt, że w Polsce złodzieje samochodów byli równie powszechni co tania wódka, wyłączyłem i rozmontowałem jego aparat zapłonowy.

Wezwaliśmy taksówkę. Dałem kierowcy pięćdziesiąt dolarów i poprosiłem, żeby zawiózł nas pod dom, w którym mieszkała Jenny. Widziałem, jak zaświecił mu się oczy.

Czekaliśmy godzinę. Mieliśmy doskonały widok na ulicę, którą dziewczynka powinna iść do szkoły. Niestety, nie pojawiła się.

Dzieci w Bytomiu uczyły się na dwie zmiany - od ósmej rano do pierwszej po południu i od pierwszej po południu do szóstej wieczorem. Jeśli przyjechaliśmy zbyt późno

i dziewczynka poszła już do szkoły, złapałibyśmy ją w drodze powrotnej. Jeśli tego dnia miała iść na popołudnie, zastalibyśmy ją w domu lub zauważylibyśmy, jak bawi się na podwórku.

- Istnieje też możliwość, że Stan gdzieś ją ukrył - ostrzegłem Mariannę. - Po tym, jak uprowadziliśmy Antona, twój mąż ma prawo podejrzewać, że wrócimy po Jenny.

Zaraz po dziesiątej uznaliśmy, że dalsze wypatrywanie nie ma sensu. Postanowiliśmy wrócić później.

Taksówkarz odwiózł nas na dworzec. Dałem mu sto dolarów. Podejrzewam, że nigdy nie zarobił takich pieniędzy.

- Tylko nie mów o nas nikomu - poprosiłem i przejechałem kciukiem po szyi.

Podłączyłem aparat zapłonowy sierry, po czym wskoczyliśmy do samochodu i pojechaliśmy w pobliże szkoły Jenny. Po drugiej stronie ulicy znajdował się stary cmentarz. Po raz pierwszy w życiu widok grobów wydał mi się kuszący. Wjechaliśmy na wyłożoną kamieniami alejkę i zatrzymaliśmy się, żeby przeczekać te parę godzin pomiędzy rozpadającymi się nagrobkami. Liczyliśmy na to, że niedługo zobaczymy Jenny idącą do szkoły lub z niej wracającą.

Kilkakrotnie wcisnąłem pedał gazu sierry. Obserwowałem poruszającą się wskazówkę obrotomierza i wsłuchiwałem się w ryk silnika, który błyskawicznie rzucał się do pracy. Chciałem mieć pewność, że ta mała torpeda nie zawiedzie w decydującym momencie.

Tymczasem siedząca z tyłu Marianna wierciła się i ciężko oddychała. Miała rozbiegany wzrok i nerwy napięte jak postronki. Nawet Kamball wydawał się zaniepokojony.

Na horyzoncie widziałem wysokie kominy bytomskich fabryk, wypluwające ciemny, węglowy dym. Nawet w klimatyzowanej sierze ciepkie, gryzące powietrze przedostawało się do moich płuc. Kiedy tak siedziałem za kółkiem, czekając i obserwując, myślałem o małej dziewczynce, która już niedługo rozpocznie nowe życie. Będzie bawić się z bliskimi w słońcu, cieszyć się czystym powietrzem i matczyną miłością. Jeszcze raz spojrzałem na ponure, brudne domy stojące po drugiej stronie ulicy.

Zanim wyjechałem z Brisbane, rozmawiałem ze znajomym lekarzem, w jaki sposób uspokoić Jenny. Wiem, że może to oburzyć niektórych czytelników, ale doktor uznał, że pół tabletki valium to bezpieczne rozwiązanie dla rozhisteryzowanego dziecka. Obiecałem Mariannie, że zaoferuję jej córce butelkę coli z rozpuszczonym lekarstwem, jednak nie będę zmuszał jej do wypicia napoju, nawet jeśli wyda się nam to konieczne. Zażycie valium nie wiązało się z równie negatywnymi skutkami co niepowodzenie naszej misji. Planowaliśmy podać Jenny tylko jedną dawkę, przy wyjeździe z Polski, tymczasem wpadka oznaczałaby dla nas więzienie, a dla niej młodość spędzoną w Bytomiu. Kamball miał więc za zadanie zaprzyjaźnić się z nią i, jeśli to konieczne, podsunąć jej napój.

Wczesnym popołudniem słońce zaczęło przedzierać się przez pochmurne niebo. Powtarzaliśmy sobie co chwila, że bez względu na okoliczności dziewczynka wsiądzie do naszego samochodu i uciekniemy z tego cuchnącego miasta tak szybko, jak to możliwe.

W końcu wybiła pierwsza. Jeśli Jenny wciąż mieszkała w tej części Bytomia, powinna za chwilę pojawić się na ulicy.

Nie myliliśmy się.

Pół godziny później Marianna głośno westchnęła. Droga prowadząca ze szkoły szła jakaś dziewczynka. Twarz zasłoniła kapturem grubego, dżinsowego płaszczyka. Podśpiewywała i stukała w sztachety płotu.

Jeszcze raz wcisnąłem gaz do dechy. Sierra wystrzeliła z miejsca niczym koń wyścigowy z bramki startowej. Wypadliśmy z hukiem z cmentarza, przejechaliśmy na drugą stronę ulicy i zatrzymaliśmy się na podjeździe prowadzącym do jakiegoś domu. Zakapturzona postać stanęła jak wryta, przestraszona tym, co się wydarzyło.

- Czy to ona? - zapytałem Mariannę.

- Nie... nie... nie wiem - jąkała się kobieta. W jej oczach widziałem strach i niepewność. - Nie mam pojęcia, Keith - dodała. - Ale zaraz... Tak! Ta łątka na kurtce, poznaję ją. To ona! To Jenny!

- Jesteś pewna? - spytałem.

- Tak, to Jenny! - krzyknęła.

- No to do dzieła! - zawołałem.

Wyskoczyłem z samochodu i podbiegłem do dziewczynki, która wciąż stała bez ruchu.

- J e n n y ! - powiedziałem. - Twoja mama chciałaby z tobą porozmawiać.

Marianna wysiadła z samochodu i złapała ją za rękę.

Jenny momentalnie zaczęła krzyczeć.

- Pomocy! Pomocy! - wołała, machając rękami i wierzgając nogami.

Potem złapała sztachetę płotu. Trzymała ją tak mocno, jakby od tego zależało jej życie.

Matka próbowała ją uspokoić.

- Proszę, kochanie, nie krzycz tak - powtarzała. Chciała zapewnić ją, że nic złego się nie dzieje. - Proszę, Jenny. Kocham cię, twój brat też cię kocha. Wróć z nami do domu.

Jednak w drobnym ciele dziewczynki buzowała już adrenalina. Musiałem siłą odczepić ją od parkanu. Wiedziałem, że słysząc hałasy, mieszkańcy domu wyglądali zza firanek, by sprawdzić, co się dzieje. Widzieli pewnie, jak wielki mężczyzna ciągnie dziecko w stronę samochodu na niemieckich numerach, stojącego na podjeździe z włączonym silnikiem. Robiło się groźnie.

Marianna otworzyła drzwi samochodu. Próbowałem wepchnąć dziewczynkę do środka, jednak nie dawałem sobie z nią rady. Zaparła się i napięła z całej siły mięśnie. Ostatecznie musiałem wykręcić jej ręce i wrzucić na tylne siedzenie niczym worek kartofli.

Po chwili usłyszałem czyjś krzyk: „Policja, policja!”.

Przez całe to zamieszanie zapomniałem, że - inaczej niż w Australii - kierownica znajduje się po lewej stronie samochodu. Wskoczyłem na prawy fotel, po czym wyskoczyłem tak szybko, jak było to możliwe, obiegłem pojazd i zająłem miejsce za kółkiem. Potem wycisnąłem ze siery wszystko, co się dało. Jej silnik hałasował niemal tak głośno jak Jenny, która siedziała uwięziona z tyłu samochodu, między Marianną a Kamballem.

Zacisnęła z wściekłości pięści i z nienawiścią okładała nimi matkę.

- Nie chcęjechać z tobą do Australii! - krzyczała, patrząc na Mariannę ze strachem i złością. - Nienawidzę cię! Chcę do taty!

Marianna zasłoniła jej buzię ręką, lecz nie udało się uciszyć krzyków dziewczynki.

Próbowałem skoncentrować się na drodze. Nie znałem okolicy. Popełniłem błąd i skręciłem w ulicę jednokierunkową. Nie miałem gdzie wykręcić, więc staranowałem drewniany płot. Drewno poleciało we wszystkie strony niczym odłamki granatu. Znajdowaliśmy się niedaleko posterunku policji, na szczęście wyglądał on równie martwo jak cmentarz, na którym niedawno parkowaliśmy. Kilka lat później Krzysztof powiedział mi, że wyprzedziliśmy blokady dróg o jakieś dwie minuty. Wtedy jednak, siedząc w samochodzie, nie mijaliśmy żadnych radiowozów. Zacząłem wierzyć w to, że naprawdę nam się uda.

Tymczasem siedzący z tyłu Kamball zaproponował dziewczynce colę. Jenny go odepchnęła.

- Nie, nie, nie! - zaprotestowała. - Chcesz mnie otruć! Gdzie jest tata?

Atmosfera w samochodzie była tak napięta, że coraz mocniej wciskałem pedał gazu. Nigdy jeszcze nie jechałem tak szybko. Dzięki temu miałem pewność, że wymknę się polskiej policji. Zarówno ja, jak i Marianna wiedzieliśmy, że trafimy do więzienia, jeśli Jenny powie na granicy o jedno słowo za dużo. Próbując przekrzyczeć jej wrzaski oraz warkot silnika, przypominałem Kamballowi, że w przypadku wpadki zaopiekują się nim pracownicy australijskiego konsulatu w Warszawie i odeślą go do kraju. W ostateczności Yvonne przyjedzie po niego.

Kwestię uspokojenia dziewczynki potraktowaliśmy priorytetowo. Musieliśmy rozwiązać ten problem przed dotarciem do punktów kontrolnych w Zgorzelcu i Görlitz. Gdyby

nam się nie udało, nie wyjechalibyśmy z Polski. Ponieważ nigdzie nie widziałem policji, zatrzymałem samochód. Rozgrzany silnik zasyczał na chłodnym powietrzu.

Marianna usiłowała przekonać córkę do wyjazdu. Tłumaczyła jej, że w Bytomiu jest zimno i nieprzyjemnie, a w Brisbane ciepło i słonecznie.

- Brat bardzo za tobą tęskni - dodała. - Tak samo jak ciocia Danuta. No ija!

- Ale tata powiedział, że spaliłaś moje prezenty świąteczne - pożaliła się Jenny.

- Nie, czekają na ciebie. Otworzysz je, kiedy przyjedziesz do domu - powiedziała Marianna i obiecała, że we Frankfurcie wybiorą się razem po dodatkowe prezenty.

Dziewczynka trochę się uspokoiła. Napiła się nawet coli, którą znów podsunął jej Kamball. Mama powiedziała jej, że jeśli nam nie pomoże, to tata przyjedzie odebrać ją z granicy. Będzie w paskudnym humorze i wszyscy - włącznie z moim synem - pójdziemy do więzienia.

Jenny nie chciała, żeby Kamball miał przez nią kłopoty. Zaczęli rozmawiać o rodzeństwie, szkole i o tym, jak ciepło i pogodnie jest teraz w Australii. Zbliżały się święta, więc ich pogawędka siłą rzeczy zeszała na prezenty. Zarówno te, które czekały na Jenny już od ubiegłego roku, jak i nowe, wciąż kuszące w sklepach. Gwiazdka w Brisbane zaczęła się jawić jako coś o wiele przyjemniejszego niż ta w Bytomiu.

- Jenny, gdybym cię nie kochała, nie przyjechałabym tutaj z Australii, żeby zabrać cię do domu - powiedziała Marianna ciepłym i spokojnym tonem. - Zabrałam Antona, bo chciał ze mną jechać. Jednak nie potrafiłam o tobie zapomnieć. Musiałam wrócić po ciebie, bo cię kocham.

Wyjaśniłem Jenny, że kiedy zbliżymy się do granicy, będzie musiała się ukryć, bo nie mamy dla niej paszportu. Śmiało mogła potraktować to jako zabawę w chowanego.

- O nie, panie Keith - odpowiedziała. - Nie mogę tego zrobić. To byłoby kłamstwo, a kłamstwo to grzech.

- Ale jeśli tego nie zrobisz, będziemy mieć kłopoty - upierałem się. - Nawet Kamball.

- W takim razie... najwyżej pójde później do spowiedzi - stwierdziła po namyśle.

Dogadaliśmy się we właściwym momencie. Kamball zobaczył bowiem w oddali błyskające niebieskie światło. Policja! Znow musieliśmy pędzić ku wolności!

Uruchomiłem silnik sierry i ruszyliśmy w dalszą drogę. Mój syn jednym okiem obserwował niebieskie światło, drugim zerkał na licznik prędkościomierza.

- Tato! - zawołał w pewnym momencie. - Jedziesz 197 kilometrów na godzinę. Policja zawróciła!

Po chwili zauważyłem, że jadę jeszcze szybciej.

Nie oddaliliśmy się zbyt od miejsca postoju, kiedy z tyłu dobiegł mnie cichy głos.

- Panie Keith, czy moglibyśmy teraz przecwiczyc ukrywanie się?

Marianna pokazała córce, jak położyć się na podłodze i przykryć kocem. Kamball pomógł jej poprzestawiać walizki tak, aby samochód wydawał się wyładowany bagażami.

Uspokoiłem Jenny, że nie będzie musiała zbyt długo się kryć. Obiecałem, że jej powiem, kiedy wysunąć się spod koca.

- Marianna, kiedy dotrzemy do granicy, udawaj, że śpisz - powiedziałem. - W przeciwnym razie zaczną zadawać ci pytania, a wtedy łatwo o błąd.

O piątej po południu dotarliśmy do granicy. Na zewnątrz było już ciemno. Marianna zamknęła oczy jednak wciąż nerwowo zaciskała ręce. Jenny położyła się pod kocem na podłodze. Siedziała cichojak mysz pod miotłą, która wie, że kot grasuje w pobliżu.

Strażnika, który rano sprzedał mi za pięćdziesiąt dolarów „kurczaka” wartego dziesięć centów, nie było już na służbie. Nie musieliśmy więc tłumaczyć, dlaczego wracamy w takim pośpiechu. Polscy urzędnicy przepuścili nas dalej, nawet nie zaglądając do naszych paszportów.

Jednak po niemieckiej stronie granicy musieliśmy przedstawić dokumenty.

Moi pasażerowie na tylnej kanapie przestali oddychać, kiedy niemiecki strażnik wyszedł ze swojej budki i ruszył w stronę samochodu. Po chwili wrócił do niej z trzema paszportami, które - przy odrobinie szczęścia - miały pomóc naszej czwórce przedostać się przez granicę.

Te kilka minut, gdy na niego czekaliśmy, wydawało nam się wiecznością.

Zastanawiałem się, czy nasza przygoda zakończy się w tym miejscu. Czy Stan poinformował już władze, że jego córkę porwali jacyś pomyłeńcy dowodzeni przez jego byłą żonę? Czy Kamball wróci bezpiecznie do domu? No i jak Marianna poradzi sobie w więzieniu?

Czekaliśmy w napięciu.

W końcu strażnik wrócił. Było tak ciemno, że nie widziałem jego twarzy aż do chwili, gdy pojawił się przede mną. Wtedy od razu zauważyłem jego białe zęby. Uśmiechał się i niośł trzy podstemplowane paszporty. Kiedy nam je oddał, nasze serca znów zaczęły bić.

- Guten Abend - powiedział, a potem przeszedł na angielski. - Życzę miłej podróży.

Po chwili zniknął w ciemnościach. Zapewne wrócił do swojej dyżurki, żeby skryć się przed wieczornym chłodem.

Odetchnęliśmy z ulgą. Jenny wypełzła ze swojej kryjówki, uśmiechając się z satysfakcją. Zatrzymałem samochód z piskiem opon, po czym wyskoczyliśmy na zewnątrz.

Co za cudowne uczucie! Dosłownie skakaliśmy z radości! Nawet Jenny, która kilka godzin wcześniej wzywała pomocy, teraz tańczyła z nami.

Wreszcie i ona uświadomiła sobie, że wraca do domu.

Kontrola obrażeń

Nasza ucieczka z Polski przebiegła zgodnie z planem. No cóż, prawie.

Po przekroczeniu polsko-niemieckiej granicy w Górlitz zjechałem z autostrady, żeby zatankować. Zaraz się zgubiłem, bo jakiś miejscowy żartowniś - rzadka rzecz w tym kraju - pozamieniał tabliczki z nazwami ulic.

Na szczęście wyjątkowo przyjazny oficer policji zatrzymał się i udzielił nam niezbędnych informacji. To był naprawdę dziwny zbieg okoliczności - przecież jeszcze przed chwilą uciekaliśmy przed prawem, gnając sierrą na złamanie karku!

Kolejne cztery godziny spędziłem, jadąc przed siebie i walcząc ze zmęczeniem. Gdy wreszcie dojechaliśmy do hotelu we Frankfurcie, dokładnie tego samego, który opuściliśmy dzień wcześniej, padliśmy wyczerpani.

Zatrzymaliśmy się w mieście na kilka dni i czekaliśmy na najbliższy lot do Australii. Zwróciłem sierrę do wypożyczalni i zapłaciłem za uszkodzenia będące efektem uderzenia w drewniany płot. Jenny zaprzyjaźniła się z Kamballem. Wyznała mu, że nie może się doczekać spotkania z dawnymi

przyjaciółmi i cieszy się, że wróci do Brisbane. Marianna miała ze sobą dokumenty z australijskiego sądu rodzinnego, dzięki którym w miejscowym konsulacie wyrobiliśmy jej córce nowy paszport. Kobieta, która nas obsługiwała, znała naszą historię i ucieszyła się, że dziewczynka wraca do domu. Marianna dotrzymała słowa i wybrała się z Jenny na zakupy. Sklepy podobały jej się o wiele bardziej niż te w Bytomiu, gdzie wciąż królowała tandeta i szarzyzna.

Marianna cieszyła się, że udało jej się wydostać dzieci ze Śląska. Kiedy kąpała Jenny po przyjeździe do Frankfurtu, woda zrobiła się prawie czarna. Kiedy Anton przyleciał do Australii, miał tak brudne zęby, że dopiero dentysta je doczyścił.

Podczas lotu zauważyłem, że Marianna wciąż jest zdeenerwowana. Nie miało to jednak nic wspólnego z faktem, że znajdowaliśmy się na wysokości jedenastu tysięcy metrów. Marianna do samego końca bała się, że nagle pojawi się Stan i odbierze jej córkę.

Wylądowaliśmy w Sydney w niedzielę, 13 grudnia, sześć tygodni po tym, jak wróciliśmy do Australii z Antonem. Na lotnisku przeszliśmy kontrolę paszportową. Nieoczekiwanie jeden z urzędników pochylił się w moją stronę.

- Wszyscy czytaliśmy w gazetach o pana misji. Doskonała robota. Tak trzymać - powiedział.

Potem poleciliśmy do Brisbane. Następnego dnia w wiadomościach telewizyjnych pojawił się poruszający reportaż, w którym zapłakany Anton czekał na siostrę z bukietem kwiatów i australijską flagą w ręku. Kiedy ją zobaczył, przytulił się do niej z całych sił. Ciotka Danuta, która pomogła sfinansować naszą wyprawę, również była na lotnisku. Chciała ucałować uśmiechniętą dziewczynkę.

- Nie zabrakło kwiatów i łez, gdy siedmioletni Anton Wojtek odzyskał swoją ukochaną siostrę - brzmiał komentarz. - Przyjaciele i bliscy tłumnie witali Jenny i jej matkę, które wylądowały bezpiecznie na australijskiej ziemi po karłowatej ucieczce z Europy Wschodniej.

Marianna próbowała ukryć łzy, jednak poległa w tej nierównej walce.

- Nie wyobrażacie sobie... Tak bardzo pragnęłam spędzić z nimi Boże Narodzenie, a teraz moje marzenie się spełni - powiedziała dziennikarzowi telewizyjnemu. - Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Wszystko dzięki Keithowi.

To był jeden z tych momentów w mojej karierze, w których byłem naprawdę dumny z tego, co robię.

Dzień po powrocie wzięliśmy udział w sesji zdjęciowej dla dziennika „The Courier-Mail” z Queensland, który napisał, że nasza operacja przypominała powieści szpiegowskie Johna le Carre. Dziennikarze śledzili losy Marianny od momentu porwania jej dzieci i regularnie dzwonili do mojego biura po świeże informacje. Nawet kilka tygodni po naszym powrocie udzielaliśmy wywiadów mediom.

Czternaście miesięcy wcześniej Stan Wojtek, lekceważąc wyrok sądu rodzinnego, uprowadził dzieci z kraju. Nie docenił jednak siły uczuć swojej byłej żony oraz jej determinacji, by zapewnić dzieciom możliwie najlepsze życie. Obiecałem, że sprowadzę je do domu, i dotrzymałem słowa. Marianna znów miała je pod swoimi skrzydłami i pomagała im uporać się z trudnymi wspomnieniami. Garść pieniędzy, która została jej ze sprzedaży domu, odłożyła na ich wykształcenie. Tylko tyle mogła im podarować, nie licząc swojej bezwarunkowej miłości.

Jenny przyznała, że Stan opowiadał jej straszne rzeczy o Mariannie. To dlatego nie chciała wyjechać z Polski. W Bytomiu dziewczynka cierpiała na depresję, a jej brat miał zespół deficytu uwagi i często wpadał w histerię. Płakał wówczas i krzyczał: „Dlaczego wszyscy mnie nienawidzą? Chcę umrzeć!”.

Marianna nie żałowała, że wywiozła dzieci z Bytomia, chociaż po powrocie cała trójka przechodziła trudny okres, a najbardziej cierpiał Anton. Minęły miesiące, zanim znów nauczył się języka angielskiego. Jego znajomi często pytali, jak wyglądało życie na Śląsku, a on potrafił odpowiedzieć im jedynie po polsku. Często się złościł, rzucał przedmiotami lub je niszczył. W końcu Marianna zaprowadziła go do kliniki psychiatrycznej, gdzie zajęli się nim profesjonaliści.

Czułem się odpowiedzialny za niego. W końcu to ja przywiozłem go z powrotem do domu. Zdawałem sobie sprawę, że jest zdezorientowany i przeżywa ostatnie wydarzenia. Wiedziałem jednak, że postąpiłem słusznie, bo z mamą w Australii będzie mu lepiej. Od dyrektora szkoły w Bytomiu Marianna dowiedziała się, że Anton już po porwaniu przez ojca miewał stany lękowe i napady szału. W Australii szybciej mógł wyleczyć się z tej przypadłości.

Jenny cierpiała na zaburzenia obsesyjno-kompulsywne związane z czystością, miewała też ataki paniki będące efektem stresu, w jakim żyła przez ostatnie miesiące. Nie potrafiła darować sobie pisania pełnych nienawiści listów, które Stan kazał jej wysyłać do matki.

Wkrótce sytuacja Marianny zaczęła się poprawiać. Dzieci wróciły do starej szkoły, katolickiej podstawówki w Coorparoo. Jenny poprawiła swoje relacje z mamą i nienawiść,

którą zaraził ją ojciec, zaczęła powoli znikać. Jednak Stan kolejny raz pojawił się w ich życiu.

Przyjechał do Australii 5 stycznia 1993 roku, zaledwie trzy tygodnie po naszym powrocie. Wylądował rano na międzynarodowym lotnisku w Brisbane i niemal od razu został aresztowany przez policję, która dowiedziała się o jego przylocie od Interpolu. Tego samego dnia stanął przed sądem, gdzie usłyszał zarzuty dotyczące między innymi sfałszowania dokumentów paszportowych dzieci. Jego proces miał się rozpocząć 22 stycznia.

Mężczyzna postanowił nie zatrudniać adwokata i sam się bronić. Na salę rozpraw przybył w koszuli w paski, z rozpiętymi guzikami i odsłoniętą, owłosioną klatką piersiową. Poprosił o zwolnienie za kaucją. Poinformował też sąd, że chciałby uniknąć kontaktu z Marianną, a jednocześnie spotkać się z dziećmi. Dodał, że tak bardzo zależało mu na Jenny i Antonie, że ich „ukradł” i wywiózł do Polski. Jego zdaniem australijskie przepisy rodzinne nierówno traktowały rodziców, tymczasem tojemu należało się prawo do opieki nad dziećmi.

- Kocham je i zrobiłbym dla nich wszystko - wyznał.
- Nie potrafię bez nich żyć i dlatego zrobiłem to, co uważałem za słuszne - dodał. Potem powiedział coś, co zaskoczyło mnie i Mariannę, a także okazało się niespodzianką dla samych dzieci. Oświadczył bowiem, że Jenny i Anton cieszyli się z wyjazdu i pokochali śniegjak również nowy styl życia. - Nigdy nie zrobiłbym niczego, co mogłoby skrzywdzić dzieci - stwierdził Stan. - Doskonale bawiły się w Polsce i wcale nie cierpiały.

Ostatecznie przyznał się do sfałszowania dokumentów i nieprawego pozyskania paszportów w celu wywiezienia

dzieci z Australii. Dostał wyrok osiemnastu miesięcy więzienia w zawieszeniu na trzy lata.

Rok później, 23 marca 1994 roku, przyznał się do dwóch zarzutów uszkodzenia ciała podczas napaści na Mariannę, Danutę i Antona.

Stanął wówczas przed starszym sędzią Gilbertem Traffbrdem-Walkerem. Sąd dowiedział się o sytuacji oskarżonego i rozpadzie rodziny, a także o przypadkach użycia przemocy przeciwko bliskim. Prokurator Debbie Richards opowiedziała sądowi o wydarzeniach, do których doszło wieczorem 1 czerwca 1993 roku. Marianna zabrała wówczas dzieci do Danuty. Stan przyjechał tam, podszedł do Marianny, po czym chwycił swoją byłą żonę za włosy i uderzył jej głową o cementowy chodnik.

- Zabiję cię, dziwko - powiedział.

Danuta wybiegła z domu, żeby jej pomóc, jednak i ona została powalona na ziemię. Stan uderzył ją pięścią i obrzucił wyzwiskami. Kobieta miała pękniętą kość nosową i liczne siniaki, Marianna zaś siniaki i skaleczenia.

Stan uniknął więzienia. Otrzymał trzy lata tzw. okresu próbnego. Wciąż był zły na cały świat. Dziesięć lat później w wywiadzie dla autorki bestsellerów Robin Bowles nazwał mnie „pieprzonym prywatnym detektywem” i ostro skrytykował „gestapowski reżim” Australii oraz „tych palantów z sądu rodzinnego”.

- Gestapo przynajmniej stawiało człowieka pod ścianą i zabijało - powiedział w książce *Taken in Contempt*. - Tu skazują cię na męczarnie aż do końca życia.

Jednak dzieci nie widziały w nim męczennika, ponieważ sporo wycierpiały z jego powodu. W 2007 roku Jenny,

pracująca wówczas jako organizatorka imprez w biurze w Brisbane, powiedziała Markowi Whittakerowi z *magazynu* „Weekend Australian”, że boi się myśleć, jak wyglądałoby jej życie, gdyby ojciec zatrzymał ją w Polsce. Jej matka w poszukiwaniu szczęścia wyjechała do Australii i chciała jak najlepiej dla swoich dzieci, Stan nie zawracał sobie tym głowy. Zależało mu jedynie na tym, żeby Marianna ich nie dostała.

Anton pracował w Queensland na kolei. Długo nie mógł sobie poradzić z emocjami. Któregoś dnia uświadomił sobie jednak, że swoim zachowaniem obciąża mamę, samotną kobietę wychowującą dwójkę dzieci. Zrozumiał, jak bardzo poświęciła się, by je odzyskać.

- W pewnym momencie odkryłem, kim naprawdę jest moja matka i co dla mnie zrobiła - powiedział. - To najlepszy czas, żeby się uspokoić i zacząć o nią dbać.

A Stan? Odkąd sprowadziłem dzieci do Australii, widuje je dość rzadko, choć mieszka zaledwie kilka kilometrów od nich.

Dwie wyprawy do Polski kosztowały Mariannę i jej ciotkę Danutę trzydzieści pięć tysięcy dolarów. Sumę tę pochłonęły przeloty, wynajem samochodów, noclegi, a także gazy dla mnie i Krzysztofa Rutkowskiego. Ja sam zarabiałem osiemset dolarów dziennie, co nie było wielką sumą, jeśli wziąć pod uwagę pracę przez całą dobę jakieś piętnaście tysięcy kilometrów od domu, a także ryzyko długiej odsiadki w obcym kraju. Jak już powiedziałem, na odzyskiwaniu dzieci trudno się dorobić. Marianna stwierdziła jednak, że to dobrze wydane pieniądze, za które otrzymała bezcenną nagrodę. Była mi wdzięczna za pomoc w odzyskaniu Jenny i Antona, za to, że mogła patrzeć, jak dorastają w Queensland.

Początki

Mój dziadek wyemigrował do Australii, gdy miał jedenaście lat. Bardzo wcześnie *założył* rodzinę i na najmniejszym z kontynentów spłodził dwadzieścioro troje dzieci. Jego pierwsza żona, Margaretha, urodziła mu trzynaścioro potomstwa, po czym zmarła na atak serca w wieku 37 lat (a może po prostu padła z wyczerpania?). Pozostałą dziesiątkę Julius Wilhelm Schafferius zawdzięczał kolejnej partnerce, Johannie.

Kiedy pierwsze dziecko przyszło na świat, dziadek miał 22 lata. Ostatnie, niestety martwe, pojawiło się czterdzieści trzy lata później. Julius okazał się więc znacznie bardziej płodny niż ziemia, którą uprawiała rodzina Schafferiusów.

Dziadek urodził się w Pinczynie, dużej wsi leżącej kilkadziesiąt kilometrów na południe od tętniącego życiem Gdańska. Do Australii przeprowadził się po śmierci swojego ojca. Szóstego kwietnia 1877 roku - razem z matką, ojczymem i starszą siostrą Natalią - wszedł na pokład „Karola Dickensa”, 70-metrowego, 1308-tonowego parowca płynącego z Hamburga na antypody. Podobnie jak pozostałych

510 pasażerów marzył o szczęśliwym życiu w tajemniczym nowym świecie, słynącym głównie z wielkich susz i ulewnych deszczy.

Podczas stu dni podróży statek zamienił się w małą osadę. Na świat przyszło w niej pięcioro dzieci, a dziewiętnastu pasażerów zmarło, wliczając w to mężczyznę, który na trzy dni przed minięciem równika oszalał, wyskoczył za burtę i utonął. Do celu dotarli jedynie najwięksi twardziele. Nie mam wątpliwości, że mój dziadek także do nich należał. Charakter i odwagę odziedziczyłem właśnie po nim.

Po przybyciu do Australii Julius zamieszkał w rejonie Pine Mountain, na północ od Ipswich. Wkrótce stał się jednym z filarów społeczności luterańskiej w zachodnim Brisbane, gdzie hodował bydło i wychowywał dzieci. Mój ojciec, Wendelin, nazywany także Ben, był jego osiemnastym dzieckiem. Moja matka również pochodziła z rodziny polsko-niemieckiej, od pokolenia mieszkającej w Australii. Jej rodzice kupili farmę w Laidley, niedaleko posiadłości mojego dziadka. Mama nazywała się Ruth Stieler i miała dwanaścioro rodzeństwa. Jak widać, moja rodzina jest naprawdę imponująca.

Sam jestem najstarszym z siedmiorga dzieci, mam jeszcze trzech braci i trzy siostry. Już jako młody chłopiec czułem się za nich odpowiedzialny. Kiedy rodzice pracowali na farmie, opiekowałem się nimi, a także przygotowywałem posiłki dla całej rodziny. Być może to doświadczenia z dzieciństwa zachęciły mnie do łączenia rodzin. Zawsze uważałem, że dzieci powinny mieć szczęśliwy dom i żyć w życzliwym otoczeniu.

Wkrótce po ślubie mój tata został powołany do wojska. Kiedy się urodziłem (w Laidley w 1942 roku), odpierał

japońską inwazję na Nową Gwineę. Dla mnie zawsze był bohaterem. W jednym z moich najdawniejszych wspomnień pojawił się w domu na przepustce, w mundurze khaki i kapeluszu o szerokim rondzie. Wydaje mi się, że miałem wówczas trzy lata.

Przez pewien czas mieszkałem w domu mojego dziadka, w Plainland. Potem przeprowadziliśmy się na 80-hektarową farmę. Julius hodował tam krowy i uprawiał niewielkie poletko, które obsadzał ziemniakami i cebulą. Wczesnie zacząłem pracować na farmie. Wstawałem codziennie o czwartej trzydzieści rano, by w deszczu lub słońcu zgonić zwierzęta z pastwiska. Potem dołem krowy i ruszałem do oddalonej o pięć kilometrów szkoły podstawowej w Laidley. Zimą, kiedy temperatury u podnóża Wielkich Gór Wododziałowych spadały poniżej zera, bywało mi ciężko.

Jedną z pierwszych rzeczy, których się wówczas nauczyłem, było utrzymywanie ciepłoty ciała. W chłodne poranki rosa posrebrzała trawę, a ja cierpliwie czekałem, aż krowy podniosą się z miejsc, w których spały. Następnie kładłem się w wygniecionych przez nie dołkach i w ten sposób się ogrzewałem. Patrzyłem też, kiedy podniosą ogon i zrobią kupę. Zrzucałem wówczas moje stare, popękane buty, które odziedziczyłem po którymś z mieszkających w okolicy kuzynów, po czym stawałem w świeżym, wciąż parującym łajnie. Wydawało mi się równie kojące co gorące kakao. Po prostu krowie odchody dostawały się pomiędzy palce i ogrzewały moje zziębnięte stopy. Oczywiście dziś wszyscy pukają się w czoło, kiedy słyszą tę historię. Ale uwierzcie mi - bydlęcy nawóz grzeje zdecydowanie lepiej niż jakiegokolwiek skarpetki. Kiedy już dorosłem i w pracy ładowałem w gównie, zawsze

przypominałem sobie czasy, gdy jako mały chłopiec brodziłem gołymi stopami w krowich odchodach. Od razu poprawiał mi się humor.

Dorastałem na wsi, więc siłą rzeczy nauczyłem się wszystkiego, co wiąże się z życiem na farmie. Znałem się na kowalstwie i naprawianiu lemieszki. Rozgrzewałem je do czerwoności i nadawałem odpowiedni kształt za pomocą młota. Stali brakowało jeszcze przez wiele lat po wojnie, dlatego do moich obowiązków należało wyciąganie starych gwoździ z drewna i prostowanie ich, a także formowanie zużytych gwintów. Niejednokrotnie od prac polowych i stawiania płotów miałem poranione ręce, a mimo to nie narzekałem. Uważałem harówkę za część życia na wsi. Nie potrafiłem wyobrazić sobie dnia bez ciężkiej pracy.

Ojciec nigdy nie kupował narzędzi, ponieważ nie starczało mu na nie pieniędzy. Zresztą nawet gdyby je miał, zgodnie ze swoją filozofią wolałby wykonać pracę sam. Kiedy brakowało mu odpowiedniego sprzętu lub materiałów, po prostu kombinował coś z niczego. To dzięki niemu zrozumiałem, że warto być twardym i niezależnym, szanować pracę, a także polegać tylko na sobie. Ojciec nauczył mnie również, że nie należy się niczego bać, co nieraz przydało mi się podczas pracy w zawodzie detektywa. Na farmie nie brakowało węży, zwłaszcza czarnych czerwono brzuchych oraz znacznie bardziej niebezpiecznych brązowych wschodnich, uważanych za najbardziej jadowite węże na świecie. Dla nas, dzieci, stanowiły one okazję do zabawy - ojciec pokazał nam, jak się z nimi obchodzić. Doskonale posługiwał się batem i potrafił odciąć gadowi głowę za ledwie jednym uderzeniem. Udowodnił nam, że nie trzeba przed nimi uciekać, choć należy zachować ostrożność.

Nawet dziś w moim domu na przedmieściach Brisbane cieszę się towarzystwem olbrzymiego pytona dywanowego. Zamieszkał na werandzie i często wyleguje się na słońcu. Jest tak gruby, że kiedy któregoś razu sunął nocą do swojej kryjówki, jeden z wracających do domu sąsiadów pomylił go z zamontowanym niedawno na naszej ulicy progiem zwalniającym.

Tata potrafił też umocnić moje poczucie własnej wartości, co uważam za jeden z najpiękniejszych darów, jakimi mnie obdarzył. „Dla mnie zawsze jesteś zwycięzcą, jeśli nawet inne dzieci twierdzą, że cię pokonały”, mawiał. „Zawsze trzymaj głowę wysoko i bądź z siebie dumny” dodawał. Gdy byłem mały, bawił się ze mną w wymyślane przez siebie zabawy. Uczył mnie w ten sposób zaradności. Już wtedy musiałem szybko podejmować decyzje i zachować spokój w sytuacjach stresowych. Ojciec powtarzał, że mierząc się z jakimś problemem, nie wolno się denerwować. Lepiej pomyśleć nad planem B umożliwiającym wydostanie się z opresji.

W tamtych czasach najczęściej najstarszy syn dziedziczył farmę lub przejmował opiekę nad nią jeszcze za życia ojca. Nikogo więc nie zdziwiło, że po ukończeniu czternastego roku życia zrezygnowałem z dalszej nauki. Zająłem się ziemią, którą tata kupił w Samsonvale, w leżącym na północ od Brisbane rejonie Pine Rivers. Jednocześnie Ron Eddington, przyjaciel rodziny, a zarazem policjant z pobliskiego Dayboro, zainteresował mnie swoim zawodem. Uważałem go za uczciwego i prawdomównego człowieka. Był może nieco staromodny, miał jednak dziesięcioro czy dwanaścioro dzieci, które uwielbiał, i ciężko pracował na ich utrzymanie.

Ktoregoś dnia zasugerował, że nadaję się na kadeta. Poszedłem więc do policyjnego centrum dowodzenia w Petrie

Terrace i przystąpiłem do egzaminu. Niestety tego dnia pojawiło się trzydziestu innych kandydatów i ostatecznie nie zostałem przyjęty. Poproszono mnie jednak, żebym wrócił, gdy będę pełnoletni - miałbym wówczas szansę zostać konstablami. Wiedziałem, że odpadłem podczas rekrutacji, ponieważ miałem braki w wykształceniu, jednak na farmie ojca pracowałem aż do ukończenia siedemnastego roku życia i w tym czasie nie chodziłem już do szkoły. Nie byłem w stanie połączyć pracy na roli z edukacją.

Kiedy nadeszła wielka susza, popadliśmy w kłopoty finansowe. Aby się utrzymać, ojciec wziął kilka kredytów, ale nie był w stanie spłacić ich na czas. W rezultacie musiał sprzedać część ziemi. Byliśmy załamani rozwojem wypadków. Wszystko, co zasadziliśmy, uschło w palącym słońcu. Tygodnie wytężonej pracy poszły na marne... Ironią losu jest to, że ziemia, na której mój ojciec tak ciężko harował i którą stracił podczas suszy, dziś znajduje się pod powierzchnią wody. Jezioro Samsonville powstało w wyniku spiętrzenia wody na rzece North Pine. Tama, którą tam wybudowano, zapewniła dostęp do świeżej wody pitnej północnym przedmieściom Brisbane.

Dla wielu ludzi utrata ziemi, a zarazem dziedzictwa, okazałaby się zabójcza. Jednak nie dla mojego ojca.

Niemal od razu zaczął rozglądać się za nową pracą. Dzięki temu odłożył trochę pieniędzy i mogliśmy się przeprowadzić do Inala, dzielnicy leżącej na zachodzie Brisbane i zamieszkałej głównie przez klasę pracującą. Ojciec dostał najpierw pracę w firmie budowlanej - jeździł w niej buldożerem i obsługiwał maszyny budowlane - a potem został kierowcą autobusu. Często powtarzał, że żadna praca nie hańbi. I choć nie było nam łatwo, nigdy nie chodziliśmy głodni.

Przez jakiś czas pracowałem na farmie sąsiada, a potem jako kuchcik w Brisbane. Zacząłem również chodzić na kurs kucharski do szkoły gastronomicznej położonej we wschodniej części miasta. Brak formalnego wykształcenia coraz bardziej utrudniał mi jednak życie, więc wstąpiłem do Australijskich Królewskich Służb Powietrznych (RAAF), gdzie ukończyłem szkołę średnią.

W wojsku skorzystałem z wielu form dokształcania. Chodziłem na wszystkie możliwe zajęcia dodatkowe, w tym na kurs ślusarski, który doceniłem, gdy jako detektyw musiałem włamywać się do prywatnych domów. Nauczyłem się wówczas, jak otwierać stare zamki Lockwooda za pomocą kawałka plastiku z wazeliną. Osobie wyćwiczonej nie sprawiało to większych trudności.

W bazie wojskowej Amberley gotowałem, a w wolnych chwilach pracowałem u Grega Cavilla, właściciela hotelu Breakfast Creek. W głębi serca czułem jednak, że nie jest to zajęcie dla mnie. W końcu wystąpiłem o przeniesienie do służb policyjnych RAAF, a ściślej do sekcji wywiadu. Przeszedłem wówczas szkolenie w komisariacie policji przy Russell Street w Melbourne, nieopodal miejsca, w którym powieszono słynnego australijskiego bandytę Neda Kelly'ego. Następnie wziąłem udział w kursie samoobrony oraz poznałem podstawy pracy wywiadowczej. Dzięki treningom walki wręcz stałem się bardzo sprawny fizycznie. Te umiejętności okazały się bezcenne w moim późniejszym życiu, podobnie jak szkolenie z prowadzenia tajnych misji, które uświadomiło mi, na czym polega praca detektywa.

Kiedy wybuchła wojna w Wietnamie, otrzymałem propozycję wyjazdu do Tajlandii i pracy dla wywiadu. Wybrałem

jednak ofertę ASIO (Australijska Tajna Służba Wywiadowcza) i spędziłem mnóstwo czasu, podsłuchując międzynarodowe rozmowy telefoniczne, między innymi dotyczące sprawy radzieckiego dyplomaty i szpiega Władymira Petrowa. W siłach powietrznych służyłem sześć lat. Opuściłem je 3 grudnia 1966 roku.

Otrzymałem co prawda propozycję pozostania w ASIO, jednak potrzebowałem odmiany. Wydzierżawiłem na dwa lata motel Golden Moon w miasteczku Gold Coast, nieopodal plaży Currumbin, Jednocześnie myślałem o zostaniu detektywem. Wreszcie w 1969 roku zobaczyłem interesujące ogłoszenie, które opublikował były policjant z Queensland, Charlie Holloway. Mężczyzna szukał partnera do swojego biura detektywistycznego. Wtedy właśnie, w wieku 27 lat, przypieczętowałem swoją przyszłość.

Firma nazywała się Allied Investigation Services (Zjednoczone Usługi Śledcze), a Charlie szybko udowodnił, że jest doskonałym współpracownikiem. Okazał się również świetnym mentorem. Nauczył mnie wszystkiego o technikach detektywistycznych, a także o zbieraniu dowodów i zeznań. Aż do emerytury, na którą przeszedł pięć lat później, urzędowaliśmy w biurze znajdującym się w budynku Blockside'a i Fergusona przy ulicy Adelaide w biznesowej dzielnicy Brisbane.

Moje pierwsze zadanie polegało na zgromadzeniu dowodów niezbędnych do przeprowadzenia sprawy rozwodowej. Zresztą większość zleceń, które wówczas otrzymywałem, sprowadzała się do robienia zdjęć potrzebnych rozżalonym mężom lub żonom. Aż do 1975 roku, kiedy rząd federalny Gougha Whitlama zmienił prawo, rozwód orzekano jedynie

po przedstawieniu dowodów zdrady takich jak fotografie, same sprawy zaś kierowano do Sądu Najwyższego. W rezultacie na początku lat siedemdziesiątych widziałem więcej gołych tyłków niż niejeden proktolog. Zakradałem się z aparatem fotograficznym do sypialni, gdzie podziwiałem twarze czerwone ze złości lub z zakłopotania. Gdyby ktoś oskarżył mnie wówczas o włamanie lub nielegalne wkroczenie na teren prywatny, wybroniłbym się. Zbierałem przecież dowody na potrzeby sądu.

Podczas mojej pierwszej sprawy - drugiego dnia pracy - zamierzałem przytapać męża klientki w łóżku z inną kobietą. Postanowiłem pojechać ze zleceniodawczynią i z Charliem do leżącego niedaleko Brisbane nadmorskiego kurortu Caloundra. Pędziliśmy Bruce Highway moim najnowszym cackiem, sześciocyndrowym holdenem torana w kolorze szarym, z niezwykle wówczas modnym, winylowym dachem. Umocowałem na nim bagażnik z drabiną, która mogła nam się przydać, gdybyśmy musieli włamać się przez okno do pokoju na piętrze. Zabrałem też aparat fotograficzny, którym planowałem uwiecznić zdradę podejrzanego.

Nawet gdyby skończyło się na kilku ziarnistych, czarno-białych fotkach, byłbym zadowolony. Miałbym dowód zdrady niewiernego małżonka, a także wizerunek jego dziewczyny poznającej właśnie prawdziwy smak życia. Była to moja pierwsza poważna sprawa.

- Kto wie, być może przyda nam się twoje doświadczenie w otwieraniu zamków - powiedział Charlie, kiedy jechaliśmy na północ, w stronę Golden Coast. - Chciałbym, żebyś otworzył drzwi i wszedł do budynku, a następnie zorientował się, w którym są pokoju. Potem wpadniemy do niego i flesz pójdzie w ruch.

Szybko opracowaliśmy plan akcji. Mieliśmy obserwować dom z ukrycia aż do momentu, gdy zrobi się ciemno i w oknach zgasną światła. Potem należało poczekać około godziny. Charlie nauczył mnie, że przy tego typu zleceniach warto być cierpliwym. Kochankowie robili to, co mieli do zrobienia, a potem w ciągu godziny zasypiali. Z reguły spali tak głęboko, że nie słyszeli, jak ktoś po cichu zakrada się do ich pokoju.

Planowaliśmy wejść na paluszkach, zapalić światło i zrobić kilka zdjęć. Flesz miał ich oszołomić - liczyliśmy, że zanim zerwą się z łóżka i czymś okryją, my będziemy już w samochodzie. Wzięliśmy ze sobą żonę podejrzanego. Postępowaliśmy tak w większości przypadków, ponieważ ktoś musiał zidentyfikować cudzołóżnika do celów sądowych.

- A teraz, Margaret, czy poznajesz tego mężczyznę.¹ Czy to twój mąż?⁵ - pytaliśmy, robiąc zdjęcia.

- Tak - odpowiadała kobieta, podczas gdy jej mąż próbował naciągnąć spodnie.

- Bill! - kontynuowaliśmy głosem prawników z serialu *Świadek oskarżenia*. - Czy zaprzeczasz, że popełniłeś cudzołóstwo z obecną tu kobietą, dziś lub kiedykolwiek indziej, w tym czy innym miejscu.'

Jeśli Bill wyciągał pistolet lub nóż, ucinaliśmy nasze wystąpienie i uciekaliśmy.

Podczas mojej pierwszej sprawy dość szybko odnaleźliśmy dom w Caloundra, jednak czekaliśmy całe wieki, aż zgasną w nim światła. Potem daliśmy podejrzanym godzinę, żeby zasnęli, i w ten sposób ułatwili nam pracę.

Zamek we frontowych drzwiach otworzyłem w mgnieniu oka. Czułem się jak prawdziwy detektyw wykonujący

poważne zadanie. Powoli i po cichu zanurzyłem się w ciemność spowijającą korytarz. Miałem nadzieję, że deski podłogowe nie zaskrzypią nagle i nie zdradzą mojej obecności.

Na końcu korytarza dostrzegłem drzwi. Były zamknięte, jednak odniosłem wrażenie, że to właśnie za nimi znajdował się pokój, który obserwowaliśmy z zewnątrz. Przyłożyłem do nich ucho, jednak nie usłyszałem ani jednego dźwięku, choćby pojedynczego oddechu.

Cicho je otworzyłem i przesunąłem się krok do przodu, po czym poczułem, że lecę na twarz. Błyskawicznie zdusiłem okrzyk, który instynktownie chciałem z siebie wydać. Jakimś cudem znalazłem się na podwórku!

A niech to szlag!

W ostatniej chwili złapałem się drzwi i znieruchomiałem. Potem cofnąłem się do środka.

Ten budynek był w budowie! Z miejsca, w którym parkowaliśmy, nie sposób było się zorientować, że robotnicy postawili przednią część domu, a za tylną jeszcze się nie wzięli!

Modliłem się w duchu, żeby moje potknięcie nie przerozdziło się w porażkę.

Wydawało mi się jednak, że kochankowie się nie obudzili. Po cichu przeszukałem resztę domu i w końcu znalazłem ich w jednym z pokoi, splecionych w miłosnym uścisku. Wycofałem się i wróciłem po Charliego i naszą klientkę. Przemknęliśmy przez korytarz i wpadliśmy do sypialni podejrzanego.

Trzask, trzask, trzask! Aparat robił kolejne zdjęcia, podczas gdy zaskoczeni kochankowie próbowali podnieść się z łóżka. Zanim się zorientowali, co się dzieje, nasza klientka zidentyfikowała nagiego mężczyznę, stojącego obok nagiej

kochanki, jako swojego męża. Z dowodami zdrady na kliszy ruszyliśmy w stronę samochodu.

Charlie był wielkim żartownisiem. W drodze powrotnej do Brisbane, niedaleko Kallangur, odwrócił się nagle do klientki.

- Masz świadomość, że to był tylko taki test? - zapytał ją śmiertelnie poważnym tonem. - Jutro wrócimy tam i przeprowadzimy akcję tak, jak należy. No i naprawdę zrobimy im zdjęcia.

Do dziś pamiętam jej minę i zaczynam się śmiać.

Oczywiście nie zawsze było nam tak wesoło. W 1973 roku w towarzystwie Charliego i z aparatem fotograficznym w dłoni pojawiłem się w niewielkiej chatce na farmie nieopodal Toowoomba, gdzie pewien mężczyzna figlował w łóżku z miejscową mężatką. Na nasz widok jedną ręką podciągnął slipy, drugą zaś sięgnął po strzelbę i zaczął strzelać. Uciekliśmy przed nim w pole kukurydzy. Rok później w Murwillumbah niewierny mąż próbował przedziurawić Charliego włócznią własnej roboty, przeznaczoną do polowań na ryby. Na szczęście mojemu partnerowi udało się unieszkodliwić napastnika.

Choć przez długie lata sprawy rozwodowe były naszym chlebem powszednim, nie zajmowaliśmy się jedynie robieniem zdjęć nagim pośladkom. Prowadziliśmy również śledztwa w sprawach ubezpieczeniowych, a także malwersacji i rekompensat dla pracowników. Kilkakrotnie zostałem wtyczką, między innymi w kopalni i fabryce. Udawałem wówczas zwykłego robotnika i próbowałem ustalić, kto okrada właścicieli.

W 1973 roku prowadziłem śledztwo dla Cecila i Leslie Thiessów, właścicieli dużej firmy budowlanej. Dotyczyło

„znikającego” sprzętu. Pojechałem na północ stanu i jako pomocnik wiertniczego brałem udział w budowie linii kolejowej Yabulu-Green vale. Pewnego dnia podsłuchałem robotników, którzy rozmawiali o kradzieży łądownarki. Planowali ukryć ją w górach. Chcieli wjechać nią do wąwozu i przykryć gałęziami, żeby nikt jej nie zauważył. I pewnie dopięliby swego, gdyby mnie tam nie było. Pracowałem również dla koncernu naftowego. Olbrzymią cysterną dowoziłem paliwa do stacji benzynowych i prowadziłem śledztwo w sprawie kradzieży ropy naftowej.

We wczesnych latach siedemdziesiątych wynajął mnie Stewart John Regan, nazywany najbardziej niebezpiecznym człowiekiem w Australii. Regan miał okropną bliznę przecinającą policzek, ciągnącą się od czoła aż po brodę. Nadawała jego twarzy przerażający i zarazem groteskowy wyraz. Tuż przed naszym spotkaniem nieomal zginął z ręki innego bandziora, Jamesa Richarda Fincha, tego samego, który w 1973 roku został skazany za podłożenie bomby pod klub Whiskey Au Go Go w centrum Brisbane (zginęło wówczas 15 osób).

Regan był groźnym przestępcą terroryzującym biznesmenów z Sydney i okolic. Jeździł olbrzymim białym kabrioletem thunderbird. Chętnie odwiedzał biura i domy swoich ofiar, a twarz miał taką, że przeraziłby samego szatana. Dopiero po jego śmierci dowiedziałem się, że podejrzewano go również o kilka morderstw, jednak nigdy mu ich nie udowodniono.

Były policjant Roger Rogerson powiedział mi kiedyś, że Regan to najpaskudniejszy typ, jakiego kiedykolwiek spotkał. W jego opinii mój klient był niebezpiecznym psychopata. Podobno bez przerwy łamał prawo i zamordował tak wiele osób, że nie dałoby się ich wszystkich spamiętać. Brakowało

jedynie dowodów umożliwiających postawienie go przed sądem.

Co ciekawe, choć Regan prowadził nielegalne interesy, to pałał nienawiścią do handlarzy narkotyków. Korzystał z moich usług aby zdobywać obciążające ich dowody, które dostarczał policji. Jego fatalna reputacja mi nie przeszkadzała, ponieważ czułem, że robię dobrze, pomagając wpakować handlarzy narkotyków za kratki. Dopóki nie zmuszał mnie do łamania prawa, z przyjemnością przyjmowałem jego zlecenia.

Pamiętam, jak wysłałem mu pierwszy rachunek opiewający na 300 dolarów. Zadzwonił do mnie i poprosił o spotkanie w hotelu Hacienda w dolinie Fortitude. Kiedy pojawiłem się na miejscu, sięgnął po tekturową podstawkę od drinka i napisał na odwrocie: „Proszę wypłacić panu Keithowi Schafferiusowi 300 dolarów”, po czym się podpisał.

- Zanieś to do banku Nowej Południowej Walii przy stacji kolejowej Morningside. Bez problemu wypłacą ci tę sumę - powiedział i wepchnął kartonik w moje ręce.

Uznałem to za żart, ale mimo to odwiedziłem wskazany bank i wręczyłem podstawkę bankierowi. Spodziewałem się, że zostanę wyśmiany. Mężczyzna spojrział na przedmiot, jakby to była psia kupa, po czym zerknął na podpis.

- Chce pan w pięćdziesiątkach czy dwudziestkach? - zapytał nieoczekiwanie.

Regan był przestępcą, a jednocześnie fantastycznym klientem. Wiedziałem, że jest bogaty, więc żądałem od niego podwójnych stawek. Nigdy nie protestował. I dobrze.

Bill Jenkins, znany dziennikarz kryminalny z Sydney, przyznał kiedyś, że spośród wszystkich brutalnych morderców

oraz przestępców, których spotkał podczas wykonywania obowiązków zawodowych, Regan wydawał mu się najbrzydliwszy. Opuścił ten świat w 1974 roku, kiedy w parku przy Chapel Street w Marrickbille (zachodnie Sydney) dosięgło go pół tuzina kul wystrzelonych przez policjantów. „Był takim łajdakiem, że nikt nie chciał go później pochować”, wspominał Jenkins.

Roger Rogerson odwiedził kostnicę, w której leżało ciało Regana.

- Przysięgam, że nawet po śmierci miał złowieszczy uśmiezek na swojej paskudnej twarzy - powiedział.

Zlecenia bankowe wypisywane na podstawkach od driników przeszły tym samym do historii.

Dopiero kilka lat później poznałem całą prawdę o Reganie i wszystkich jego zbrodniach. Zrozumiałem wówczas, że powinienem był trzymać się od niego z daleka. Współpracowałem z nim jako młody detektyw, który za wszelką cenę chciał utrzymać swoją firmę. Dbałem jedynie o to, by nie łamać prawa. Powinienem jednak rozsądniej dobrać zleceniodawców.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy w parku Regan zginął od kul, do mojego biura w Brisbane zadzwonił Alistair McCarthy. Jego telefon zmienił rodzaj wykonywanej przeze mnie pracy. To dzięki niemu zwróciłem uwagę na sprawy, którymi zajmowałem się przez resztę mojej kariery detektywistycznej.

Alistair odezwał się do mnie, ponieważ jego dzieci zostały uprowadzone.

Przerwane lekcje

W 1974 roku Brisbane nawiedziły olbrzymie powodzie, a cyklon Tracy zrównał z ziemią Darwin. Były brytyjski minister John Stonehouse upozorował swoją śmierć na Florydzie, ale szybko został namierzony i aresztowany w Melbourne, gdzie pod nowym nazwiskiem próbował się urządzać ze swoją długoletnią kochanką. W tym samym roku trafiłem do świata międzynarodowych spisków i niezwykłych przygód.

Kiedy Charlie Holloway przeszedł na emeryturę, postanowiłem samodzielnie pokierować firmą i odkupiłem jego udziały w Allied Investigation Services. Od tego czasu kilkakrotnie zmieniłem nazwę firmy i przeniósłem się do nowego biura. W najlepszym momencie zatrudniałem czterdzieści trzy osoby i byłem prywatnym detektywem z najdłuższym stażem w kraju.

Firma zmieniła specjalizację, gdy Alistair McCarthy, sympatyczny sklepikarz z miasteczka Ballarat w stanie Victoria, skontaktował się z moim biurem. Mężczyzna oświadczył, że jego żona Iris, wbrew decyzji sądu, wprowadziła

dzieci do Brisbane. Zgodziłem się mu pomóc i zostałem specjalistą od uszczęśliwiania porwanych *dzieci i ich* załamanych rodziców.

Alistair uwielbiał zabierać dziewięcioletniego Nicholasa i siedmioletnią Jane nad jezioro Wendouree oraz do miejskich ogrodów botanicznych. Kiedy dzieci zniknęły, mężczyzna stracił sens życia. Od tej pory ciągle chodził podenerwowany i zamartwiał się z byle powodu. Wiedział, że jego żona kupiła bilety do Brisbane, ale nie miał pojęcia, gdzie się zatrzymała. Dysponował jedynie tymczasową decyzją sądu przyznającą mu prawo do opieki nad Nicholasem i Jane, więc policja nie była zainteresowana poszukiwaniem dzieci w innym stanie.

W urzędzie pocztowym Alistair przejrzał ogłoszenia agencji detektywistycznych z Brisbane. Wybrał moje, ponieważ rzucało się w oczy - było największe na stronie.

- Proszę, pomóż mi - powiedział zbolałym głosem. - Moja żona zniknęła razem z dziećmi i mam wrażenie, że zaraz zwariuję z rozpacz. Nie mogę spać. Nie mogę myśleć. Kocham Nicholasa i Jane najbardziej na świecie.

Wkrótce miałem się przekonać, że jego dzieci tęsknią za nim równie mocno.

To była moja pierwsza próba odzyskania dzieci porwanych prawowitemu opiekunowi. Podczas śledztwa i samej akcji zamierzałem się sporo nauczyć. Chciałem pomóc, ale najpierw musiałem ustalić miejsce pobytu Nicholasa i Jane.

Charlie Holloway świetnie mnie wyszkolił. Mimo to moja wiedza, a także kontakty, wcale nie ułatwiły mi odnalezienia dzieci Alistaira. Dotarcie do Iris zajęło mi siedem tygodni. Pomogli mi w tym znajomi pracujący w różnych urzędach.

Niektórzy z nich musieli złamać prawo, żeby udzielić mi informacji, których potrzebowałem.

Żonę Alistaira namierzyłem dzięki dokumentom z pomocy społecznej. Obecnie ze względu na prawo do prywatności detektywi mają coraz większe trudności z odnajdywaniem zaginionych osób. Urzędnik ujawniający tego typu dane musi się liczyć z utratą pracy i odpowiedzialnością karną. Kilkanaście lat temu jednak tak nie było. Co więcej, cieszyłem się wielkim szacunkiem ludzi z różnych biur i departamentów, ponieważ pomagałem im ujawniać liczne oszustwa. Czasami odwzajemniali się, udzielając informacji, których potrzebowałem.

Jeden ze znajomych doniósł mi, że Iris mieszka razem z dziećmi w Arana Hills, dzielnicy leżącej na północnym zachodzie Brisbane. Kobieta pracowała jako sprzątaczką w koszarach wojskowych w Enoggera i otrzymywała zasiłek na dzieci, dzięki któremu udało się ją namierzyć.

- Doskonale! - ucieszył się Alistair, kiedy zadzwoniłem do niego z tą nowiną.

Powiedziałem mu, że w każdej chwili możemy wkroczyć do akcji.

- Gwarantuję ci, że zanim się zorientujesz, będziesz karmił łabędzie nad jeziorem Wendouree. Oczywiście z Nicholasem i Jane! - dodałem.

Nigdy wcześniej nie pracowałem z dziećmi, jednak instynktownie czułem, że Alistair powinien mi towarzyszyć. Doszedłem do wniosku, że jeśli zobaczą obok mnie swojego ukochanego ojca, dadzą się zabrać z dowolnego miejsca, w których je zastaniemy. Nie chciałem jednak porywać ich z domu. Uważałem, że byłoby to szkodliwe dla ich psychiki.

Poza tym Iris urządziłaby dziką awanturę, gdybyśmy próbowali zabrać je w jej obecności. Nie puściłaby ich bez walki, a co za tym idzie, zraniłaby je.

Uznałem, że najlepiej będzie pojawić się w szkole, do której chodziły. Najpierw jednak planowałem zrobić rozpoznanie. Chciałem pojechać za Iris i opracować jej plan dnia, a następnie przygotować strategię odbicia dzieci. Najlepiej taką, która nikomu nie sprawiłaby kłopotów.

Przystąpiłem do działania. Szybko zorientowałem się, że choć Iris porwała dzieci po to, by dopiec Alistairowi, to opiekowała się nimi dość dobrze. Wydawały mi się jednak nieco zaniedbane i chudsze niż roześmiana dwójka, jaką mężczyzna pokazał mi na fotografii.

Rano Iris odprowadziła dzieci do szkoły i upewniła się, że bezpiecznie weszły do budynku. *Uczyły* się w Ferny Hills, typowej szkole stanowej z Queensland.

Postanowiłem śledzić kobietę, ponieważ chciałem wiedzieć, co robi w dalszej części dnia. Gdyby większość czasu spędzała w innej dzielnicy, byłibyśmy w bardziej komfortowej sytuacji - mielibyśmy więcej czasu na działanie. Jeździłem za Iris cały dzień. Po wizycie w szkole poszła na przystanek i wsiadła do autobusu. Wsiadła przy koszarach, gdzie pracowała jako sprzątaczką, i udała się do pobliskiego budynku. Zaczekałem, aż skończy zmianę. W końcu znów ją ujrzałem - wsiadła do autobusu i wróciła do szkoły. Około czternastej trzydzieści odebrała dzieci i zaprowadziła je do domu.

Zadzwoniłem do Ballarat i opowiedziałem o wszystkim Alistairowi. Zapewniłem go, że niedługo odzyska dzieci.

- Czym prędzej przylatuj do Brisbane. Wkrótce będziesz miał je przy sobie - stwierdziłem.

Alistair pojechał na lotnisko Tullamarine w Melbourne i kupił bilet na najbliższy lot. Zaraz po lądowaniu zarezerwował miejsce w motelu na przedmieściach Hamilton, nieopodal starego lotniska.

Chciałem mieć pewność, że policja nie będzie nas szukać, więc zwykłym czarnym markerem przemałowałem numery na tablicy rejestracyjnej. W tamtych czasach taka zmiana była naprawdę prosta i skuteczna - pod warunkiem, że policja nie zatrzymałaby nas za jakieś drobne wykroczenie. Wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy pod szkołę w Ferny Hills. Pojawiliśmy się tam około siódmej trzydzieści i czekaliśmy na właściwy moment.

Godzinę później Alistair zagwizdał przez zęby. Iris, Nicholas i Jane nadeszli ulicą Illuta i weszli na teren szkoły. Dzieci wyglądały na zmęczone i smutne. Ich pojawienie się wytrąciło Alistaira z równowagi. Bałem się, że wyskoczy z samochodu i pobiegnie w stronę dzieci. Postanowiłem uprzedzić fakty.

- Nie tak szybko! Schowaj się. Nie mogą cię zobaczyć! - powiedziałem i kazałem mu się skulić na siedzeniu.

Zza deski rozdzielczej wystawał jedynie fragment jego czoła.

Podobniejak kilka dni wcześniej Iris zostawiła dzieci pod opieką nauczyciela i ruszyła w stronę przystanku autobusowego. Jane i Nicholas podeszli do innych uczniów i zaczęli rozmawiać ze znajomymi. Uznałem, że to najlepszy moment, żeby wkroczyć do akcji.

- Idziemy - powiedziałem do Alistaira i go poklepałem.

Weszliśmy na teren szkoły, dumnie prężąc piersi, zupełnie jak generał MacArthur maszerujący wzdłuż plaży zaraz

po powrocie z Filipin. Jane i Nicholas wydawali się bardzo zaskoczeni, kiedy zobaczyli ojca.

- Cześć, Nick! Cześć, Jane! - zawołał Alistair, kiedy zszokowane dzieci zaczęły krzyczeć z radości.

Raban wywołany spotkaniem z ojcem przyciągnął uwagę stojących przed klasą dzieci i ich nauczyciela, dość potężnie zbudowanego mężczyzny w wieku około czterdziestu lat. Od razu podbiegł, żeby zobaczyć, co się dzieje.

- Kim panowie jesteście i co tu robicie i' - zapytał.

- Jestem licencjonowanym prywatnym detektywem - odpowiedziałem i pokazałem mu dokumenty. - Ten mężczyzna to Alistair McCarthy, a to są jego dzieci - dodałem. Jane i Nicholas przytulili się do taty. - Ich matka wbrew prawu uprowadziła je z Victorii. Zamierzam dopilnować, żeby wróciły bezpiecznie do domu.

- Dla mnie możesz być nawet Columbo - odpowiedział wątpiaco oburzony nauczyciel. - Natychmiast się stąd wynoś. - Miałem wrażenie, że zaraz rzuci się na mnie z pięściami.

- No, spadaj! - zawołał i klepnął mnie w pierś. - Nigdzie dzieci nie zabierzecie. Zresztą pani McCarthy opowiedziała nam wszystko o ich ojcu - stwierdził, po czym wskazał kciukiem Alistaira. - Dostaliśmy bardzo szczegółowe instrukcje. Dzieci mogą opuścić szkołę jedynie w towarzystwie matki. Czy to jasne:¹

Znalazłem się w trudnej sytuacji. Nie chciałem wdawać się w kłótnię z nieznanym, a jednocześnie miałem obowiązki względem mojego klienta i jego dzieci. Z ich twarzy wyczytałem, że bardzo ucieszyły się na widok taty i chciały wrócić z nim do domu. Zachowywały się tak, jakby pojawił się w więzieniu ze szczypcami do cięcia drutu i samochodem

przygotowanym do ucieczki! Problem w tym, że rozumiałem również nauczyciela. Robił to, co uważał za słuszne. Postępował zgodnie ze wskazówkami jedyne go opiekuna dzieci, jakiego znał. Ponieważ wiedziałem, jak sytuacja wygląda w rzeczywistości, zareagowałem w możliwie łagodny sposób.

- Nie możesz nas powstrzymywać - wyjaśniłem. - Ten mężczyzna jest ojcem dzieci i chce je zabrać do domu. Ma do tego prawo potwierdzone wyrokiem sądu. Możesz nam utrudniać działania, ale tylko przestraszysz dzieci.

Nie chciałem, żeby sytuacja wymknęła się spod kontroli. Nie zamierzałem też wdawać się w bójkę, ponieważ nauczyciel wykonywał jedynie swoje obowiązki - starał się zapewnić bezpieczeństwo dzieciom, które miał pod swoją opieką. Inna sprawa, że nie byłem przygotowany na taką konfrontację. Bałem się, że mężczyzna zaatakuje Alistaira.

- W porządku - oświadczył nauczyciel. - Być może nie uda mi się was zatrzymać, ale policja nie będzie mieć z tym problemów. Jeszcze się o tym przekonacie!

- Rób, co uważasz za słuszne - odpowiedziałem. - Chodźcie, dzieci. Jedziemy!

Nauczyciel podbiegł do bramy, przez którą przed chwilą przeszliśmy, i próbował ją zamknąć.

Poszliśmy za nim. Zauważyłem, że Nicholas i Jane zupełnie nie przejęli się kłótnią. Cieszyli się, że zobaczyli tatę, i byli podnieceni tym, co się wokół nich dzieje.

- Alistair, przeskakuj na drugą stronę. Podam ci dzieciaki - powiedziałem, gdy zbliżyliśmy się do płotu.

Kiedy znaleźliśmy się na ulicy, ruszyliśmy w kierunku samochodu. Nie bieглиśmy jednak, lecz szliśmy - nie chciałem niepotrzebnie zwracać uwagi. W aucie dzieci zajęły

miejsca na tylnym siedzeniu, a Alistair usiadł pomiędzy nimi i mocno je przytulił. Ruszyliśmy do motelu.

Czułem ulgę oraz olbrzymią satysfakcję.

W tym miejscu muszę się do czegoś przyznać. Otóż kiedy przyjąłem to zlecenie, nie miałem najmniejszego pojęcia, w jakich warunkach żyją dzieciaki Alistaira. Traktowałem go jak zwykłego klienta. Płacił za usługę, którą zdecydowałem się wykonać. Zależało mi przede wszystkim na pieniądzach. Oczywiście wiedziałem, że ma prawo do opieki nad dziećmi, jednak dopiero później zacząłem przyglądać się rodzinom, których dotyczyły zlecane mi sprawy.

Kiedy jechaliśmy ulicami Dawson, a potem Enoggera w stronę motelu, Nicholas i Jane utwierdzili mnie w przekonaniu, że podjąłem właściwą decyzję, przyjmując zlecenie od Alistaira.

- Mama nas nie znajdzie, prawda, tato? - zapytał chłopiec.

- Ona jest okropna - dodała Jane. - Mam nadzieję, że nigdy jej już nie zobaczymy.

Przysłuchiwanie się dzieciom mówiącym w ten sposób o swojej matce nie należało do przyjemnych. Uświadomiło mi jednak, jak wiele przez nią wycierpiały. Nicholas powiedział nam później, że pisał listy do taty. Prosił, żeby przyjechał do Brisbane na ratunek. Niestety matka codziennie przeszukiwała jego kieszenie. Każdą znaną karteczkę darła na drobne kawałki, a potem biła chłopca. Gdy Nicholas płakał, dostawał kolejne razy.

- Jane, czy wiesz może, jak długo byśmy szli na piechotę do Ballarat? - pytał czasem Nicholas.

- Bardzo długo - odpowiadała jego siostra. - Ale i tak mama złapałaby nas, zanim dotarlibyśmy na miejsce.

- Racja. Mama złapałaby nas - zgadzał się z nią Nicholas, jakby to było takie oczywiste.

Dzieci przeżywały trudny okres, odkąd Iris wciągnęła je w wojnę ze swoim mężem. Na swój sposób je kochała, ale - moim zdaniem - wyżej ceniła zemstę niż ich dobro. Z tego typu postawą miałem dość często do czynienia w ciągu kolejnych lat pracy.

Tymczasem dzieci cieszyły się, że wracają do domu. Jane martwiła się jedynie o ubrania, które zostawiła u mamy. Alistair zapewnił ją, że w motelu czekają na nią i jej brata zupełnie nowe rzeczy.

- A co z moimi przyjaciółmi ze szkoły? Czy spotkam się z nimi w Ballarat? - zapytała.

- Oczywiście! - potwierdził jej ojciec. - I bardzo się ucieszą, kiedy cię zobaczą.

Nicholas przypomniał sobie szczeniaka, którego Iris nie pozwoliła mu zabrać do Brisbane.

- Teraz jest wielki jak komoda! - zaśmiał się mężczyzna.
- Kiedy wrócimy do domu, zapewne zaliże cię na śmierć!

Minęliśmy hotel Breakfast Creek, w którym kiedyś gotowałem, i skręciliśmy w ulicę Kingsford Smith. Powiedziałem wówczas Alistairowi, że nie powinien wylatywać z głównego lotniska Brisbane. Moim zdaniem policja je obstawi, kiedy tylko dowie się od Iris, że jej mąż odzyskał dzieci.

Nie chciałem, żeby Nicholas i Jane wpadli w ręce Iris i policji, ponieważ skomplikowałyby to sprawę. Zabranie dzieci ze szkoły nie było przestępstwem. Alistair miał pełne prawo do opieki nad nimi, mógł je zabrać w dowolnym momencie i wywieźć do innego stanu. Doświadczenie zdobyte podczas spraw rozwodowych podpowiadało mi jednak, że rozjuszona

Iris mogłaby opowiedzieć policji najbardziej niegodziwą historię. Nie chciałem, żeby Jane i Nicholas zostali wciągnięci w jakąś aferę na lotnisku. Przepychanki, krzyki i szarpanina z pewnością byłyby dla nich nieprzyjemne.

Po wizycie w motelu załadowałem bagaże Alistaira, Nicholasa i Jane do samochodu, a potem przywróciłem tablicom rejestracyjnym ich pierwotny wygląd. Pojechaliśmy na lotnisko Coolangatta w Gold Coast, miasteczku leżącym półtorej godziny drogi od Brisbane. Alistair kupił bilety do Melbourne na miejscu, bezpośrednio od przedstawiciela linii lotniczych.

- Dzięki za wszystko, Keith - powiedział Alistair, kiedy cała trójka szykowała się do wejścia na pokład samolotu.

Mówiąc to, puścił rękę Jane i uściśnął moją. Rzadko widywałem równie szczęśliwych ludzi.

Później dowiedziałem się, że dyrektor szkoły w Ferny Hills zadzwonił na policję, jednak podał im błędne numery rejestracyjne mojego samochodu. Zarówno on, jak i policja nie potrafili odnaleźć Iris i powiadomić jej o uprowadzeniu dzieci. O wszystkim dowiedziała się, gdy o czternastej trzydzieści pojawiła się w szkole, żeby jak co dzień odebrać Nicholasa i Jane. Była zaskoczona tym, co się stało, ale nie wywołało to u niej jakichś większych emocji.

W tamtych czasach moja godzinna stawka wynosiła około 10 dolarów, w związku z tym całe śledztwo oraz odzyskanie dzieci kosztowało Alistaira nie więcej niż 2000 dolarów. Z jego punktu widzenia była to bardzo dobra inwestycja! Utrzymywałem z nim kontakt przez kilka kolejnych lat. Dość szybko uzyskałem pełne prawa do opieki nad dziećmi. Iris nawet nie próbowała o nie walczyć i widywała Nicholasa i Jane tylko

kilka razy w roku, gdy odwiedzała krewnych mieszkających w stanie Victoria.

Jane i Nicholas przesyłali mi bożonarodzeniowe kartki aż do momentu, gdy znaleźli sobie inne zainteresowania, typowe dla nastolatków. Za każdym razem dziękowali mi za odnalezienie ich kryjówki i pomoc udzieloną ojcu.

Te niewielkie liściki napisane przez dzieci wzruszają mnie do dziś. Świadomość, że w pozytywny sposób wpłynąłem na ich życie, daje mi ogromną satysfakcję.

W następnych latach czekało mnie wiele podobnych spraw.

Madonna z dzieckiem

Udana próba odzyskania dzieci Alistaira McCarthy'ego zbiegła się w czasie z zakończeniem rocznej batalii, jaką Madonna Schacht, celebrytka z Brisbane, stoczyła o opiekę nad synem. To była zawiła sprawa, którą przez kilka miesięcy ekscytowały się gazety. Dziennikarze rozpisywali się o „niekończącej się wojnie nerwów i wielkiej frustracji młodej australijskiej matki”, która wkrótce została moją klientką.

Madonna Schacht była popularną australijską tenisistką, która odniosła wiele sukcesów na kortach w latach sześćdziesiątych. Wtedy też zaprzyjaźniła się z Alanem Jonesem, młodym nauczycielem z Brisbane, a przy okazji tenisistą, który wiele lat później został królem australijskich fal radiowych. Gdy się poznali, Alan ciężko pracował na każdego dolara. Dorabiał do pensji, sprawdzając po nocach klasówki z języka francuskiego. W tamtych czasach życie gwiazdy sportu wyglądało zupełnie inaczej niż dziś. Gdyby Madonna urodziła się dwie dekady później, zarobiłaby na korcie miliony. W latach sześćdziesiątych musiała jednak pracować, żeby się

utrzymać - była sekretarką w redakcji wiadomości stacji telewizyjnej z Brisbane. Za udział w turnieju w Wimbledonie musiała zapłacić z własnej kieszeni.

Pod koniec lat sześćdziesiątych Madonna zakończyła karierę sportową i zaczęła pracę jako nauczycielka w szkole średniej w Brisbane. Jej krótkie małżeństwo z Rudim Weberem, wykładowcą fizyki z uniwersytetu Monash, zakończyło się półtora roku wcześniej. Madonna samotnie wychowywała dwuletniego synka Rudiego.

Dziewiętnastego lipca 1973 roku Rudi Weber, były już mąż pani Schacht, postanowił zabrać synka na wycieczkę. Odebrał go z domu rodziców Madonny przy ulicy Shirley w Enoggera, ale zamiast na plażę, pojechał na lotnisko. Poleciał do Sydney, gdzie przesiadł się do samolotu lecącego do jego ojczystej Austrii.

Tak rozpoczął się trwający rok koszmar. Madonna walczyła o swojego syna przed sądami trzech różnych krajów: Australii, Austrii i Niemiec. Dość szybko wpadła w depresję, ponieważ została bez środków do życia. Okazało się bowiem, że by odzyskać dziecko, musiała wyjechać na wiele miesięcy do Europy i tam wynająć prawników.

Zaledwie kilka dni po ucieczce byłego męża Madonna spakowała walizkę. Planowała pojechać do jego domu w alpejskim kurorcie Kufstein leżącym nieopodal granicy z Bawarią. To właśnie wtedy przyjaciel Alan Jones udzielił jej ogromnego wsparcia. Pomógł ustalić miejsce pobytu jej byłego męża, a także zdobył pieniądze potrzebne na wyjazd.

Przed wylotem Madonna zwierzyła się Johnowi Duksovi, reporterowi „Sunday Sun” że jej były mąż od dawna znajdował się pod opieką psychiatry. Kiedyś wydawał jej się czarującym,

wysportowanym, grającym na fortepianie intelektualistą, jednak potem okazał się depresyjnym paranoikiem cierpiącym na ataki nerwicy lękowej. Jej syn rzadko widywał ojca i nie miał z nim dobrego kontaktu, dlatego tenisistka cierpiała jeszcze bardziej, wyobrażając sobie, jak nieszczęśliwe musi być z nim jej dziecko. Według „Sunday Sun” Madonna była podenerwowana, jednak zdołała powstrzymać łzy. Twierdziła, że jest ofiarą niesprawiedliwego prawa, które pozwoliło Weberowi wywieźć chłopca z kraju bez jej zgody. Liczyła na wyrozumiałość męża i zamierzała go błagać, żeby oddał syna. Jeśli mężczyzna nie zgodziłby się na to dobrowolnie, planowała skierować sprawę do sądu. Spodziewała się ciężkiej przeprawy, jednak była zdecydowana zrobić wszystko, żeby odzyskać dziecko.

Kiedy Madonna przyleciała do Austrii, Rudi Weber nie pozwolił jej spotkać się z synem. Możliwe, że ktoś podeśłał mu artykuł Johna Duksa z „Sunday Sun”, który już na pierwszej stronie głosił wielkimi literami: „Rudi to psychopata”. Nieraz zdarzało się, że zainteresowanie mediów ułatwiało odzyskanie dziecka, jednak tym razem prawdopodobnie przyniosło odwrotny efekt.

Blisko rok Alan Jones zbierał dla Madonny pieniądze, a uczniowie z jej szkoły organizowali loterie i spotkania, próbując nagłośnić sprawę. Przez cały ten czas kobieta mieszkała nieopodal domu swojego byłego męża i jego matki. Wynajmowała pokój w niewielkim mieszkaniu należącym do austriackiego policjanta. Swojego ukochanego syna widywała jedynie przez płot, pod warunkiem, że jasnowłosy chłopiec bawił się właśnie w ogrodzie.

Madonna zamieszkała w nieznanym kraju. Aby zaoszczędzić pieniądze, na początku próbowała sama sobie radzić

z językiem prawniczym austriackich i niemieckich sądów. Wszystko to było dla niej tak wyczerpujące nerwowo, że zaczęła mieć problemy zdrowotne: trudności z oddychaniem, wrzody, ataki paniki. Liczne zmartwienia i poczucie beznadziei sprawiły, że zaczęła obawiać się o własne zdrowie psychiczne. Rudi Weber pozostał niewzruszony. Jego zdaniem synek powinien zostać w Austrii, ponieważ tam odebrałby lepsze wykształcenie i wychowanie niż w Australii. W odzyskaniu syna nie pomógł Madonnie nawet fakt, że podczas trwania małżeństwa mąż groził jej i stosował wobec niej przemoc fizyczną, o czym poinformowała sąd: podczas rozprawy Madonna przedłożyła dokumentację, z której wynikało, że Weber kilka razy ją uderzył. Od tej pory bała się o siebie i swoje dziecko. Zeznała również, że kiedy były mąż zorientował się, iż kobieta obserwuje go podczas spaceru z synem, zagroził, że ją zabije.

Rok spędzony w Austrii sprawił, że trzydziestolatka sła-
niała się ze zmęczenia, a na jej głowie pojawiły się siwe włosy. Mimo to się nie poddała. W końcu po długich miesiącach kosztownej walki w sądzie udało jej się odnieść sukces. Dzięki pomocy australijskich dyplomatów odzyskała małego Rudiego i przywiozła go do ojczyzny.

W październiku 1974 roku, zaledwie dwa miesiące po ich przylocie do domu, koszmar powrócił. Rudi Weber wystąpił do australijskiego premiera Gougha Whitlama o zgodę na wjazd do kraju w celach rodzinnych.

Madonna opowiedziała dziennikarzom, jak bardzo obawiała się tego, że jej były mąż znów postawi stopę na australijskiej ziemi. Uważała go za psychicznie chorego.

- Kiedyś groził, że odbierze mi życie, a potem zabije naszego syna - wyznała reporterom. - Nie powinien tu

przyjeżdżać. Gdy pojawi się w Australii, nie będę czuła się bezpiecznie. Musiałabym się ukrywać.

Prawnik Madonny, Dieter Mandelkow, dołączył się do dyskusji. Powiedział australijskim mediom, że mężczyzna obsesyjnie marzył o odzyskaniu chłopca.

- To chory na umyśle, zdesperowany człowiek, który nie cofnie się przed niczym - stwierdził.

Dlatego kiedy Rudi Weber otrzymał wizę, Madonna zdecydowała się wezwać posiłki. Prawnicy jej rodziny skontaktowali się ze mną i poprosili, żebym pilnował Madonny i jej synka całą dobę. Dwa lata po sądowej przegranej Rudi Weber znów zamieszkał w Brisbane. W 1976 roku pracował jako redaktor periodyku wydawanego na zlecenie Szwajcarskiego Stowarzyszenia Energii Atomowej. Twierdził, że przyjechał do Australii, żeby zbadać możliwość zakupu uranu przez kraje europejskie, choć przyznał jednocześnie, że starał się - bez większego powodzenia - odzyskać syna. I znów na pierwszej stronie „Sunday Sun” pojawił się wielki tytuł, „Kolejna odsłona dramatu znanej tenisistki”.

W końcu Weberowi udało się zobaczyć z małym Rudim w domu rodziców Madonny, oczywiście w towarzystwie policji. Z byłą żoną spotkał się zaś na konferencji prasowej, jednak i wtedy byli małżonkowie nie porozumieli się w sprawie dziecka. Rudi Weber zaprzeczył temu, że kiedykolwiek porwał chłopca. Opisywał siebie jako spokojnego człowieka i twierdził, że to tylko media widziały w nim potwora.

- Zabrałem go do Austrii, bo miałem do tego prawo. Sąd nigdy mi tego nie zabronił - powiedział. - Co więcej, przed wyjazdem zaprosiłem Madonnę do siebie. Jestem głęboko

zaniepokojony cierpieniem psychicznym, na jakie mój syn został skazany w wyniku wydarzeń, do jakich później doszło. Uważam, że trafił do Australii wbrew prawu. Nawet moja była żona przyznała przed sądem, że w Europie dbałem o niego. W opiece nad chłopcem pomagała mi matka - wyjaśnił.

Dodał przy tym, że nie ma żalu do Madonny i oboje są ofiarami niesprzyjających okoliczności.

Moje zadanie polegało na pilnowaniu kobiety i jej dziecka przez te kilka tygodni, które Rudi Weber planował spędzić w Brisbane. Miałem go też obserwować i informować rodzinę Madonny o jego poczynaniach. Nie mogłem przestać myśleć o tym, jak wiele mógłbym zrobić, gdybym został zatrudniony zaraz po ucieczce Webera do Austrii. Madonna z pewnością nie spędziłaby tam roku. Jestem przekonany, że szybko przywiozłbym małego Rudiego do domu i tym samym oszczędziłbym jej bólu i wszystkich chorób związanych z nadmiernym stresem. Teraz zależało mi przede wszystkim na tym, żeby już nie cierpiała. Rudi Weber miał prawo widywać się z synem codziennie między dziewiątą rano a piątą po południu, jednak wyłącznie w obecności Madonny. Starałem się zadbać o to, żeby nie uciekł z chłopcem na lotnisko. Na szczęście dla nas, a zwłaszcza dla małego Rudiego, podczas pobytu w Brisbane mężczyzna zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen. Wreszcie wyjechał z Australii sam.

Szesnaście lat później sprawa jeszcze raz pojawiła się w mediach. Inna australijska matka, Jacqueline Gillespie, stoczyła podobną walkę o dzieci.

Jacqueline miała zaledwie siedemnaście lat, kiedy - w 1981 roku - wyszła za mąż za malajskiego księcia, Raję Bahrina Shaha. Była tancerką baletową i jednocześnie studiowała

architekturę na uniwersytecie w Melbourne. W Australii mieszkała z mężem zaledwie sześć miesięcy. Potem przeniosła się do Malezji, gdzie urodziła dwoje dzieci - syna Iddina i córkę Shah.

Wkrótce kobieta przekonała się, że nie jest księżniczką z bajki. Zaledwie dwa tygodnie po narodzinach Shah książę ożenił się po raz drugi, na co pozwalało islamskie prawo. Wpłynęło to bardzo niekorzystnie na małżeństwo Jacqueline. Para nie mogła się porozumieć i między małżonkami dochodziło do gwałtownych kłótni. W końcu w 1985 roku Jacqueline wróciła z dziećmi do Australii. Dość szybko uzyskała rozwód, a Raja Bahrin Shah stracił prawo do opieki nad synem i córką. W 1990 roku kobieta po raz drugi wyszła za mąż, tym razem za dziennikarza Iaina Gillespie. Dwa lata później Raja Bahrin Shah pojawił się w Melbourne i umówił na spotkanie z dziećmi.

Cztery lata wcześniej w barze na singapurskim lotnisku Changi książę spotkał Bryana Wickhama, spawacza z Perth, od lat pracującego na platformach wiertniczych. Zaczęli rozmawiać o rozwodach i opiece nad dziećmi. Raja zwierzył się nieznajomemu, że ma syna i córkę w Melbourne, którymi opiekuje się jego była żona. Dowiedział się wówczas, że Bryan rozwiódł się trzydzieści pięć lat wcześniej i od tej pory nie widział swoich dzieci. Po wypiciu kilku lokalnych piw Wickham zapytał księcia, dlaczego po prostu nie pojedzie do Australii i nie odbierze tego, co do niego należy. Raja nie zamierzał postępować wbrew prawu. Wolał zawalczyć o Iddina i Shah przed sądem.

Jednak coraz częściej myślał o tym, co powiedział mu nieznajomy. Pozostawał z nim w kontakcie, a nawet Wickham

odwiedził go kilka razy w Malezji, ponieważ szukał pracy w rafineriach znajdujących się w Afryce i na Bliskim Wschodzie. W końcu w 1992 roku, po czterech latach narzekania, Raja postanowił posłuchać rady spawacza i poprosił go o pomoc w przewiezieniu dzieci do Malezji. Wickham blisko rok planował porwanie. Zorganizował samochody i łódź, a także opracował trasę ucieczki.

Aby wywieźć dziewięcioletniego wówczas Iddina i siedmioletnią Shah z Melbourne, porywacze ukryli dzieci pod brezentem w ciężarówce. Pojechali do odległego o 3500 kilometrów Weipa, leżącego na północy stanu Queensland. Tam czekała na nich kupiona przez Wickhama motorówka. Porywacze planowali przepłynąć nią pół tysiąca kilometrów. Chcieli przedostać się przez zatokę Karpentaria, Cieśninę Torresa i morze Arafura, po czym dotrzeć do miasteczka Meauke leżącego w Indonezji. Niestety silnik maszyny zepsuł się w połowie przeprawy. Po pięciu dniach dryfowania książęca rodzina i towarzyszący im Wickham dotarli do wioski rybackiej leżącej na południe od pierwotnego celu. Książę wraz z dziećmi przesiadł się do innej łodzi i przeprawił z Kalimantan do Sabah, a potem do Kuala Lumpur. Od wyjazdu z Melbourne minęło szesnaście dni.

Wickham twierdził, że za swój udział w uprowadzeniu nie wziął żadnych pieniędzy. Otrzymał od księcia torbę złotych monet wartą około stu tysięcy dolarów, jednak te pieniądze wydał na przygotowania do porwania, a resztę oddał zaraz po zakończeniu akcji. Zatrzymał łódź, jednak kiedy sztorm uniemożliwił mu powrót do Weipy, sprzedał ją za bezcen.

Mężczyzna ukrywał się prawie rok. Został aresztowany w West Palm Beach na Florydzie, gdzie pracował jako spawacz

na budowie. Nie pojawił się na przesłuchaniu w sprawie ekstradycji i został odesłany do Australii. Skazano go na dziewięć miesięcy więzienia za uprowadzenie dzieci ich prawowitemu opiekunowi.

Wickham spodziewał się, że w więzieniu Pentridge przeżyje prawdziwe piekło - podobnie jak każdy, kto popełnił przestępstwo. Kujego zaskoczeniu strażnicy powitali go bardzo serdecznie. Wszyscy pracowali w trybie zmianowym, co odbijało się niekorzystnie na ich życiu rodzinnym. Większości z nich sąd odebrał dzieci i nakazał płacenie alimentów. Także wśród skazanych nie brakowało takich, którzy współczuli Wickhamowi. Mężczyzna na każdym kroku powtarzał, że zrobił to, co uważał za najlepsze dla Iddina i Shah.

Kiedy Wickham wyszedł z więzienia, jego druga żona, Shiela, postanowiła się upewnić, że Wickham rzeczywiście pomógł Iddinowi i Shah. Księżę Raja Bahrin Shah pokrył koszty ich przylotu do Malezji. Spędzili u niego tydzień, a wówczas kobieta przekonała się, że dzieciom rzeczywiście niczego nie brakowało. Choć Wickham podczas odsiadki stracił dom, nie żałował podjętej decyzji. Twierdził, że pomógł przyzwoitemu facetowi, który tęsknił za swoimi dziećmi. Czy zrobiłby to jeszcze raz?

- Zdecydowanie tak - stwierdził. - Tylko tym razem zadbałbym o to, żeby mnie nie złapano.

Wkrótce po uprowadzeniu dzieci policja wydała list gończy za księciem, który złamał przecież przepisy prawa rodzinnego. Groziła mu za to kara do trzech lat więzienia. Jednak decyzja australijskiego sądu nic nie znaczyła w Malezji. Poza tym Raja Bahrin Shah nie zamierzał się jej podporządkować.

- Musiałem uratować dzieci - twierdził.

Oczywiście Jacqueline miała na ten temat inne zdanie. Niestety nie widziała syna i córki aż do 2006 roku. Wtedy właśnie, po czternastu latach rozłąki, dwudziestoletnia wówczas Shah odwiedziła ją w Melbourne. Dwa lata starszy Iddin szybko poszedł w ślady siostry. Jeszcze w tym samym roku przyjechał do Australii, żeby spotkać się z matką.

Czas wyleczył rany, jakie Madonna Schacht odniosła, kiedy walczyła o Rudiego. W 1992 roku wraz z synem, dwudziestolatkiem kończącym właśnie studia na Uniwersytecie Queensland, opowiadała mediom o swoich przejściach. Okazją do rozmowy była oczywiście sytuacja Jacqueline Gillespie.

- Najsmutniejsze jest to, że zarówno ja, jak i mój były mąż, chcieliśmy właściwie tego samego - powiedziała. - Oboje marzyliśmy o Rudim i jego szczęściu. To była wojna w imię miłości.

Podobnie sprawy wyglądały w przypadku innych porwań. Zazwyczaj - choć oczywiście nie zawsze - rodzice myśleli przede wszystkim o dzieciach. Problem w tym, że ich sytuację postrzegali w zupełnie inny sposób. Emocje brały górę nad zdrowym rozsądkiem i każda ze stron zaczynała walczyć, żeby wygrać.

Przegranymi stawały się ich dzieci.

Co za ekipa!

W 1975 roku, sześć lat po rozpoczęciu pracy w zawodzie detektywa, zostałem członkiem Międzynarodowego Stowarzyszenia Detektywów (WAD). Dzięki temu miałem okazję poznać najlepszych specjalistów w tej branży. Niektórzy z nich pracowali w przeszłości dla Interpolu, KGB, FBI czy CIA.

Stowarzyszenie powstało w 1925 roku. Kiedy do niego dołączyłem, liczyło około czterystu członków pochodzących z trzydziestu pięciu krajów. Byłem dumny, że znalazłem się wśród elity detektywów. W tym towarzystwie powitał mnie legendarny Harold K. „Hal” Lipset, policyjny wyga z San Francisco, wieloletni prezes WAD.

Dwadzieścia dwa lata później Hal zmarł z powodu zatrzymania akcji serca, do której doszło po tym, jak pękł tętniak znajdujący się w jego mózgu. Miał 78 lat. W opublikowanym w „Washington Post” nekrologu można było przeczytać, że specjalizował się w elektronicznych podsłuchach - jeden z nich umieścił nawet w oliwce dodanej do martini. Dysponował tak zaawansowanym sprzętem,

że niektórzy nazywali go „uchem do wynajęcia”. Hal i jego elektroniczna oliwka okazali się niezwykle przydatni pewnemu australijskiemu detektywowi, który często wykonywał niebezpieczne zadania.

- Wszyscy detektywi ze stowarzyszenia będą ci od tej pory służyć pomocą - napisał Hal 14 lutego 1975 roku w liście wprowadzającym mnie do WAD. - Skontaktuj się z którymś z nich, jeśli tylko będziesz w potrzebie.

To była oferta, której się nie odrzuca. W kolejnych latach wielokrotnie korzystałem z kontaktów, które nawiązałem za pośrednictwem WAD.

Detektywi skupieni w WAD to byli raczej normalni, spokojni ludzie, żadni tam szpiedzy w stylu Jamesa Bonda. Naprawdę niewielu członków organizacji przypominało znanych mi z książek i seriali telewizyjnych twardzieli - kolesi mocnych w gębie, wszystkowiedzących, wiecznie żujących cygara i chętnie sięgających po broń. I chyba żaden z nich nie miał prochowca i kapelusza z szerokim rondem. Detektywi rozmawiali głównie o ukrytych kamerach, mikroskopijnych urządzeniach podsłuchowych oraz karkołomnych ucieczkach z objęć kostuchy. Spotykali się co roku w egzotycznym miejscu, żeby odpocząć i wymienić się doświadczeniami. Ich zloty niewiele różniły się od spotkań biznesmenów.

Między 1986 rokiem, kiedy moja firma zaczęła naprawdę dobrze prosperować, a rokiem 2001 wzięłem udział w większości spotkań. Odwiedziłem Singapur, Jerozolimę, Denver, Dublin, Brukselę, Londyn, Nowy Jork, Reno, Montreal, Chicago, Kuala Lumpur i Berlin. Dzięki temu zwiedziłem kawał świata. Jeden ze zjazdów odbył się w Gold Coast, niedaleko mojego domu w Brisbane.

W trakcie zlotów poznałem wielu interesujących ludzi i nawiązałem kilka niezwykłych znajomości. Do moich najlepszych kumpi zaliczam Erica Shelmerdinea, jednego z najbardziej błyskotliwych brytyjskich detektywów, Raya Pendeltona z Nowego Orleanu, który podczas wojny w Wietnamie służył w Zielonych Beretach, a także brygadiera Rashida Ali Malika, który spędził trzydzieści lat w szeregach pakistańskiej armii. Był również kapitanem narodowej drużyny koszykówki. Kiedy go poznałem, kierował grupą sześciu tysięcy ochroniarzy pracujących w Pakistanie, Indiach, Rosji i Dubaju. Mój znajomy z WAD, Allen Cardoza, wykorzystał swoje wieloletnie doświadczenie detektywistyczne podczas prowadzenia audycji radiowej w Los Angeles, zatytułowanej „Odpowiedzi dla rodziny”. Interweniował w sytuacjach kryzysowych, szukał uciekających z domu nastolatków, odbijał uprowadzone dzieci i pomagał rodzinom w rozwiązywaniu problemów. Prowadziliśmy wiele podobnych spraw i chętnie wymienialiśmy się doświadczeniami.

Phil Stuto z pustynnej oazy Palm Springs w Kalifornii przepracował w zawodzie detektywa około czterdziestu lat. Początkowo zajmował się odszkodowaniami przyznawanymi w wyniku wypadków na kolei. Potem specjalizował się w sprawach ubezpieczeniowych związanych z katastrofami lotniczymi. Jego klientami byli spadkobiercy Rickyego Nelsona i Johna Denvera oraz rodziny członków zespołu Lynyrd Skynyrd.

W 1958 roku mój kumpel z Kolorado, Dale Wunderlich, został policjantem, potem jednak przeniósł się do Secret Service. Przez trzynaście lat pomagał chronić pięciu kolejnych prezydentów: Johna E Kennedyego, Lyndona

Johnsona, Richarda Nixona, Geralda Forda i Jimmy ego Cartera. Następnie przez trzydzieści lat pracował jako prywatny detektyw. Podczas spotkań zorganizowanych przez WAD opowiadał wiele niezwykłych historii. Te najlepsze pochodziły z czasów, gdy przesiadywał w Gabinetcie Ovalnym.

Rankiem 22 listopada 1963 roku Dale pracował w teksaszkim Fort Worth, gdzie czuwał nad bezpieczeństwem prezydenta Kennedyego i jego żony Jackie. Tego dnia Kennedy wygłosił przemówienie dla kilku tysięcy działaczy zebranych na skąpanym w deszczu parkingu przed hotelem Texas i wziął udział w roboczym śniadaniu z lokalną izbą handlową. Dale zakończył służbę, kiedy prezydent wraz z żoną wylądowali w Dallas. Tam para prezydencka przesiadła się do rządowej limuzyny. Dzień zrobił się tak piękny, że Kennedy poprosił o zdjęcie dachu i nalegał, by kulo odporne szyby zostały opuszczone. Samochody ruszyły do Dealey Plaża. Gdy konwój przejeżdżał obok budynku, w którym znajdowała się składnica podręczników szkolnych, na szóstym piętrze gmachu pewien człowiek szykował się, żeby oddać strzał. Nazywał się Lee Harvey Oswald.

Dale był jeszcze na lotnisku w Dallas, kiedy otrzymał wiadomość o ostrzelaniu prezydenckiego konwoju. Podejrzał, że jego koledzy z Secret Service zostali ranni, więc pojechał do szpitala Parkland Memorial. Dopiero na miejscu dowiedział się, że Kennedy nie żyje. Nawet dziś na wspomnienie tych wydarzeń w jego oczach pojawiają się łzy. Trzy dni po zamachu, podczas ceremonii pogrzebowej w Waszyngtonie, ludzie opłakiwali nie tylko śmierć człowieka, ale również koniec wielkiego marzenia. Dale pomagał w śledztwie prowadzonym przez komisję Warrena i był przekonany,

że Oswald działał sam. Nie odrzucał także teorii, wedle której celem zamachu miał być gubernator Teksasu, John Connally. Mężczyzna znajdował się w prezydenckim samochodzie, ale został jedynie ranny. Lee Harvey Oswald żywił do niego urazę.

Każdy z detektywów zaproszonych do WAD wniósł do organizacji swoje doświadczenia. Hal Lipset miał rację, gdy napisał, że członkowie stowarzyszenia stanowili swego rodzaju rodzinę. Zawsze byli gotowi pomagać kolegom po fachu, doradzać im o każdej porze dnia i nocy i udostępniać im swoje kontakty. Nawet dziś wystarczy, że któryś z członków WAD opíše problem, a już za chwilę otrzyma kilkadziesiąt odpowiedzi.

Dzięki zleceniom odwiedziłem około czterdziestu krajów świata, jednak wiedzę, jaką zdobyłem w trakcie prowadzonych dochodzeń, zawdzięczam przede wszystkim innym detektywom.

Kiedy w 1975 roku Hal powitał mnie w tym międzynarodowym klanie, prowadziłem w Brisbane kilka trudnych spraw. Ostatecznie zostałem specjalistą od odzyskiwania dzieci poza granicami kraju, jednak zarabiałem, przyjmując również inne zlecenia. Niektóre z nich wiązały się ze sporym ryzykiem, nieraz większym niż przypuszczałem.

Wkrótce po tym, jak pomogłem Nicholasowi i Jane wrócić do Alistaira, moje biuro zostało poproszone o przyjrzenie się pewnemu handlarzowi z Victorii. Mężczyzna zagroził, że złamię mi szczękę, jeśli będę próbował odebrać mu półciężarówkę stojącą przed jego domem w dzielnicy Coopers Plains w Brisbane. Z kolei pewien zadłużony hydraulik zranił mnie w obie nogi, gdy usiłowałem odebrać od niego pieniądze.

Rany wciąż się goiły, kiedy kolejny dłużnik chciał mnie rozjechać ciężarówką, a jego żona kilka razy wjechała w mój samochód, gdy próbowała zepchnąć mnie z drogi. Na szczęście miałem przy sobie rewolwer Ruger Speed Six z krótką lufą, załadowany pociskami kalibru .38 produkcji Smith and Wesson. Huk ostrzegawczych wystrzałów przekonał kobietę, że nie należy niszczyć mojej bryki.

Pod koniec lat siedemdziesiątych byłem wyczerpany tymi wszystkimi próbami unicestwienia mnie. Czekałem na chwilę wytchnienia, jednak ta nie nadchodziła.

Zamiast tego spędziłem trzy tygodnie na Riwierze Włoskiej, grając w kotka i myszkę z prostytutką, która wywiozła dzieci z Brisbane do Genui.

Włoska robota

Angelina Girgenti była wysoką, atrakcyjną trzydziestoletką z Włoch. Miała dwie urocze córki, tak śliczne jak ich mamusia. Kilka razy w tygodniu odwiedzała Serafina Cafe Bar w Genui, kawiarnię położoną nad brzegiem Morza Liguryjskiego. Kupowała dzieciom lemoniadę i chipsy, po czym sprzedawała swoje ciało turystom poszukującym wrażeń na Riwierze Włoskiej. Działo się to w 1978 roku.

Nigdy nie dowiedziałem się, dlaczego została prostytutką, jednak dla jej byłego męża, mieszkającego wówczas w Brisbane, fakt ten stanowił ogromny problem. Dlatego Marco postanowił wyciągnąć córki z tego bagna. Nie chciałem, żeby przechodził przez prawnicze piekło, jakie stało się udziałem Madonny Schacht i jej syna. Dlatego planowałem porwać jego córeczki najszybciej, jak tylko było to możliwe.

Kiedy małżeństwo Marka i Angeliny się rozpadło, oboje zachowali prawa do opieki nad dziećmi - siedmioletnią Giną i pięcioletnią Rosie. Któregoś dnia kobieta zabrała córki z domu w Brisbane i wyjechała w nieznanym kierunku. Kiedy jej mąż pojawił się u mnie, wyglądał na zmęczonego

i zatroskanego. Podejrzewał, że Angelina wywiozła dzieci do swojej ojczyzny.

Starałem się podtrzymać go na duchu. Tłumaczyłem, że jeśli dzieci rzeczywiście znalazły się we Włoszech, to na pewno je znajdę.

- Od tego właśnie powinniśmy zacząć, Marco. Musimy ustalić, czy córki są w Europie - powiedziałem. - Znam ludzi, którzy mogą się tym zająć. Jeśli pozwolisz mi skorzystać z ich usług, będziemy wiedzieć, gdzie obecnie mieszkają.

Zadzwońłem do przyjaciół pracujących w kilku różnych australijskich urzędach i poprosiłem, żeby przejrzyli kartoteki paszportowe i podrózne. Dowiedziałem się, że Angelina opuściła Australię kilka tygodni temu i jako kraj docelowy rzeczywiście wskazała Włochy. Kiedy powiedziałem o tym Markowi, domyślił się, dokąd dokładnie udała się Angelina.

- Założę się, że pojechała do Genui - oświadczył. - To rodzinne miasto Angeliny. Miejsce, w którym na pewno ktoś jej pomoże.

Zajrzałem do atlasu geograficznego, którego używałem tak często, że wyglądał na bardzo zniszczony. Genua okazała się ważnym portem morskim położonym na północy Włoch. Miasto leżało między Morzem Liguryjskim a łańcuchem górskim utworzonym przez Alpy Nadmorskie i Apeniny. Miało niezwykłą historię i wspaniałe dzieła architektury, takie jak pałac dożów stojący na placu de Ferrari. Znajdował się tam również dom wielkiego podróżnika i odkrywcy Krzysztofa Kolumba. Czekająca mnie wyprawa w ładne i ciekawe miejsce. Uznałem, że nadszedł czas, by skontaktować się z którymś z członków WAD. Dzięki tym międzynarodowym znajomościom trafiłem do doskonałego śledczego z Genui, który

zgodził się popytać o Angelinę i - jeśli to możliwe - odnaleźć ją, a także porozmawiać z jej rodziną i sąsiadami.

Angelina mieszkała w niewielkim apartamencie nad brzegiem morza i często pojawiała się z dziećmi nieopodal Serafina Café Bar, kawiarni położonej tuż przy plaży, naprzeciwko zabytkowego hotelu Mediterranée. Foldery reklamowe i przewodniki turystyczne opisywały go jako stylowy, elegancko wyposażony, osiemnastowieczny gmach stojący na Riwierze Włoskiej i oferujący widok na morze. Od lotniska imienia Krzysztofa Kolumba dzieliły go zaledwie trzy kilometry. Nic dziwnego, że budynek wydał mi się idealnym miejscem, w którym powinienem się zatrzymać. Mógłbym stamtąd obserwować Angelinę, a potem szybko czmychnąć, oczywiście razem z Markiem i jego córkami. To miała być moja przystań w starej Genui. Zamierzałem odebrać Angelinie dziewczynki i uciec z nimi do Brisbane. Do podróży samolotem z Włoch nie byłem jednak przekonany - nie mieliśmy przecież paszportów dla Giny i Rosie.

Zależało mi na tym, by Marco pojechał do Genui i pomógł mi w wywiezieniu dzieci. Pojawienie się Alistaira McCarthyego w szkole uspokoiło Nicholasa i Jane, dlatego chciałem, żeby ojciec dziewczynek przez cały czas był przy mnie. Australijski sąd rodzinny przyznał mu przecież prawa do opieki nad nimi. Poza tym z pewnością wiedziałyby, jak uspokoić córki, gdyby coś poszło nie tak.

Pierwszą część zadania musiałem jednak wykonać sam. Chciałem zbadać sytuację i zadbać o to, żeby operacja przebiegała sprawnie. Na swoją pierwszą międzynarodową misję wyruszyłem 27 czerwca 1978 roku. Przed wylotem poprosiłem Marka, żeby czekał w Brisbane na wiadomości ode mnie.

Gdyby Angelina zauważyła swojego męża kręcącego się po Genui, z pewnością próbowałaby znów uciec i ukryć dzieci, a wówczas stracilibyśmy ją z oczu.

Mój kontakt w Genui, polecony przez kolegę z WAD, wykonał kawał dobrej roboty detektywistycznej. Odnalazł panią Girgenti i zebrał informacje, czym się zajmuje oraz jak wygląda jej dzień. Musiałem tylko zastawić na nią pułapkę. Ukryty za okularami przeciwsłonecznymi udawałem, że odpoczywam w promieniach letniego słońca. Popijałem latte i jednym okiem patrzyłem na błękitne morze, drugim zaś na Angelinę. Próbowałem dostrzec jej słabości. Planowałem wydrzeć jej dzieci w szybki i bezbolesny sposób.

Obserwowałem ją przez trzy tygodnie. Najwyraźniej nie miała zaufania do swoich bliskich i przyjaciół, a zwłaszcza do ich umiejętności opiekowania się dziećmi. Choć wybrała Genuę ze względu na rodzinę, to na plażę niemal zawsze przychodziła z dziewczynkami. Z reguły pojawiała się w porze obiadowej i zostawiała je przy kawiarnianym stoliku, niedaleko morskiego brzegu. Kupowała im coś do picia, trochę orzechów, chipsów lub ciasteczek i ruszała do kawiarni. Tam poprawiała efektowną fryzurę, makijaż i zalotnie patrzyła wielkimi, czarnymi oczami. Czekwała, aż któryś z mężczyzn podejdzie do niej. Flirtowała wówczas z nim i go kokietowała, aż wreszcie przechodziła do sedna. Nie musiałem czytać z ruchu jej warg, żeby wiedzieć, o czym rozmawiała. Przedstawiała potencjalnym klientom oferowane usługi i ceny.

Potem zostawiała córki same i zniknęła z klientem na jakąś godzinę - mieszkała zaledwie piętnaście minut drogi od kawiarni Serafina. Kiedy wracała, upewniała się, że dziewczynki siedziały tam, gdzie je zostawiła, kupowała

im kolejne napoje i powtarzała rytuał składający się z flirtu, uwodzenia i negocjacji.

Kiedy pracowała, jej dziećmi nikt się nie zajmował. Non-szalancki barman zerkał czasami w ich stronę, ale to wszystko. Gdyby Ginę i Rosie połknął wieloryb, nikt by tego nie zauważył! Sytuacja dziewczynek wydała mi się tragiczna, dlatego postanowiłem zwrócić je Markowi. Chciałem zmienić życie siostr raz na zawsze!

Choć wciąż uczyłem się zawodu, już wiedziałem, że najważniejszą częścią misji jest dobrze przygotowana ucieczka. Można mieć naprawdę wyszukany i dopracowany plan odbicia dzieci, ale na niewiele się on przyda, jeśli wpadnie się w ręce policji i wyląduje w więzieniu. Na szczęście dość szybko dowiedziałem się o Angelinie czegoś, co mogło mi pomóc w wywiezieniu dziewczynek z Genui, a następnie przetruceniu ich bez zbędnych kłopotów do Australii.

Otóż już w pierwszy lipcowy weekend zorientowałem się, że ich matka lubi wypić kilka drinków. Niestety miała słabą głowę i mało pojemny pęcherz. Po kilku campari zdejmowała szpilki i chwiejnym krokiem odwiedzała toaletę.

Zapisałem tę informację, żeby ją później wykorzystać. Przyjrzałem się też dokładnie mapom tej części Włoch. Obejrzałem autostrady, boczne drogi i przejścia graniczne. Odegrałem rolę australijskiego turysty i wpytałem miejscowych o wycieczki, zwłaszcza jachtem lub motorówką. Uznałem bowiem, że stawienie się na lotnisku bez paszportów dla dziewczynek nie miało najmniejszego sensu, a wywiezienie ich samochodem do Francji stanowiło spore ryzyko, głównie ze względu na pytania, które musiały paść na granicy.

Doszedłem do wniosku, że z Genui najlepiej wyjechać się motorówką i popłynąć aż do Monako. Podróż wodą była niemal równie szybka co autostradą, nikt tam nie rozstawiał blokad, a portowi urzędnicy celni z reguły zadawali niewiele pytań. Przez kilka dni kręciłem się po nabrzeżu i rozmawiałem z miejscowymi żeglarzami.

W końcu nawiązałem znajomość z Adolfem, właścicielem łodzi, który dość dobrze mówił po angielsku. Początkowo rozmawialiśmy o naszych żonach i dzieciach, a także życiu w różnych krajach. Okazał się rodzinnym czterdziestolatkiem, tylko trochę starszym ode mnie. Miał czerwoną, siedmiometrową motorówkę. Na burtach wymalowano białe pasy upodabniające ją do policyjnego samochodu z ówczesnego przeboju telewizyjnego, serialu *Starsky i Hutch*. Oczami wyobraźni widziałem, jak pędzę nią razem z Giną i Rosie, co chwila podskakując na falach.

- Dasz wiarę, Keith? - zapytał któregoś dnia Adolf. - To cudeńko jest najszybszą maszyną w całej Genui. Z ośmioma pasażerami na pokładzie rozpędza się do jakichś 70-80 kilometrów na godzinę. To prawdziwe wodne maserati!

Kiedy to usłyszałem, uznałem, że mogę zaufać Adolfowi i zdradziłem mu swój mały sekret.

- Widzisz, Adolf - wyznałem - wcale nie jestem turystą. Pracuję jako prywatny detektyw. Zajmuję się odzyskiwaniem uprowadzonych dzieci.

Miałem wrażenie, że Adolf zbladł i przestraszył się nie na żarty. Opowiedziałem mu więc o Angelinie i jej córeczkach oraz o Marku, który wciąż czekał w Brisbane na telefon ode mnie. Dodałem, że potrzebuję przysługi. Chciałem, żeby wziął dwie małe dziewczynki i ich ojca na najbardziej szaloną

przejażdżkę, na jaką kiedykolwiek się wybrał - dwustukilometrową podróż przez morze prosto do Monako.

Adolf zastanawiał się przez chwilę.

- Też jestem ojcem - powiedział. - A ten twój klient naprawdę musi kochać swoje *bambini*.

Dałem mu trochę pieniędzy na paliwo i inne niezbędne wydatki, po czym poprosiłem, żeby przygotował łódź. Potem w porozumieniu z człowiekiem, który śledził Angelinę przed moim przyjazdem do Genui, skontaktowałem się z Sophią, doświadczonym detektywem działającym w tej części kraju. Gdy zgodziła się pomóc, zadzwoniłem do Marka i poprosiłem, żeby przyleciał do Genui.

Marco pojawił się w mieście w piątek, 21 lipca. Był tak podekscytowany faktem, iż już wkrótce zobaczy córki, że nawet nie odczuł trudów podróży związanych z długim lotem i zmianą stref czasowych. Umieściłem go w hotelu *Mediterranée* i poprosiłem, żeby z niego nie wychodził, dopóki nie dam mu znać, że wkraczamy do akcji.

- Czy cierpisz na chorobę morską? - zapytałem przy okazji.

- Chyba nie, Keith. A co, planujesz jakiś rejs? - wyglądał na trochę zaskoczonego.

- Być może! - odpowiedziałem.

Następnego dnia wzięliśmy się z Sophią do roboty.

Dwudziestego drugiego lipca opuściłem hotel *Mediterranée*. Był ciepły, słoneczny poranek. Na zewnątrz powitał mnie zapach kawy, oliwy i świeżo upieczonych/ocaccia *classica*. Jakaś część mnie chciała zostać na miejscu, ponieważ zapowiadał się piękny dzień, ale gdy zaprowadziłem Marka na przystań, poczułem, że wkrótce stanie się on jeszcze piękniejszy.

Marco założył wielki kapelusz i okulary przeciwsłoneczne na wypadek, gdybyśmy natknęli się na Angelinę. Przedstawiłem go Adolfowi i pokazałem czerwoną motorówkę, która miała nam pomóc dotrzeć w bezpieczne miejsce. Z pomostu, przy którym była przycumowana, widzieliśmy Serafina Cafe Bar. Poprosiłem Marka, żeby przyszedł tam, gdy dam mu znak.

Operację rozpoczęliśmy około drugiej po południu, kiedy w kawiarni Serafina kręcił się już spory tłumek gości. Zająłem stolik w kącie i zamówiłem kawę oraz wodę mineralną. Nie spuszczałem oka z Marka, który przycupnął na przystani. Wkrótce pojawiła się Sophia i odsunęła sobie krzesło po drugiej stronie baru. Miała wciągnąć Angelinę w rozmowę i postawić jej kilka drinków, zanim kobieta znajdzie klienta.

Gdy Angelina pojawiła się z córkami w kawiarni, Sophia przystąpiła do działania. Wiedziała, co należy zrobić, żeby odwrócić uwagę prostytutki.

Moja włoska koleżanka po fachu okazała się bardzo dobrą aktorką i wkrótce Angelina piła na jej koszt drinka za drinkiem. Obie panie zachowywały się jak dawno niewidziane przyjaciółki. Muzyka grała na tyle głośno, że nie słyszałem, z czego się śmiały, ale było im naprawdę wesoło. Podejrzewam, że obgadywały facetów. Panujący w lokalu gwar działał na naszą korzyść.

Angelina opróżniła kilka szklaneczek campari i łyknęła likieru sambuca, po czym podniosła się z krzesła i ruszyła chwiejnym krokiem w stronę ubikacji. Sophia spojrzała na mnie, dając znak, że możemy przystąpić do kolejnego punktu planu.

Kiwnąłem głową, a wówczas wstała z krzesła i także podążyła do damskiej toalety. Angelina miała się wkrótce przekonać, że drzwi się zatrzasnęły, oczywiście dzięki Sophii. Grająca w kawiarni muzyka bardzo ułatwiła nam pracę. Minęło trochę czasu, zanim ktoś z obsługi usłyszał walenie w drzwi i głośne okrzyki: „*Lasciami fuori! Lasciami fuori!*”, czyli „Wypuście mnie! Wypuście mnie!”.

Kiedy Angelina zniknęła w toalecie, dałem Markowi znak, żeby wkroczył do akcji. Szybkim krokiem zbliżył się do stolika, przy którym siedziały jego córki. Gina i Rosie nie mogły uwierzyć, że spotkały swojego dawno niewidzianego tatę. Choć były zaskoczone, z radości rzuciły mu się na szyję. Marco powiedział, że zabiera je na przejażdżkę motorówką i będą się doskonale bawić. Dziewczynki bez słowa poszły za nim.

Podziękowałem Sophii za pomoc i popędziliśmy z Markiem i dziewczynkami do Adolfa i jego czerwonej motorówki. Silnik maszyny już pracował - widać facet znał się na rzeczy.

Na pokładzie Marco założył dziewczynkom kapoki i znów je przytulił, po czym wyjaśnił, że wracają do domu w Brisbane, żeby spotkać się ze starymi przyjaciółmi.

Adolf dodał gazu i ruszyliśmy w morze. Atakowaliśmy fale zupełnie tak, jakbyśmy pędzili na skuterze wodnym. Woda chlapała na wszystkie strony, łódź wznosiła się i opadała. Od Lazurowego Wybrzeża dzieliło nas kilka godzin drogi. Pogoda była wyśmienita, a morze błękitne i piękne. Gina i Rosie czuły się wspaniale.

Niesamowity stary port w Genui, ze swoją zapierającą dech w piersiach architekturą i wykwintną historią, szybko zniknął nam z oczu. Przez kilka kolejnych godzin byliśmy

zdani na motorówkę Adolfa sunącą coraz dalej w morze. Cieszyła nas kojąca popołudniowa *bryza*, podobnie jak smak słonej wody w ustach i świadomość, że nam się udało. Plan został zrealizowany, a Ginę i Rosie czekała lepsza przyszłość pod opieką ojca. W końcu zobaczyliśmy wysokie *castelli* i *palazzi* wyrzeźbione w stromych klifach oraz malownicze, zielone wzgórza Lazurowego Wybrzeża. Minęliśmy Savonę, gdzie Krzysztof Kolumb uprawiał warzywa i owoce w przerwie między wyprawami żeglarskimi. Nieco dalej zauważyliśmy długą, piaszczystą plażę. Mijaliśmy Andorę.

Zanim się zorientowaliśmy, Adolf wpłynął do dużego portu leżącego w jednej z najstarszych dzielnic Monako, La Condamine. Zacumowaliśmy obok eleganckich i bajecznie drogich jachtów, żeby już za chwilę podziwiać przepiękne wille i rozświetlone kasyna. Gina i Rosie nie wierzyły własnym oczom. Miały wrażenie, że nagle wylądowały na obcej planecie, gdzie na drzewach rośnie złoto. Marco i ja również oniemieliśmy z zachwytu.

Szybko wróciliśmy jednak do rzeczywistości. Po zejściu na ląd i pożegnaniu się z Adolfem musieliśmy wyjaśnić strażnikom granicznym, że dzieci były z tatą na wycieczce morskiej w Genui, podczas której zgubiły paszporty. Dziewczynki potwierdziły tę historię i urzędnicy przepuścili nas dalej.

W Monako wynajęliśmy samochód i w pół godziny dotarliśmy do Nicei, gdzie w urzędzie imigracyjnym udało nam się załatwić formalności umożliwiające przewiezienie Giny i Rosie do Londynu. Marco pokazał wyrok australijskiego sądu rodzinnego oraz akty urodzenia dzieci, dzięki czemu otrzymał dokumenty pozwalające nam kontynuować podróż. W stolicy Wielkiej Brytanii odwiedziliśmy Ambasadę

Australii, gdzie zgłosiliśmy zaginięcie paszportów. Nowe otrzymaliśmy dwa dni później. Gina i Rosie mogły lecieć do Brisbane!

Naprawdę się cieszyły, że wrócą z tatą do domu.

Przez kolejne dziesięć lat otrzymywałem od nich kartki świąteczne. Liściki od córek Marka, podobnie jak podziękowania od dzieci Alistaira, sprawiały mi ogromną radość i utwierdzały w przekonaniu, że pomagając im, dokonałem właściwego wyboru.

Morska wyprawa do Monako najwyraźniej zapadła im w pamięć i zainspirowała do dalekich podróży. Gina spędziła szczęśliwe dzieciństwo w Brisbane. Po ukończeniu osiemnastego roku życia przeprowadziła się do Włoch, gdzie wyszła za mąż. Dwa lata później Rosie wyjechała do Ameryki.

Ja zaś cieszyłem się ze swojego pierwszego międzynarodowego sukcesu. Genua latem 1978 roku zapoczątkowała całą serię podobnych misji.

Ojcie, drogi ojcie

Skuliłem się, klęcząc na kolanach, podczas gdy obok mnie rozpoczynała się prawdziwa orgia. Seks, seks, seks. Uczta cudzołóstwa, święto niewierności. W ukryciu i z nosem przy ziemi starałem się nie myśleć ani o drętwiejącym w bezruchu cieie, ani o tym, co działo się wokoło. Wciąż nie mogłem uwierzyć w całą tę rozpustę. Jej uczestnicy kopulowali jak szaleni, bez cienia wstydu czy zażenowania.

Tuż nade mną zdeprawowany ksiądz pieprzył się jak królik wypuszczony ze swojej samotni.

Życie prywatnego detektywa wydaje się czasami niezwykle i kuszące. Kiedy kryłem się pod ołtarzem, a wokół mnie miłośnicy grupowego seksu zajmowali się swoim hobby, zastanawiałem się jedynie, czym zasłużyłem sobie na taką karę.

W połowie lat siedemdziesiątych wciąż pracowałem na swoje nazwisko jako specjalista od uprowadzonych dzieci. Kiedy przywożłem z Włoch dwie córki Marka, zlecenia innego typu przestały sprawiać mi satysfakcję. W ich trakcie zbyt często miałem do czynienia z pistoletami, nożami oraz szalonymi kierowcami ciężarówek, zbyt często też

znajdowałem się w niezbyt przyjemnych okolicznościach. Niekiedy naprawdę dziwnych, jak ta właśnie msza zboru powołanego do życia przez byłego księdza katolickiego. Ten człowiek zaszokował Brisbane przekonaniem, że seks może doprowadzić człowieka dojedności z Bogiem.

Zostałem zatrudniony przez męża jednej ze zbłąkanych owieczek. Chciał on, żebym zdemaskował fałszywego kaznodzieję i zakończył działalność jego kościoła. W efekcie znalazłem się pod ołtarzem zboru i próbowałem uwiecznić na zdjęciach poczynania zdeprawowanego kapłana. Zszokowany przysłuchiwałem się wskazówkom, jakich udzielał wiernym. Zachęcał ich, by zaczęli uprawiać seks, po czym dał im przykład, jak to robić, z jedną ze swoich fanek, i to tuż nad moją głową. Uzbrojony w aparat fotograficzny czekałem na odpowiedni moment. Kiedy ksiądz dotarł do punktu kulminacyjnego tej niezwykłej lekcji, wyskoczyłem spod ołtarza i błysnąłem mu fleszem prosto w twarz. Gdy się zorientował, o co chodzi, jego entuzjazm - wywołany wykonywanymi przed chwilą czynnościami - błyskawicznie oklapł. Kilka dni później fałszywy pastor trafił na okładki wszystkich dzienników wychodzących w Brisbane, a jego kościół przestał istnieć.

W tym czasie byłem już w Toowoomba, gdzie robiłem zdjęcia potrzebne do sprawy rozwodowej. Znalazłem kryjówkę w ogrodzie obok drzwi cudzołożącej pary. Zamierzałem czekać z aparatem w dłoni choćby całą noc, byle tylko wykonać odpowiednie ujęcia. To było idealne miejsce. Siedziałem ukryty za szerokim, bujnym żywopłotem, rosnącym naprzeciwko okna ich sypialni. Nie wiedziałem jednak, że żywopłot należał do zapalanej ogrodniczki, która tej nocy dojdzie do wniosku, że trzeba go podlać. Żałowałem,

że w Queensland nie było wówczas ograniczeń dotyczących poboru wody. Kobieta uwijała się z węzem ogrodowym przez dwadzieścia minut, a ja siedziałem schowany w krzakach, marznąc niemiłosiernie i moknąc. Nie mogłem nic zrobić. Oczywiście przeżyłem, ale kiedy kobieta odeszła, kochankowie siedzieli już ubrani w salonie i po prostu pili herbatę. Ostatecznie udało mi się zrobić im obciążające zdjęcia, ale na tego typu zlecenia zabierałem już zawsze płaszcz przeciwdeszczowy.

W 1975 roku zmieniło się prawo i sądy zaczęły orzekać rozwody bez udowadniania winy jednej ze stron, dlatego zdjęcia cudzołożących par przestały być potrzebne. Nie żałowałem, że musiałem się pożegnać z tego typu zleceniami, choć stanowiły znaczące źródło dochodu. Jednak to zadania polegające na odzyskiwaniu uprowadzonych dzieci stawały się coraz bardziej istotną częścią mojego biznesu. Podróżowałem po całej Australii i Nowej Zelandii w towarzystwie zrozpaczonych rodziców i odbijałem ich pociechy. W tym kraju naprawdę nie było to trudne: wystarczyło zrobić rozpoznanie i wybrać odpowiedni moment. Nie musiałem martwić się o paszporty i strażników granicznych.

W 1985 roku poleciałem na Nową Zelandię wycarterowanym samolotem. Towarzyszyła mi matka, której były mąż, oczywiście wbrew decyzji sądu, zabrał dzieci do Christchurch. Kobieta miała dość pieniędzy, żeby wynająć odpowiedni samolot niezbędny do wykonania tej misji. Wyruszyliśmy z Sydney i przelecieliśmy nad Morzem Tasmańskim. Wylądowaliśmy najednym z niewielkich, lokalnych lotnisk leżących nieopodal Christchurch. Przenocowaliśmy w pobliskim hotelu, a rano przechwyciliśmy dzieci, gdy szły do szkoły. Od razu rozpoznały

matkę i bez ociągania wskoczyły do samochodu. Pojechaliśmy Z powrotem na lotnisko i wystartowaliśmy.

Kiedy lecieliśmy z powrotem do Sydney, obserwowałem, jak mozaika zielonych pól zmieniała się w błękit Morza Tasmańskiego. Uświadomiłem sobie, że to jedno z najprostszych zleceń, jakie kiedykolwiek otrzymałem. Do dziś zresztą tak uważam. Dzieci wróciły do ukochanej mamy i uniknęły zbędnego stresu. Szkoda, że nie wszystkie moje misje przebiegały w równie przyjemny sposób.

W latach osiemdziesiątych stałem się specjalistą od odzyskiwania dzieci wywiezionych poza granice Australii. Miałem stuprocentową skuteczność, a lokalna prasa pisała o mnie w samych superlatywach. Moja reputacja powoli przekraczała granice kraju. Powtarzałem sobie jak mantrę, że za sukcesem każdej akcji kryje się dobry, szczegółowy plan porwania oraz ucieczki. Czasami jednak byłem zaskoczony, jak wielkie znaczenie miał także łut szczęścia.

Kiedyś musiałem polecieć do Hiszpanii, żeby wykonać zadanie i odzyskać australijskie dziecko. Z tej okazji nauczyłem się podstaw języka hiszpańskiego. Ta znajomość kilkunastu nieskomplikowanych wyrażen bardzo mi się przydała podczas innego zlecenia, gdy znalazłem się w chrześcijańskiej komunie, działającej około 160 kilometrów na południe od Tijuany w Meksyku. Grupę tworzyła gromadka obszarpanych hippisów, którzy twierdzili, że odnaleźli Boga. Mieszkała z nimi Amerykanka, która wyrządziła wielką krzywdę swojemu mężowi - wywiozła ich dzieci przez amerykańsko-meksykańską granicę, tzw. kurtynę z tortilli.

Tą nazwą określa się mierzący 3100 kilometrów pas ziemi, który oddziela oba kraje. Kurtyna jest oczywiście dziurawa

i co roku *przedziera się przez nią* około miliona nielegalnych imigrantów. Większość próbuje po prostu przebiec na drugą stronę, chowając się za głazami lub kaktusami. Na ogół zostają złapani przez służby graniczne. Mnie udało się przenieść tą drogą dwie osoby i to w sposób, w który do dziś trudno mi uwierzyć.

Wydarzyło się to w 1988 roku, trzy lata przed podpisaniem przez Meksyk konwencji haskiej. Herb Stebson, farmer i mormon ze stanu Utah, był pracowitym, lubiącym cytować Biblię mężczyzną o dużych, spracowanych dłoniach. Uprawiał kawał suchej ziemi w górach nieopodal Cedar City, starego górniczego miasteczka leżącego w pobliżu pustyni Mojave, około 200 kilometrów od Las Vegas i Salt Lake City. Poprosił mnie o pomoc w odzyskaniu dzieci.

Herb wziął ślub zgodnie z mormońskim obrządkiem. Swoich synów, Daniela i Jeremiasza, wychowywał w myśl nauk Josepha Smitha, założyciela Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich. Kilka lat później jego żona Esther opuściła rodzinę, zwabiona przez religijnego przywódcę, który przypominał mi niebezpiecznego fanatyka Davida Koresha. Kiedy Herb wybrał się do sklepu, spakowała synów i zawiozła ich do hippisowskiej wspólnoty mieszkającej w Meksyku, gdzie dzieci wychowywała cała grupa licząca około dwudziestu osób.

Herb uzyskał tymczasowe prawa do opieki nad dziećmi i bez sukcesu próbował nakłonić kilku detektywów do współpracy. Niektórzy próbowali przyjrzeć się sprawie bliżej, jednak nie robili najmniejszych postępów, inni od razu mówili, że ze względów logistycznych wywiezienie dzieci z Meksyku jest niemożliwe. Jeden z detektywów z WAD polecił

Herbowi skontaktować się ze mną. Herb zadzwonił z Cedar City do Brisbane i oświadczył, że ma naprawdę niewiele pieniędzy. Dodał, że zapłaci mi tylko wtedy, gdy odzyskam jego synów.

Postanowiłem przyjrzeć się sprawie z bliska. Najpierw jednak za pośrednictwem pracującego w Utah detektywa z WAD dokładnie sprawdziłem Stebsona. Informacje, które zdobył, usatysfakcjonowały mnie - okazał się uczciwy, a jego dzieci rzeczywiście nielegalnie opuściły terytorium Stanów Zjednoczonych. Skontaktowałem się z Herbem i obiecałem pamiętać o nim. Dodałem, że na razie nie planuję wycieczek do USA lub Meksyku, ale jeśli pojawię się w pobliżu, z pewnością go odwiedzę. Zrzędzeniem losu dwa miesiące później jedno ze śledztw rzuciło mnie właśnie w ten zakątek świata, więc zadzwoniłem do Herba. Po miesiącach niepowodzeń i smutku po stracie synów był już u kresu wytrzymałości nerwowej. Obiecał powiększyć moją gażę o całkiem solidną premię, jeżeli uda mi się przywieźć Daniela i Jeremiaśza do Cedar City.

Operację rozpocząłem w miasteczku El Cajon leżącym na obrzeżach San Diego w Kalifornii. Co prawda już z pasa startowego miejscowego lotniska widać leżącą po drugiej stronie granicy Tijuane, jednak chciałem się jej przyjrzeć z bliska. W niedzielę wynająłem niewielki śmigłowiec, po czym wyjaśniłem Jerryemu, mojemu pilotowi, co tak naprawdę planuję.

Wytłumaczyłem mu, że czeka nas kilkudniowa wycieczka, podczas której chciałem zrobić rozpoznanie. Herb miał przyjechać później, gdy już odnajdę dzieci i wymyślę sposób, jak je odzyskać.

- Dopóki płacisz, możesz na mnie liczyć. Postaraj się tylko, by do nas nie strzelano - oświadczył Jerry, pozwalając mi podziwiać moje odbicie w okularach przeciwsłonecznych.

Zapewniłem go, że nic takiego nie powinno mieć miejsca. Nie byłem jednak w stanie zagwarantować, że członkowie sekty nie chowają pod swoimi tunikami ciężkich karabinów maszynowych.

Podróż śmigłowcem zajęła nam niecałą godzinę. Przelecieliśmy nad bezdrożami meksykańskiego stanu Baja California, okazjonalnie podziwiając gaje cytrusowe i winnice. Z czasem ustąpiły one miejsca typowo pustynnej roślinności - kaktusom i drzewom bojoom sterczącym ku niebu niczym diabelskie trójzęby. Swoje istnienie zawdzięczały nadmorskiej mgłę nadciągającej tu co rano od strony Pacyfiku.

W końcu dotarliśmy do osady, w której działała komuna, i kilka razy oblecieliśmy ją dookoła. Chcieliśmy, żeby nas zauważono. Po chwili Jerry posadził śmigłowiec na zaniedbanym targowisku otoczonym metalowymi billboardami i drewnianym siedziskami. Zgodnie z moimi przewidywaniami helikopterowi wyszły na spotkanie zachwycone meksykańskie dzieci. Cieszyły się dniem wolnym od szkoły i wiwatowały na naszą część, choć strasznie hałasowaliśmy i wzbijaliśmy tumany kurzu. W górnej kieszeni miałem fotografię Daniela i Jeremiasza, w głowie zaś szczegółowy plan obłaskawienia członków komuny, co mogłoby mi pomóc w misji.

Najpierw jednak chciałem zdobyć zaufanie miejscowych i w ten sposób zmniejszyć ryzyko towarzyszące ucieczce. Wymyśliłem więc dość efektowne powitanie i oświadczyłem, że z chęcią przewieziemy dzieci śmigłowcem. Dodałem, że jesteśmy dwoma gringo, którzy chcą się podzielić swoim

bogactwem z meksykańskimi sąsiadami. Żałowałem skrycie, że nie miałem niczego na sprzedaż, bo moja przemowa spotkała się z życzliwym zainteresowaniem miejscowych.

Aby dotrzymać słowa, przewieźliśmy dwie grupki dzieci dookoła wioski. Odbylibyśmy więcej lotów, ale słońce zaczęło już zachodzić, a Jerry nie chciał latać po ciemku. Dzieci biegały dookoła śmigłowca i krzyczały z entuzjazmem, więc zapytałem, czy chcą polatać następnego dnia.

- *Si, si, señor!* - zawołały jak jeden mąż i podniosły ręce wysoko do góry, zupełnie jakby zgłaszały się do odpowiedzi.

- Wrócimy jutro o dziewiątej rano - obiecałem. - Zabierzemy tak dużo dzieci, jak to możliwe. *Adios, amigos!*

Poleciliśmy do skromnego motelu, w którym wynajęliśmy pokoje. Sprawy szły dobrze i nie miałem na razie powodu do zmartwień, więc się wyspałem, jednak mój towarzysz nie zmrudył oka. Bał się o swój śmigłowiec i przez całą noc wyglądał przez okno. Sądził, że miejscowi zabiorą na pamiątkę części jego cennej maszyny.

Następnego dnia wróciliśmy do osady. Od razu zbiegły się *dzieci*, żeby przyjrzeć się z bliska nowej lokalnej atrakcji. Choć był poniedziałek i wiele z nich poszło do szkoły, wokół nas roiło się od gapiów. Uważnie przyglądałem się dzieciom i nagle, ku swojemu zaskoczeniu, zobaczyłem dwoje wychudzonych blondynów w towarzystwie przeraźliwie chudej matki ubranej w łachmany. Kobieta miała brudną twarz i długie, matowe włosy. Nie mogłem uwierzyć własnemu szczęściu. Być może Herb wcale nie był nam potrzebny!

- No dobra, dzieciaki, wszystkich naraz nie zdołam zabrać na pokład. Kto chce jako pierwszy przelecieć się helikopterem? - zawołałem.

- Yay! - krzyknęły dzieciaki. Wśród hiszpańskich okrzyków: „*Sellecionar me, sellecionar me!*”, usłyszałem również angielskie „Wybierz mnie! Wybierz mnie!”.

Rozejrzałem się, udałem, że się zastanawiam, a potem zatrzymałem wzrok na dwóch jasnowłosych chłopcach.

- OK! Najpierw zabiorę was! - powiedziałem i wskazałem na nich.

Z radości wyrzucili ręce w górę.

- Jak się nazywają? - zapytałem ich matki.

- To jest Daniel, a to Jeremiasz - wyjaśniła, odsłaniając szerniąte zęby.

Kobieta była w fatalnej kondycji fizycznej, podobnie jak jej synowie. Wiedziałem, że dobrze robię, zabierając ich z tej dziury.

- No dobra, chłopcy. Jesteście gotowi do lotu?

- Tak jest, sir! - zawołali jednocześnie, po czym z pomocą matki wdrapali się na pokład śmigłowca, a ja nie miałem wątpliwości, że kobieta już wkrótce pożałuje swojej decyzji.

Właśnie o tej chwili myślałem, kiedy pisałem, że szczęście nieraz się do mnie uśmiechało.

- Gotowe, chłopcy. Powiedzcie mamie *adios!* - zawołałem.

Tym samym dałem Jerry'emu do zrozumienia, że to nasze pożegnanie z osadą. Ester oraz dzieci, które wkrótce miały przeżyć olbrzymi zawód, patrzyły z uwagą na unoszący się w górę helikopter. Wzbiliśmy się ku niebu i poleciliśmy na północ, w stronę granicy ze Stanami Zjednoczonymi i dalej, aż do El Cajon.

Chłopcy nie mieli pojęcia, dokąd lecimy.

- Niedługo zobaczycie się z tatą - wyjawiałem im po pewnym czasie. - Bardzo za wami tęskni.

Obaj ucieszyli się jeszcze bardziej niż wtedy, gdy wystartowaliśmy. Dla nich była to naprawdę niesamowita przejażdżka i przygoda życia.

Kiedy wylądowaliśmy w El Cajon, zadzwoniłem do Utah.

- Cześć, Herb! - powiedziałem. - Mam dla ciebie wiadomość, chłopie.

- Do diabła! - odrzekł zrezygnowanym głosem. - Wiem. Dzwonisz, żeby mi powiedzieć, że nie uda ci się sprowadzić moich dzieci i postanowiłeś wracać do Australii.

- Niezupełnie, Herb - odpowiedziałem. - Tak naprawdę to twoi synowie stoją obok mnie. Czy chcesz z nimi porozmawiać?

Facet tak się ucieszył, że zaczął krzyczeć ze szczęścia. Doskonale pamiętam, jak wrzeszczał na cały głos, podczas gdy jego synowie przepychali się i próbowali ustalić, który z nich pierwszy porozmawia z ojcem.

Oczywiście musieliśmy jeszcze rozwiązać kwestię urzędu imigracyjnego w San Diego. Opowiedziałem jego pracownikom, co się wydarzyło. Dodałem, że Daniel i Jeremiasz Stebson figurują w ich kartotekach jako dzieci uprowadzone i nielegalnie wywiezione za granicę. Herb szybko przefaksował ich akty urodzenia oraz postanowienie sądu. Wkrótce siedziałem z chłopcami na pokładzie samolotu linii lotniczych American Airlines, zmierzającego do Cedar City. Czekają nas radosne rodzinne spotkanie.

To była jedna z najszcześniejszych misji, jakie wykonałem w Stanach Zjednoczonych - a w latach osiemdziesiątych latałem tam dość często, niemalże co drugi tydzień. Pewnego razu wynajęła mnie australijska instytucja finansowa AGC, dla której próbowałem wysledzić jachty warte prawie pół

miliona dolarów, ukradzione dilerowi z Gold Coast. Przeprowadziłem krótkie śledztwo i odkryłem, że obie jednostki zostały załadowane na statek i przewiezione do Teksasu, a stamtąd popłynęły na wschód, aż na Florydę.

Poleciałem do West Palm Beach i ustaliłem, że człowiek, który ukradł jachty, pracował na zlecenie rekina branży nieruchomości, Donalda Trumpa. Odwiedziłem gościa w jego luksusowym apartamencie. Po rozmowie zgodził się polecieć do Brisbane i rozwiązać wszelkie kwestie finansowe z moim zleceniodawcą. Firma AGC potraktowała mężczyznę jednak nieco zbyt ostro, a to go zdecydowanie zniechęciło do uregulowania długu. W ten sposób mój zleceniodawca nigdy nie odzyskał jachtów ani nie zobaczył należnych pieniędzy. Czasami nie opłaca się stawiać sprawy na ostrzu noża.

Pustynna burza

Na początku września 1993 roku wyjechałem z Australii jako Keith Douglas Schafferius, prywatny detektyw urodzony w Laidley w stanie Queensland. Kiedy po kilku dniach podróży dotarłem na Bliski Wschód i zatrzymałem się w hotelu zniszczonym kiedyś przez Al-Kaidę, ale potem odbudowanym, nazywałem się już Kevin John O'Neill i byłem hollywoodzkim producentem filmowym z Belize City w Hondurasie Brytyjskim.

Zmieniłem tożsamość dzięki utalentowanemu fałszerzowi z Wyoming, który wziął ode mnie 250 dolarów za wyrobienie nowych dokumentów, między innymi prawa jazdy, karty ubezpieczenia zdrowotnego oraz karty członkostwa w Królewskim Klubie Jachtowym. Razem z dokumentami dostałem od niego komplet informacji o Hondurasie Brytyjskim. Gdyby mnie ktoś przesłuchiwał, sądzę, że udzieliłbym przekonujących odpowiedzi na temat miejsca, w którym się urodziłem i gdzie chodziłem do szkoły, a także o sposobach spędzania tam wolnego czasu. Przy okazji odmłodziłem się

0 trzy lata. Pomyślałem, że dzięki temu będę miał większą satysfakcję z wydanych pieniędzy.

W walizce wiozłem buty do biegania firmy Nike. W jednym schowałem elektryczny paralizator, w drugim tysiąc dolarów w gotówce. Pod poszyciem walizki ukryłem kolejny paszport warty 250 dolarów. Według tego dokumentu byłem obywatelem Rodezji, która - podobnie jak Honduras Brytyjski - przestała istnieć jakieś dziesięć lat wcześniej. Obywatel nieistniejącego już kraju nie budzi nienawiści nawet w rejonach gorących konfliktów politycznych. A ja właśnie leciałem na najbardziej niebezpieczną i wyczerpującą emocjonalnie przygodę w całej mojej karierze.

Wszystko rozpoczęło się kilka tygodni wcześniej - podczas konferencji Międzynarodowego Stowarzyszenia Detektywów (WAD) w nowojorskim hotelu Waldorf Astoria przy Park Avenue na Manhattanie. Poznałem wtedy aktora filmowego i byłego agenta CIA Logana Clarke'a. Właściwie los zetknął nas trochę wcześniej w Londynie, gdzie razem z innymi detektywami wsiedliśmy na pokład transadantyku RMS „Queen Elizabeth 2”, żeby po sześciu dniach wysiąść w Nowym Jorku. Rejs na luksusowym statku oraz sama konferencja okazały się miłym wstępem do niezwykle ryzykownej misji, która zaprowadziła mnie do kraju, gdzie przemoc i chaos czaiły się za każdym rogiem. Wszyscy uczestnicy tej operacji odnieśli głębokie emocjonalne rany, które nigdy się nie zagoiły.

Na początku ostatniej dekady dwudziestego wieku pracowałem w Australii, Nowej Zelandii, Stanach Zjednoczonych,

Meksyku, Hiszpanii, Polsce, Filipinach, Singapurze i we Włoszech. Ratowałem uprowadzone dzieci i brałem udział w konwencjach WAD. Dziś tamten okres nazywam „nerwowymi latami dziewięćdziesiątymi”, ponieważ wykonywałem wtedy naprawdę niebezpieczne zadania. Pracowałem dużo i ciężko. Kiedy poznałem Sarę Hassan z Kalifornii, miałem już na koncie ponad setkę odzyskanych dzieci, wliczając w to pociechy Alistaira McCarthyego, zabrane spod szkoły Ferny Hills w Brisbane blisko dwadzieścia lat wcześniej.

Pod koniec 1992 roku wywiozłem z Polski Jenny i Antona Wojtków. Kiedy dotarłem z nimi do Brisbane, nie świętowałem. Nie miałem na to czasu. Za dobrze wykonaną pracę kupiłem sobie jednak motocykl marki Harley-Davidson i w ten sposób nawiązałem wieloletnią przyjaźń z tymi maszynami. Na początku 1993 roku pomogłem otworzyć Australijską Wyższą Szkołę Detektywistyczną dla przyszłych prywatnych detektywów, a także placówkę dla praktykantów adwokackich. Potem poleciałem na lotnisko w Port Moresby, gdzie szukałem pluskiew w biurach nowogwinejskich linii lotniczych Air Niugini. Faktycznie, znalazłem kilka niewielkich robaczek - i nie były to wszechobecne tu mszyce trzcinowe, tylko miniaturowe nadajniki podsłuchowe podrzucone przez konkurentów lub urzędników państwowych szpiegujących firmę. Dzięki mojemu staremu kumplowi i zarazem mentorowi Halowi Lipsetowi (temu od oliwki z martini) zostałem ekspertem od elektronicznych podsłuchów. Za pomocą nadajnika umieszczonego w długopisie Montblanc, wartym okrągłe 800 dolarów, odkryłem, że pewien singapurski biznesmen sprzedaje konkurencji sekrety swojej firmy. Przez kilka lat handlowałem podobnymi urządzeniami w sklepie „007 Spy Shop” który

założyłem w moim biurze w Brisbane. Oferowałem w nim niemal wszystko: od aparatu fotograficznego grubości wafelka za 500 dolarów do urządzeń wykrywających podsłuchowe pluskwy, wartych niekiedy sto razy więcej.

Po oczyszczeniu lotniska w Port Moresby z podsłuchów poleciałem na Filipiny, żeby przywieźć do domu piękną australijską nastolatkę, którą właściciele ohydnej speluny w Manili wciągnęli w narkotyki i prostytutkę. Było to w maju 1993 roku, a kilka miesięcy później siedziałem w eleganckim hotelu Waldorf Astoria w Nowym Jorku i rozmawiałem z Loganem Clarkeem. Z cuchnących filipińskich knajp z małoletnimi prostytutkami trafiłem do zupełnie innego świata.

Logan Ciarke okazał się niezwykle osobowością, jakby żywcem przeniesioną z hollywoodzkich filmów. Jego ciotka nazywała się Linda Darnell i należała do gwiazd złotej ery kina. Szczyt jej kariery przypadł na lata czterdzieste i pięćdziesiąte ubiegłego wieku. Matka Logana, Dorothy, zasłynęła jako piosenkarka, a jego żona pracowała jako choreografka i tancerka. Kiedy go poznałem, ukończył właśnie zdjęcia do filmu *Handlarz śmiercią* ze słynnym Lawrencem Tierneyem w roli głównej. (To ten, który grał szefa gangu we *Wściekłych psach* Quentina Tarantino. Pojawił się również jako ojciec Elaine na planie amerykańskiego sitcomu *Kroniki Seinfelda* i tak wystraszył obsadę, że nigdy więcej go nie zaprosili). Szybko się przekonałem, że obu aktorów wiele łączyło.

Ciarke nosił brodę i miał oczy przymulone niczym zdobywca Oscara Fahrid Murray Abraham. Czarował gadką detektywa twardziela z czarnych kryminałów z lat czterdziestych ubiegłego wieku. Kiedy już z nim pracowałem, nigdy

nie byłem pewny, czy towarzyszy mi Logan Ciarkę, czy też Humphrey Bogart.

Logan Ciarkę był konsultantem na planie serialu kryminalnego *Simon & Simon*, zaliczył też ponad dwadzieścia występów w tasiemcach, takich jak *Hawaii Five-0*, *Posterunek przy Hill Street* czy *Detektyw Remington Steele*. Zagrał również małe role w filmach z Bradem Pittem i Kristie Alley. Do CIA został zwerbowany we wczesnych latach siedemdziesiątych. Na zlecenie linii lotniczych Air America, nieoficjalnie zarządzanych przez CIA, prowadził bary w Sajgonie i Manili. Stanowiły one przykrywkę do działań umożliwiających władzom wspieranie wietnamskich uchodźców.

Do Kalifornii wrócił w 1978 roku i podjął pracę w agencji detektywistycznej w Long Beach, specjalizującej się w ratowaniu uprowadzonych dzieci. Podobnie jak ja organizował tego typu akcje na całym świecie. Kiedyś zgodził się odnaleźć czteroletnią siostrzenicę niemieckiego sędziego. Dziewczynkę porwał jej ojciec, Sudańczyk, i wywiózł do beduińskiej wioski na pustyni. Logan zebrał grupę opłaconych ludzi, przebrał ich w mundury policyjne, wmówił połowie mieszkańców wioski, że właśnie zostali aresztowani, po czym zabrał małą i uciekł z nią z Sudanu, choć na każdym kroku groziła mu śmierć. Zdołał wówczas doświadczenie niezwykle przydatne w przyszłości.

O moich zagranicznych wyczynach dowiedział się z mediów, które poświęciły im sporo miejsca. Podczas spotkania w hotelu Waldorf Astoria w Nowym Jorku Logan zaproponował mi, żebyśmy połączyli siły. Po kilku drinkach dodał, że właśnie przyjął ciekawe, ale i niebezpieczne zlecenie. Liczył na moją pomoc.

- Widzisz, Keith, sprawa wygląda tak - rozpoczął w stylu, w jakim Cecil B. DeMille opowiadał o swoich pomysłach na film *Dziesięcioro przykazań*. - Jest pewna urocza laska. Nazywa się Sara. To Amerykanka, typ dziewczyny z sąsiedztwa. Mieszka w Tacoma w stanie Waszyngton. Ma piękne zęby i jasnoblond włosy aż do kolan! No i ta dziewczyna poznaje na studiach przystojnego Araba. Facet nazywa się Abdul i pochodzi z Jemenu. Paskudne miejsce, mówię ci. Jedno z najgorszych na ziemi. Pewnie się domyślasz, że prawa człowieka nic tam nie znaczą. Mężczyźni chodzą uzbrojeni po zęby, większość nosi kałasznikowy. Publiczne egzekucje są na porządku dziennym, podobnie jak morderstwa. Stale toczy się jakaś wewnętrzna wojna, każdego dnia rodzą się nowi terroryści.

Zachłysnąłem się burbonem z dietetyczną colą, ale Logan kontynuował niezrażony.

- W każdym razie... Abdul studiuje w Stanach. Potem Sara zachodzi w ciążę i wychodzi za niego. Dziś mają dziewięcioletniego Omara i pięcioletnią Aiszę, która ma wadę serca i potrzebuje dobrych lekarzy. Kiedy Abdul kończy studia, rodzina zachęca go do powrotu do Jemenu. Sara nie chce wyjeżdżać. Boi się i ma ku temu powody, Keith.

Historia mnie zainteresowała, choć zdawałem sobie sprawę, że opisywana przez Logana sytuacja wiązała się ze sporym ryzykiem. W tym czasie w kinach wyświetlano dramat z Sally Field, zatytułowany *Tylko razem z córką*. Nakręcono go na podstawie bestsellerowej książki Betty Mahmoody, nominowanej nawet do nagrody Pulitzera. Była to opowieść o amerykańskiej dziewczynie ściągniętej podstępnie do Iranu przez męża lekarza, a następnie uwięzionej w jego

domu. Sara, podobnie jak bohaterka filmu grana przez Sally Field, próbowała wytłumaczyć ukochanemu *mężczyźnie*, że jako chrześcijanka nie wyobraża sobie życia wśród muzułmanów. Nie chciała też, by jej chora córka wychowywała się w kraju rządzonym przez fundamentalistów, gdzie kobiety traktowane są jak własność.

- Napięcie między Sarą a Abdulem sięgnęło zenitu - ciągnął opowieść Logan. - W końcu się rozwiedli, a amerykański sąd przyznał prawo do opieki nad dziećmi kobiecie. Domyślasz się, co się później wydarzyło? Abdul okazał się sprytniejszy, niż sądziła Sara, i podczas widzenia z dziećmi uprowadził syna i córkę. Pomagał mu jakiś koleś. Razem wywieźli dzieciaki do Kanady, skąd polecili do Jemenu. Zanim Sara zrozumiała, co się święci, było po wszystkim, a zamiast dzieci odebrała list od męża. Abdul groził jej, że jeśli kiedykolwiek przyjedzie za dziećmi do Jemenu, zostanie aresztowana i skazana na karę chłosty za nieposłuszeństwo mężowi. Dziewczyna próbowała coś zdziałać przez prawników i dyplomatów, jednak Arabowie zwyczajnie ją wyśmiali. Teraz ma kolejnego narzeczonego i chce ułożyć sobie życie od nowa, ale nie zamierza rezygnować z dzieci. Za wszelką cenę pragnie je odzyskać. Ktoś musi pojechać do Jemenu. Organizuję ekipę. Co ty na to?

Zaproszenie do udziału w tak niebezpiecznej misji było propozycją wspólnego szukania kłopotów. Skusiła mnie jednak perspektywa zobaczenia egzotycznego i niebezpiecznego kraju oraz możliwość udzielenia pomocy uroczej dziewczynie, która wpadła w tarapaty. Wbrew zdrowemu rozsądkowi odpowiedziałem:

- Okej, chłopie, możesz na mnie liczyć!

Logan zaprosił mnie do Kalifornii. Chciał, żebym poznał Sarę. Mieliśmy przecież pojechać razem do jednego z najmniejbezpiecznych miejsc na Ziemi, dlatego powinniśmy się zaprzyjaźnić, by móc sobie zaufać. Musieliśmy być pewni, że możemy na sobie polegać. Kiedy więc wracałem z Nowego Jorku do Brisbane, zatrzymałem się u Logana. Mieszkał w domu położonym w sosnowym lesie nadjeziorem Arrowhead, w górach San Bernardino w Kalifornii, zaledwie kilka godzin jazdy na wschód od Los Angeles. To właśnie tam poznałem Sarę, a ponieważ przypominała mi moją córkę, od razu się polubiliśmy.

Była naprawdę subtelna i ładna. Miała równie delikatną cerę co Timiko i tyle samo lat, czyli dwadzieścia pięć. Łączyły ją też z moją córką temperament oraz przyzwyczajenia. Ujęła mnie nie tyle urodą i urokiem osobistym, co charakterem. Okazała się osobą głęboko religijną, która zakochała się w niewłaściwym facecie. Nie mam pojęcia, czy zamierzała namówić go na chrześcijaństwo, czy po prostu dała się omamić egzotycznemu przystojniakowi, wiedziałem jednak, że wpadła przez to w kłopoty i potrzebowała pomocy. I nie umiałem odmówić. Logan dokładnie sprawdził jej przeszłość. Dzieci Sary rzeczywiście zostały uprowadzone i trafiły do bardzo nieprzyjaznego miejsca na ziemi.

Zanim wróciłem do Brisbane, żeby rozpocząć przygotowania, chciałem się upewnić, że Sara jest świadoma zagrożeń, które czekają na nas w Jemenie. Zamierzaliśmy odebrać dzieckiemu mężowi i wywieźć je z jego kraju, a to oznaczało, że musiała polecieć tam z nami. Dla mnie i Logana ryzyko nie było niczym nowym. Stanowiło nieodłączny element życia,

które wybraliśmy. Umieliśmy radzić sobie w trudnych sytuacjach. Tymczasem Sara była delikatną, głęboko religijną i bardzo młodą kobietą. Powinna raczej bawić się z dziećmi na placu zabaw w Tacoma albo śpiewać im i grać na gitarze, niż szukać przygód tam, gdzie kobieta jest mniej warta niż kałasznikow.

- Saro... - odezwałem się - musisz wiedzieć, że jeśli nas złapią w Jemenie, znajdziemy się w bardzo niebezpiecznej sytuacji. Abdul nie zmyślał, kiedy ci groził. Naprawdę możesz zostać wychłostana, ale mogą też spotkać cię o wiele gorsze rzeczy. Dla tamtych ludzi twoje życie nie będzie miało żadnej wartości. Ja i Logan jesteśmy na to przygotowani. Ale ty? Czy ty też jesteś zdecydowana? Naprawdę chcesz tak bardzo zaryzykować?

Dziewczyna zastanowiła się nad odpowiedzią, po czym głęboko westchnęła, jakby chciała zrzucić z siebie ciężar wątpliwości. Nie kierowała nią chęć przygody ani zemsta. Nie zamierzała się odgrywać na byłym mężu. Jej uczucie do niego wydało mi się czyste i bezwarunkowe. Była gotowa na podjęcie ryzyka z wielkiej miłości do dzieci. Wyjaśniła mi, że imię Aisza oznacza po arabsku „ta, która żyje”.

— Keith! - odezwała się, ściskając w dłoniach zaczytaną Biblię niczym koło ratunkowe. - Moje dzieci są dla mnie wszystkim, a Aisza jest poważnie chora. W Jemenie nie ma odpowiedniego sprzętu i lekarzy. Jeśli zostanie bez właściwej opieki, jeśli nie uda się szybko sprowadzić jej do Stanów, umrze. Jej serce nie wytrzyma.

Potem powiedziała coś, co zapadło mi w pamięć na bardzo długo i co przypomiinałem sobie podczas każdego podobnego zadania.

- Keith, jestem gotowa poświęcić życie, byle tylko uratować moje dzieci.

Jak już wspominałem, Sara była wierząca i postanowiła przeczytać mi fragment Pisma Świętego. Wychowałem się w luterańskiej rodzinie i żywiłem szacunek dla chrześcijańskich wartości, zawsze jednak wolałem działać, niż się modlić. Mimo to słuchołem z uwagą.

- Bóg coś mi obiecał - wyznała Sara, po czym otworzyła Biblię na Księdze Jeremiasza.

Zobaczyłem, że podkreśliła czerwonym długopisem kilka wersów, a na marginesie strony narysowała czerwone serca i dopisała imiona — „Omar i Aisza”. Obok napisała: „Wyznanie wiary - moja obietnica, 13 listopada 1991 roku”. Po chwili zaczęła czytać przez łzy.

16 „To mówi Pan:

Powstrzymaj głos twój od lamentu,

a oczy twoje od łez,

bo jest nagroda na twe trudy

- wyrocznia Pana —

powrócą oni z kraju nieprzyjaciela.

17 Jest nadzieja dla twego potomstwa

- < wyrocznia Pana > -

wrócą synowie do swych granic”.*

„Jest nadzieja dla twego potomstwa”. Teraz tą nadzieją dla Sary byliśmy ja i Logan. Powiedziała, że dla niej ten wyjazd to święta misja. Dla nas było to piekielnie trudne zlecenie,

* Cytat za *Biblią Tysiąclecia (przyp. red.)*.

jednak nie chcieliśmy jej zawieść. Zastanawiałem się tylko, czyjej gorliwość religijna nie miała źródła w głębokiej depresji. Uznałem jednak, że nie pora na takie dywagacje. Trzeba się było skupić na zadaniu.

Usiedliśmy we troje i zaplanowaliśmy szczegóły wyjazdu. Pierwsza zasada wojny brzmi, że należy rozpoznać wroga. W Republice Jemeńskiej mieliśmy ich naprawdę wielu...

Jemen leży na południowym krańcu Półwyspu Arabskiego i jest niewiele większy od Tajlandii. Od ubogich państw afrykańskich: Somalii, Erytrei czy Dżibuti, dzieli go jedynie Morze Czerwone. W starożytności kraj słynął z korzennych przypraw, kadzidła i mirry. Obecnie aż dziewięćdziesiąt procent dochodów pochodzi z wydobycia ropy naftowej. Oczywiście tylko nieliczni spośród dwudziestu trzech milionów Jemeńczyków zarabiają na czarnym złocie, większość utrzymuje się za mniej niż dolara dziennie.

Wiedzieliśmy, że Abdul mieszka w Adenie, starym brytyjskim porcie kolonialnym, w którym kilka miesięcy wcześniej, 29 grudnia 1992 roku, grupa wyszkolonych w Afganistanie fundamentalistów muzułmańskich z organizacji Al-Kaida, dowodzonych przez Osamę bin Ladena, przeprowadziła swój pierwszy atak terrorystyczny - na hotele Gold Mohur i Movenpick. Bomby miały odstraszyć amerykańskich żołnierzy, którzy brali udział w operacji humanitarnej „Przywrócić Nadzieję” w Somalii. W Gold Mohur zginął dyrektor hotelu oraz australijski lub austriacki - źródła nie są zgodne - turysta, a wiele osób zostało rannych. W Movenpick śmierć dosięgła tylko jednego z terrorystów,

gdyż ładunek wybuchł za wcześnie - na parkingu przed budynkiem hotelowym.

Ten drugi hotel - znajdujący się w Khormaksar, mieszkaniowej dzielnicy miasta - na cały miesiąc został naszym jemeńskim centrum operacyjnym. Nie byliśmy tam wprawdzie całkiem bezpieczni, ale mieliśmy stosunkowo niezłe jak na Jemen warunki bytowe i jedynie w tym hotelu mogli się zatrzymać goście z zagranicy.

Logan i ja wiedzieliśmy, że potrzebujemy fałszywych dowodów tożsamości, ponieważ terroryści atakowali najczęściej Amerykanów i ich zachodnich sojuszników.

- Jeśli wjedziemy na amerykańskich paszportach, ci obłąkańcy natychmiast nas namierzą. Będą chcieli nas porwać albo zastrzelić. Uważam, że powinniśmy udawać obywateli jakichś neutralnych państw - powiedziałem.

Właśnie dlatego kupiliśmy fałszywe paszporty Rodezji i Hondurasu Brytyjskiego, a także inne dokumenty, których mogliśmy potrzebować. Logan dodał, że tak naprawdę w Adenie nikt nie może się czuć bezpiecznie, nie tylko Amerykanie.

- Ten kraj po kilku dekadach wojny domowej przechodzi intensywne reformy, ale wciąż tam wrze - tłumaczył. - Turystyka, na dobrą sprawę, nie istnieje, za to co tydzień ginie jakiś wpływowy polityk lub wojskowy. Obcokrajowcom, zwłaszcza tym z Zachodu, radzi się omijać z daleka takie miejsca. Musimy wymyślić naprawdę dobry powód, żeby usprawiedliwić nasz przyjazd.

Logan doskonale znał branżę filmową i dlatego się uparł, że najbardziej przekonującym pretekstem byłoby szukanie plenerów do nowego filmu.

- W ten sposób - przekonywał mnie i Sarę - wejdziemy z kamerą wszędzie, gdzie tylko będziemy chcieli, a ludzie nas polubią. Nikt nie będzie podejrzewał, że szukamy dzieci Abdula. Zresztą, możemy zaprosić do współpracy adeńczyków. Powiemy im, że zagrają w filmie.

Dotychczas jako detektyw udawałem elektryka, dziennikarza, górnika i nawet operatora wózka widłowego. Wcielanie się w rolę producenta filmowego Kevina Johna O'Neilla wydało mi się kolejnym interesującym wyzwaniem aktorskim. Jeśli mu sprostam, być może odniosę kolejny zawodowy sukces, który oznaczał radość Sary i odzyskanych dzieci.

Za zgodą całej naszej trójki Logan założył fałszywą firmę produkcji filmowej o nazwie Hollywood Capers i mianował siebie dyrektorem do spraw plenerów. Teraz nazywał się Stephen Logan. Dał nam wizytówki, z których mieliśmy korzystać, gdyby ktoś w Jemenie chciał sprawdzić naszą wiarygodność. Na wizytówkach wydrukowano amerykański adres firmy (Suite 374-377, Grand View Towers, Hidden Hills, Kalifornia) oraz numer telefonu (909) 336 56 37. Oczywiście wszystkie rozmowy były przekierowywane do domu Logana nad jeziorem Arrowhead. Telefony odbierała Dona, jego żona, a zarazem współniczka w Clarke International Investigations, czyli firmy detektywistycznej Logana.

- Dzień dobry, tu Hollywood Capers! - mówiła głosem kompetentnej sekretarki. - Dodzwonili się państwo do biura Stephana Logana. W czym mogę pomóc? - Po czym przechodziła do przeprosin. - Niestety, bardzo mi przykro, sir. Pana Logana nie ma w biurze i nie będzie go w tym tygodniu.

Wyjechał na Bliski Wschód. Szuka plenerów do nowego filmu. Dziękuję za telefon, sir, i życzę miłego dnia.

Zabraliśmy również wizytówki niejakiego Michaela A. Humphreysa, który obiecał zająć się przygotowaniem naszego przyjazdu w Jemenie. Michael oficjalnie pracował dla Associated Press. Na dobrą sprawę wiedzieliśmy o nim tylko tyle, że na pewno nie nazywa się Michael A. Humphreys. Podobno służył w elitarnym komandzie Foki i w 1989 roku w Zatoce Perskiej. Podobno został zwolniony z wojska po wypadku motocyklowym, w którym złamał nogę i od tej pory kulał. Na pewno to właśnie on miał przerzucić Sarę z Dżibuti przez Morze Czerwone do Adenu. Sara nie mogła bowiem bezpośrednio przylecieć do Jemenu. Zależało nam na tym, aby o jej przybyciu nie dowiedział się żaden urzędnik ani nikt z członków rodziny Abdula.

Żeby uwiarygodnić nasz plan, Logan kupił wydrukowany scenariusz filmu Bernarda Bertolucciego z 1990 roku *Pod osłoną nieba*, w którym zagrali Debra Winger, John Malkovich i Campbell Scott. Na okładce zmieniliśmy tytuł na *Powrót do Adenu*, inspirując się popularnym australijskim serialem *Powrót do Edenu*, z Rebeccą Gilling w roli głównej. Na pierwszej stronie scenariusza dopisaliśmy nazwisko hollywoodzkiego przyjaciela Logana, Michaela Levyego - producenta takich filmów, jak: *K-Pax*, *Tomb Rider*, *Człowiek demolka*, *Predator 2* i *Szklana pułapka 2*. Całość skserowaliśmy cztery razy, a okładki okleiliśmy błyszczącą folią. Każdy z uczestników operacji dostał kopię. Przygotowaliśmy też kolejne fałszywe dokumenty: kontrakty dla statystów, dokumenty ubezpieczeniowe, umowy o użyczeniu

miejsca, opisy poszczególnych scen, wreszcie listy gratulacyjne dla firmy Hollywood Capers za podpisanie umów przedwstępnych z Arnoldem Schwarzeneggerem, Lou Diamondem Phillipsem, Chuckiem Norrisem i Patrikiem Swayze - wszyscy oni mieli zagrać w naszej produkcji. Do książki scenariuszowej dołączyliśmy zdjęcia Logana w towarzystwie gwiazd filmowych. Zamierzaliśmy chwalić się nimi na każdym kroku.

Udawanie filmowców z Hollywood przychodziło nam dość łatwo. Gorzej radziłyśmy sobie z otaczającymi nas realiami. Ilekroć wspominam te cztery i pół tygodnia spędzone w Adenie - a staram się robić to jak najrzadziej - od razu widzę wymazaną ekskrementami toaletę i wylewające się z niej brudy. Trudno nawet nazwać to miejsce toaletą. Zamiast muszli była tam tylko dziura, nad którą siedziało się w kucki. Jemeńska Rada Promocji Turystyki chwali się w na swojej stronie internetowej, że Aden to „jedno z najpiękniejszych miast na wybrzeżu Jemenu, znane ze swoich cudownych plaż, zabytkowych budynków i niezdojrzanych zamków”. Obym nie musiał już nigdy postawić nogi w kraju, który powitał mnie toaletą tak ohydną, że pamiętam ją do tej pory.

Wspominając Jemen, uświadamiam sobie, jak fatalnie może się człowiekowi ułożyć życie. Nam nie wiodło się od chwili wylądowania na lotnisku w Adenie.

Ze względów bezpieczeństwa postanowiliśmy - Sara, Logan, Michael i ja - wyruszyć do Jemenu z różnych stron świata i spotkać się dopiero na miejscu. Ja najpierw poleciałem z Brisbane do Dubaju, gdzie natrafiłem na pierwsze

problemy. Loty do Adenu obsługiwała jedynie linia lotnicza Alyemda (przejęta później przez Yemenię). W poprzednich latach jej samoloty „zaliczyły” jedno porwanie i trzy wypadki. W Europie Alyemda miała zakaz lądowania, a pewien miejscowy polityk nazwał ją latającym chlewem. W 1993 roku w żadnym z biur podróży nie udało mi się zarezerwować biletu na samolot tej linii. Żeby polecieć z Dubaju do Adenu, musiałem więc grzecznie stanąć w kolejce przed schodkami do samolotu i zapłacić za bilet tuż przed wejściem. Zupełnie jak w podmiejskim autobusie!

Potrzebowałem jeszcze jemeńskiej wizej. Nie mogłem jej jednak wyrobić w Australii. W dodatku nie miałem zaproszenia od obywatela Jemenu, co ułatwiłoby procedurę. Nie pozostawało mi nic innego, jak liczyć na łut szczęścia. Kiedy płaciłem za bilet przed wejściem do samolotu, zapytałem stewarda, uśmiechniętego, przyjaznego mężczyznę, co powinienem zrobić, żeby dostać dokument uprawniający do wjazdu do Jemenu.

- Daj mi sto dolarów amerykańskich, a wszystkim się zajmę - odpowiedział. - Pomogę ci na miejscu i zadbam, żebyś przeszedł przez odprawę.

Samolot okazał się nowym Airbusem wydzierżawionym od kanadyjskiej firmy i z kanadyjskimi stewardesami na pokładzie. Dopiero po dwugodzinnym locie opowiedziały mi przerażające historie o tym, jak Alyemda dba, a właściwie zupełnie nie dba, o swoje maszyny. Kiedy samolot wylądował, mężczyzna, któremu dałem sto dolarów, wysiadł jako pierwszy. Nigdy go już nie zobaczyłem. Szkoda, być może uniknąłbym wielu kłopotów.

Miałem przy sobie dwa fałszywe paszporty i ani jednej wizej. Ustawiłem się na końcu kolejki i czekałem, aż wszyscy

przejdą przez odprawę celną. Wreszcie celnik poprosił o moje dokumenty. Paszport wydany w Hondurasie Brytyjskim na nazwisko Kevin John O'Neill nie zaniepokoił go, mimo że moja nowa ojczyzna 12 lat wcześniej zmieniła nazwę na Belize. Najwyraźniej geografia nie była jego ulubionym przedmiotem szkolnym. Zainteresował się natomiast moją wizą, a właściwie jej brakiem. Nie dopuszczał myśli, że można nie mieć wizej i chcieć wjechać. Gdybym chociaż miał zaproszenie... Ale skoro nie mam nawet zaproszenia, powinienem - według tego urzędnika celnego - zabierać się z Jemenu w podskokach. Miałem zostać deportowany tak szybko, jak to możliwe. Wyglądało na to, że polecę kolejnym samolotem prosto do... Bombaju!

A ja wiedziałem, że jeśli zostaną odesłany, poszukiwania Omara i Aiszy znacznie się opóźnią. Dlatego najpierw zacząłem błagać tego celnika, żeby mnie przepuścił, potem zacząłem się z nim kłócić, a skończyłem na groźbach. Krzyczałem, że jako znany i powszechnie szanowany obywatel Hondurasu Brytyjskiego chcę wrócić do Dubaju i nigdzie indziej. I to jak najszybciej! Trochę pomogło, bo urzędnicy złagodnieli.

- Dobrze, ale na samolot zaczekasz na lotnisku. - Poinformował mnie kierownik biura celnego. - Aresztujemy cię i rekwirujemy walizkę. Oddamy ją, kiedy będziesz odlatywał.

Tę złą wiadomość usłyszałem w poniedziałek po południu. Nie wiedziałem wtedy, że następne pięć dni spędzę samotny, głodny i bez snu.

Moja cela okazała się betonowym bunkrem o wymiarach trzy na trzy metry, ozdobionym śladami po kulach: pamiątką

po wojnie domowej, która trwała w Adenie od lat. Jedynym meblem w pomieszczeniu było chybocliwe drewniane krzesło. Nie było żadnego łóżka ani nawet materaca. W nocy próbowałem spać na krzesle, brzydziłem się bowiem położyć na przeraźliwie brudnej betonowej podłodze.

Pilnował mnie żołnierz z kałasznikowem. Palec trzymał cały czas na cynglu. Być może myślał, że rzucę się do ucieczki. Ale dokąd miałbym uciekać i' Dookoła na kilometry rozciągała się czerwona ziemia i rozgrzany piasek. W dodatku słyszałem, że w tej części świata publiczne egzekucje nie są niczym niezwykłym, więc postanowiłem nie ryzykować.

Siedziałem w areszcie blisko tydzień i przez cały czas strasznie się pociłem. Oczywiście nie tylko dlatego, że temperatura w celi przekraczała wszystkie dopuszczalne normy. Zżerał mnie jeszcze strach - mniej o życie, bardziej o to, żeby nie zawieść Sary i Logana.

Ach, prawda, była jeszcze lotniskowa toaleta, do której odprowadzał mnie żołnierz z kałasznikowem w rękach. Okazała się zwykłą dziurą w ziemi, nad którą należało kucnąć. Nieczystości przelewały się, a wokół roiło się od much. Korzystając pierwszy raz z tej latryny prawie zwymiotowałem, a potem za każdym razem długo zbierałem się w sobie, żeby nie okazywać emocji.

Więcej szczęścia ode mnie miał fałszywy reporter Associated Press, Michael A. Humphreys, który rozpoczął podróż do Jemenu z Dżibuti, kraju leżącego na Półwyspie Somalijskim, ze stolicą o tej samej nazwie.

Michael miał się zorientować, czy uda się przemyścić Sarę z Dżibuti do Jemenu. Na miejscu poznał pewnego

Brytyjczyka, menedżera w firmie ochroniarskiej, a jednocześnie właściciela ośmiometrowej łodzi firmy Boston Whaler, według producenta - niezatapialnej. Jednostkę napędzały dwa dwustupięćdziesięciokonne silniki zaburtowe Johnsona, dzięki którym przy dobrej pogodzie można było przepłynąć Morze Czerwone zaledwie w pięć do sześciu godzin. Niestety w okolicy roiło się od somalijskich piratów, którzy potrafili zatopić każdą łódź, nawet najbardziej niezatapialną.

Kiedy Michael zaczął rozповідаć, że jego kumple kręcą film i potrzebują małej, ale naprawdę szybkiej motorówki do kilku ważnych scen, Brytyjczyk zaproponował swoją łódź i dość tanio wypożyczył mu sprzęt. Oczywiście musieliśmy zapłacić za paliwo, a także zabrać sternika, francuskiego Marokańczyka, który nie mówił po angielsku.

- Och, a tak przy okazji... - dodał właściciel łodzi - gdybyście szukali aktora do *Powrotu do Adenu*... Nie myślę, rzecz jasna, o głównej roli, tylko o jakimś epizodzie lub choćby kilku liniijkach dialogu... W każdym razie chętnie coś zagram. Może na przykład w scenie z Arnoldem Schwarzeneggerem albo Chuckiem Norrisem, albo choćby z Patrickiem Swayze?

Z tego, co wiem, Michael odpowiedział, że tylko jedna rola - u boku Lou Diamonda Phillipsa - nie została jeszcze obsadzona, a potem poszedł po kilka czterdziestoczterogalonowych beczek z paliwem, niezbędnych do przepłynięcia z Dżibuti do Jemenu. Za punkt docelowy przeprawy wybrał opuszczoną plażę leżącą około dwudziestu kilometrów na północ od Adenu. Sara nie potrzebowała więc jemeńskiej wizy!

Tymczasem ja drugiego dnia niewoli kupiłem pięć butelek wody za kilka dolarów amerykańskich, które znalazłem

w kieszeni, dzięki czemu odsunąłem w czasie groźbę śmierci z pragnienia. Dawał mi się jednak we znaki brak snu. Brzydziłem się położyć na brudnym betonie, a na rozpadającym się drewnianym krześle nie umiałem zasnąć. Zauważyłem za to, że w nocy na lotnisko w Adenie schodzą się biedacy, którzy tu śpią, używając kawałków tektury jako materacy. Rano, kiedy przeganiała ich obsługa lotniska, chowali te tektury za tablicami ogłoszeniowymi. Podczas kolejnego wyjścia do „toalety” przekonałem uzbrojonego ochroniarza, żeby pozwolił mi zabrać kilka takich kartonów. Dzięki temu przez resztę tygodnia spałem na podłodze bez obrzydzenia.

Trzeciego dnia aresztu dostałem wreszcie coś do jedzenia. Było to trochę już nieswieże ciasto biszkoptowe. Następnego dnia przyniesiono mi banana. Ciasto i banan - tyle dostałem, gnijąc pięć dni w betonowym bunkrze. Nie licząc strażników, nie miałem z kim porozmawiać. Nie zgodzono się również na widzenie z kierownikiem biura celnego, mimo że najpierw stanowczo, a potem z błaganiem w głosie o to prosiłem.

W końcu osłabłem: z głodu, pragnienia, ze strachu i złości. Zacząłem sobie wmawiać, że czeka mnie publiczna egzekucja. Kiedy przytomniałem, tłumaczyłem sobie, że choć siedzę w obcym więzieniu pod fałszywym nazwiskiem i nikt nie wie, co się ze mną dzieje, to gdyby Jemeńczycy chcieli mnie zabić, dawno bym już nie żył. „Najgorsze, co mogą zrobić, to wyrzucić mnie z Jemenu” - powtarzałem w myślach jak mantrę. Wreszcie nadszedł piątek i strażnik zaprowadził mnie do biura.

- Za chwilę zostaniesz deportowany - oświadczył urzędnik. - Zabieraj walizkę i żebyśmy cię tu więcej nie widzieli.

W tej chwili już mnie nie interesowało, dokąd polecę, byleby się stąd wydostać. Kiedy jednak okazało się, że celnicy

spełnili moją prośbę i wysyłają mnie do Dubaju, wstąpiła we mnie nadzieja. Znowu zacząłem logicznie myśleć. Najpierw ostrożnie przeszukałem bagaż. Chciałem sprawdzić, czy znaleźli paralizator. Domyślałem się co prawda, że gdyby tak się stało, prawdopodobnie już bym nie żył, ale wolałem mieć pewność. Potem wymacałem „rodezyjskie” dokumenty ukryte pod poszyciem walizki. Znalazłem także - ku mojemu zaskoczeniu - drogie buty sportowe. Nikt ich nie ukradł! Celnicy nie znaleźli paralizatora, ale tysiącem dolarów zaopiekowali się skutecznie. „O nie, nie daruję draniom” - pomyślałem. Poczułem, jak narasta we mnie gniew.

- Przepraszam! - powiedziałem do celnika, siłąc się na uprzejmość. - W poniedziałek, kiedy tu przyjechałem, miałem w tej torbie tysiąc dolarów amerykańskich. Nie mogę ich znaleźć.

Na twarzy urzędnika zobaczyłem wymuszony uśmiech.

- Nie, nie! W tej torbie na pewno nie było pieniędzy - zdecydowanie zaprzeczył.

- Owszem, były! Tysiąc dolarów amerykańskich! Chciałbym je odzyskać! - prawie wykrzyczałem.

Strażnik powoli podniósł kałasznikowa i wycelował prosto w moje serce.

- W porządku - stwierdziłem. Nagle uświadomiłem sobie, że tej bitwy nie wygram. - Najwidoczniej musiałem się pomylić.

Od tamtej pory wiem, że w Jemenie nie warto się denerwować drobiazgami!

Pierwsza próba wjazdu do Adenu kosztowała mnie pięć dni aresztu i tysiąc dolarów. I mimo że nie zobaczyłem cystern Tawila ani słynnego domu Rimbauda, ani żadnej innej atrakcji

turystycznej, o których czytałem w reklamowych prospektach, byłem szczęśliwy, że się wydostałem z betonowego bunkra i ponownie trafiłem na pokład samolotu niebezpiecznych linii lotniczych Alyemda.

Gdy leciałem do Dubaju, zacząłem się niepokoić o powodzenie naszej misji. Ostatni raz rozmawiałem z Loganem w poniedziałek, kiedy wylatywałem do Adenu. Powiedział wówczas, że za kilka dni do mnie dołączy. Byłem przekonany, że czekają na mnie w pokoju w hotelu Mówenpick. Jednak tym razem szczęście uśmiechnęło się do mnie - po raz pierwszy od przylotu do Jemenu.

Kiedy wysiadłem na lotnisku w Dubaju, zobaczyłem, że na sąsiednim pasie pasażerowie lecący do Adenu przygotowują się właśnie do wejścia na pokład samolotu. Przyszło mi do głowy, że może być wśród nich Logan. Tylko jak to sprawdzić. Nie mogłem przecież poprosić o wywołanie jego prawdziwego nazwiska, gdyż korzystaliśmy z fałszywych dokumentów. Podszedłem więc do kogoś z obsługi lotniska i poprosiłem o rozmowę z Genem Kellym. Słusznie założyłem, że mój partner, znawca kina, od razu się zorientuje, że chodzi o niego. Miałem farta. Logan faktycznie był na lotnisku. Po chwili podbiegł do stalowych krat oddzielających pasażerów wysiadających od wsiadających.

- Mój Boże, Keith, co się stało? Myślałem, że jesteś w Adenie! - zawołał, po czym przyjrzał mi się uważnie.

Wygłodzony, brudny, nieogolony, niewyspany - faktycznie nie wyglądałem najlepiej.

- Chłopie, wyglądasz jak kloszard!

- No tak, też się cieszę, że cię widzę! - odpowiedziałem z sarkazmem. - A tak naprawdę to długa historia.

Przesiedziałem prawie tydzień w areszcie na lotnisku w Adenie. Nie było co jeść ani gdzie spać. Poza tym celnicy zwinęli mi całą kasę. Potrzebuję forsy i wizy. I to szybko.

W tym samym momencie z głośników rozległo się ostatnie wezwanie dla pasażerów do Adenu.

- W porządku, Keith! - powiedział Logan i wepchnął między kraty gruby zwitek zielonych banknotów. - Zadzwoni do mnie, jak zdobędziesz wizę. I do zobaczenia w Mówenpick.

W tym czasie Michael A. Humphreys oraz jego francusko-marokański sternik wciąż byli w Dżibuti. Właśnie ładowali potrzebny sprzęt na niezatapialną łódź firmy Boston Whaler. Towarzyszyła im tajemnicza gwiazda naszego filmu. Sara Hassan ubrana była w czarną burkę do ziemi. Widać było tylko jej oczy pełne desperacji. W rękach trzymała gitarę. Strój miał zapewnić jej bezpieczeństwo; instrument wzięła, bo obiecała, że znów zagra dla swoich dzieci.

Michael wytłumaczył sternikowi, dokąd muszą popłynąć. Powiedział mu też, żeby dochował tajemnicy, bo to może zadecydować o sukcesie filmu.

W sumie nie było to kłamstwo. Po pierwsze, sukces akcji zależał przede wszystkim od dyskrecji, a po drugie, oprócz udawania producentów filmowych faktycznie mieliśmy nakręcić materiał zdjęciowy, tyle że nie do filmu fabularnego, ale dokumentalnego.

Logan dogadał się z amerykańskim tabloidem telewizyjnym „Hard Copy” specjalizującym się w skandalach z udziałem gwiazd filmowych, a także z Paramount Pictures, że dostarczy zdjęcia z naszej akcji w Adenie. W zamian obie instytucje wypłaciły Sarze po kilka tysięcy dolarów, które

razem z pieniędzmi zebranymi przez jej rodzinę, *przyjaciół* i wiernych z kościoła w Tacoma zostały przeznaczone na pokrycie kosztów odzyskania dzieci. Paramount Pictures zaopatrzyło nas również w aparaty fotograficzne i kamery potrzebne do nakręcenia godzinnego dokumentu filmowego. Materiał zdjęciowy mieliśmy przygotować ja i Logan. Zgodziliśmy się, ponieważ był to dla nas kolejny wiarygodny kamuflaż.

Tymczasem ja wyszedłem z terminalu lotniska w Dubaju. Zatrzymałem taksówkę i zapłaciłem 50 dolarów za zawiezenie mnie do odległej o sto dwadzieścia kilometrów ambasady Jemenu w Abu Dhabi. Na miejscu poprosiłem kierowcę, by został moim tłumaczem. Weszliśmy do środka. Pokazałem urzędnikom paszport - ten prawdziwy, australijski - i zapłaciłem 500 dolarów za wicie jemeńskiej wizej. Potem w pięciogwiazdkowym Sheratonie w Abu Dhabi wynająłem pokój z widokiem na Zatokę Perską.

Po pięciu dniach spędzonych w betonowym bunkrze z ogromną przyjemnością wzięłem prysznic, ogoliłem się i zjadłem stek równie dobry jak te, które smażyłem kiedyś w hotelu Breakfast Creek. Następnie wsunąłem się pod chłodną bawełnianą pościel i wyspałem za wszystkie czasy.

Mieliśmy wydrukowane scenariusze, zdjęcia gwiazd, nowe tożsamości, fałszywe dokumenty i wizytówki, a także szczegółowo opracowany plan działania. Uważaliśmy, że jesteśmy znakomicie przygotowani. Jednak rzeczywistość nas przerosła.

Zwrot akcji

Mój drugi lot do Adenu okazał się jedną z najdziwniejszych podróży, jakie kiedykolwiek przeżyłem.

Samolot Alyemdy wystartował z Dubaju. W Sanie, stolicy Jemenu, miał międzylądowanie. Na pokład weszła wówczas liczna grupa mężczyzn o zdeformowanych twarzach. Wszyscy mieli na głowach kefije i wachlowali się jakimiś gałązkami. Myślałem, że odganiają w ten sposób muchy, kiedy jednak usiedli, ze zdziwieniem zobaczyłem, że zaczęli żuć liście z tych gałązek.

- Tę roślinę nazywają *khat* lub *qat* - powiedziała jedna z kanadyjskich stewardes, widząc moją zaskoczoną minę. - To czuwaliczkajadalna, rodzaj narkotyku. Można go parzyć i pić napar jak herbatę, ale najczęściej po prostu żuje się jej liście. Formuje się z tych liści kulkę wielkości piłeczki do golfa, wkłada do ust i trzyma pod policzkiem, aż narkotyk zacznie działać.

Rozejrzałem się po samolocie. Wszyscy mężczyźni, którzy wsiedli w Sanie, mieli wyraźnie asymetryczne twarze. Każdy miał wybrzuszony jeden policzek, jakby napuchnięty od bójącego zęba. Najwyraźniej byli na niezłym haju.

Khat trafia niekiedy do Australii, jego import jest jednak ściśle kontrolowany. Roślina zawiera bowiem stymulant przypominający w działaniu amfetaminę i wywołujący podekscytowanie, utratę apetytu, a nawet euforię. Trochę się wystraszyłem towarzystwa odurzonych pasażerów. Nie wiedziałem, że najgorsze jeszcze przede mną. W połowie lotu z kabiny wyszedł pilot i też miał „napuchnięty” policzek! Przywitał się z nowymi pasażerami jak z dawno niewidzianymi przyjaciółmi, po czym przysiadł się do nich i rozpoczął pogawędkę! Wtedy zamknąłem oczy i modliłem się, mając nadzieję, że przynajmniej siedzący za sterami drugi pilot nie jest uzależniony od narkotyków. Podróż nie należała więc do spokojnych...

Na szczęście nowa wiza, warta pół tysiąca dolarów, pozwoliła mi szybko przejść przez wszystkie bramki na lotnisku. Pamiętając o historii hotelu *Móvenpick*, postanowiłem poszukać pokoju gdzie indziej. Miałem nadzieję, że znajdę jakiś zaciszny i bezpieczniejszy pensjonat. Poprosiłem takśówkarza, żeby zawiózł mnie w takie miejsce. Trafiłem do kamienicy, która wyglądała, jakby przetrwała wybuch bomby atomowej. W rozpadającym się budynku za kontuarem siedział przysypiający Arab, szafkę z kluczami pokrywała gruba pajęczyna, a na ścianach zakurzonego lobby roiło się od dziur po kulach.

Doszedłem do wniosku, że lepiej zaryzykować noclegi w *Móvenpick*. Zameldowałem się, okazując rodezyjski paszport - tak na wszelki wypadek. Gdy terroryści chcą, żeby świat o nich usłyszał, zwykle biorą na cel Amerykanów i ich sojuszników. W razie porwania nietypowe obywatelstwo mogło uratować mi życie.

Przyjechałem jako ostatni z naszej grupy. Prosto z *repcji* poszedłem się przywitać z Sarą, Loganem i Michaeliem. Uczeliśmy szczęśliwe dotarcie nas wszystkich do Adenu obfitą kolacją w pokoju Sary na trzecim piętrze. Pamiętam, że jedliśmy dobrze przyprawioną jagnięcinę z ryżem.

Dowiedziałem się wtedy, że Michael z Sarą bez problemów dopłynęli do plaży w pobliżu Adenu i mieszkają w hotelu od kilku dni. Mimo że starali się nie rzucać w oczy, służba hotelowa już zaczęła podejrzewać, że kobieta w burce nie jest tą, za którą się podaje. Przez kolejne tygodnie naszego pobytu w Adenie plotkowano coraz głośniej i atmosfera wokół nas robiła się gęsta.

Plan akcji przedyskutowaliśmy bardzo szczegółowo. Już samo odszukanie Omara i Aiszy było wyzwaniem, a trzeba było jeszcze porwać i wywieźć dzieci z tego nieprzyjaznego kraju. Od ostatniego etapu operacji zależało, czy wyjdziemy z tej przygody cało. Zdecydowaliśmy, że do ucieczki z dziećmi wykorzystamy dwa samochody. Pierwszym podjedziemy do drugiego auta, zaparkowanego niedaleko. Koła pierwszego przedziurawimy, po czym popędzimy na opuszczoną plażę, gdzie na pokładzie łodzi firmy Boston Whaler Michael będzie grzał silniki. Potem popłyniemy przez Morze Czerwone do Dżibuti, mając nadzieję, że piraci zrobili sobie wolne.

Dziewięciopiętrowy Movenpick z dwustoma pokojami uchodził za najlepszy hotel w Adenie, ale w Australii dostałby najwyżej trzy gwiazdki. Nie należał też do cichych ani spokojnych. Był za to znacznie wygodniejszy niż moja kwatery w bunkrze na lotnisku.

Działało w nim kilka przyzwoitych restauracji. Hotel szczy-
cił się też „nocnym klubem połączonym z dyskoteką w mię-
dzynarodowym stylu oferującym relaksującą atmosferę” - jak
napisano w prospekcie reklamowym. Z uwagi na wykonywane
przez nas zadanie oraz fakt, że dziewięć miesięcy wcześniej ter-
roryści usiłowali wysadzić w powietrze ten raj na ziemi, raczej
nie wypoczęliśmy. I choć chwilami bawiliśmy się całkiem
dobrze, wmawiając miejscowym, że jesteśmy grubymi szy-
chami z Hollywood, przez cały *czas* czuliśmy powagę sytuacji.

Podczas mojego pobytu w Adenie przekonałem się, że to
miasto wciąż tkwi w głębokim średniowieczu. Chyba nie-
wiele się tu zmieniło od czasów, gdy jakieś siedemset lat temu
dotarł tu Marco Polo. Mimo reform i wielu pozytywnych
zmian, w Jemenie wciąż nie przestrzega się praw człowieka.
Nadal obowiązuje tu kara śmierci. Skazuje się na nią również
osoby niepełnoletnie, co jest niezgodne z prawem międzyna-
rodowym. Bywa, że przestępców torturuje się przed wyko-
naniem egzekucji. Funkcjonariusze służby bezpieczeństwa
oskarżani są o niezwykle brutalne przesłuchiwanie więź-
niów i zabójstwa bez wyroku sądu. Za utrzymywanie stosun-
ków homoseksualnych lub cudzołóstwo grozi kara chłosty,
a nawet śmierć. Kobiety wciąż mają tu mniej praw niż męż-
czyźni, a do małżeństwa bywają zmuszane nawet dziewięcio-
latki. O bezwzględności i korupcji jemeńskich urzędników
przekonałem się, kiedy gniłem w areszcie na lotnisku. Ale
w pełni uświadomiłem sobie, do jak niebezpiecznego kraju
przyjechałem, dopiero w drugim tygodniu pobytu.

Rozglądałem się za tropami, które mogłyby doprowa-
dzić nas do Omara i Aiszy. Szedłem jedną z zatłoczonych,

hałaśliwych ulic. Na chodnikach roiło się od ulicznych sprzedawców i ciągniętych przez wielbłądy wózków uginających się pod ciężarem towarów. Nagle usłyszałem jakieś poruszenie. Ktoś płakał i krzyczał po arabsku. Podniosłem głowę. Na drugim piętrze budynku, na balkonie bez barierki zobaczyłem młodego mężczyznę. Miał związane ręce i linę zawiązaną wokół szyi. Na moich oczach zepchnięto go i zawisł około metra nad ziemią, kopiąc nagimi stopami powietrze. Przez chwilę drżał, a potem jego ciało zawisło bezwładnie na linie. W jego otwartych martwych już oczach zastygło przerażenie. Przechodnie szli obok niczym pasażerowie kolejki podmiejskiej omijający namolnego żebraka dopominającego się o papierosa.

Publiczna egzekucja wydała mi się przerażającym i zarazem groteskowym widowiskiem, ale z jakichś powodów nie mogłem oderwać oczu. Przez chwilę stałem nieruchomo. Po prostu mnie zamurowało.

- Co się stanie z ciałem? - zapytałem ulicznego sprzedawcę, który rozumiał trochę po angielsku, kiedy ochłonałem. - Czy ktoś ściągnie tego biedaka na ziemię?

- O tak! - odpowiedział. - Nocą przyjedzie śmieciarka i z pewnością zabiorą go stąd. Nie będzie pogrzebu. Nie będzie grobu. Po prostu trafi na śmietnik.

Mój drugi pobyt w Adenie trwał trzy i pół tygodnia. Początkowo miejscowi traktowali nas z szacunkiem i nie byli podejrzliwi. Przedstawialiśmy się jako filmowcy, dzięki czemu zyskiwaliśmy przyjaciół. Wszędzie spotykaliśmy się raczej z podziwem niż z nieufnością, zwłaszcza że szastaliśmy pieniędzmi w hollywoodzkim stylu.

Zaprzyjaźniliśmy się z niemieckim konsulem w Jemenie, Helmutem. Przed przyjazdem do Adenu Helmut pracował w konsulacie w Sydney. Placówkę w Jemenie traktował jak zesłanie. Wciąż się zastanawiał, kogo obraził, że dostał taką karę. A teraz sobie wymarzył, że dostanie jakąś niedużą rolę w *Powrocie do Adenu*. Nie był wyjątkiem. W naszym filmie chcieli zagrać wszyscy! Nic dziwnego, zapewnialiśmy bowiem, że będzie to produkcja na miarę *Kleopatry* z 1963 roku z Elizabeth Taylor i Richardem Burtonem w rolach głównych. Założyliśmy, że im więcej osób uda się przekonać do współpracy z nami, tym łatwiej będzie nam uciec z Omarem i Aiszą. Dlatego chętnie rozdawałem koszulki z reklamą *Powrotu do Adenu*, które okazały się prawdziwym hitem.

W hotelowej recepcji dopytywałem się też o możliwość wynajęcia całego dziewiątego piętra dla aktorów i ich asystentów. Menedżer hotelu był pod wrażeniem nazwisk, które wymieniałem. Dość nieprzyjemnie natomiast zaskoczyła go wiadomość, że Arnold Schwarzenegger będzie potrzebował apartamentu z dodatkowym pokojem, żeby ustawić w nim przyrządy do ćwiczeń.

- Pan Schwarzenegger przywiezie własny sprzęt czy to my będziemy musieli go dostarczyć? - dopytywał się lekko zaniepokojony.

- Podejrzewam, że zda się na was - powiedziałem, udając współczucie. - Ale proszę się nie martwić. Arni podeśle wam za kilka dni szczegółową listę przyrządów, których będzie potrzebował. Chyba zdaje pan sobie sprawę, jaką reklamą dla hotelu będzie jego przyjazd?

Plotki rozchodziły się szybko. Wkrótce wszyscy wiedzieli, że do Mövenpick zjadą wielkie sławy. Każdy chciał coś z tego mieć. Pewnego dnia w hotelowym lobby zaczął mnie grecki biznesmen, właściciel hotelu na statku. Pokazał mi reklamową broszurę i kilka kolorowych zdjęć. Za wszelką cenę próbował mnie przekonać, że jego statek znacznie bardziej spodoba się międzynarodowym gwiazdom filmowym niż noclegi w niebezpiecznym Mövenpick.

- Możemy zainstalować na pokładzie wszystko, czego tylko pan Schwarzenegger sobie zażyczy - dodał. - Codziennie będziemy urządzać bankiety na waszą cześć!

Wstępnie zgodziłem się na jego propozycję. Na szczęście nie poprosił o zaliczkę. Zapewne, wciąż czeka na Arniego.

Tak naprawdę oszukiwanie ludzi mnie nie bawiło. Traktowałem to jak zło konieczne - środek prowadzący do celu, którym było uratowanie dwójki porwanych dzieci. Szum, który robiliśmy wokół przygotowań do filmu, miał odwrócić uwagę od prawdziwego zadania.

Zaraz na początku pobytu wynajęliśmy kilku młodych Arabów czekających na pasażerów przed naszym hotelem. Nie byli to oficjalni taksówkarze, którzy w Jemenie są rzadkością, a ich auta nie były w żaden sposób oznakowane. Wozili nas po mieście swoimi terenowymi toyotami, co było doskonałą przykrywką. Dzięki nim mogliśmy - pod pretekstem szukania plenerów oraz miejsc do kręcenia scen ulicznych - pojechać bez rzucania się w oczy wszędzie tam, gdzie chcieliśmy. Chłopcy byli gotowi pracować dla nas za zaledwie dolara dziennie, wliczając w to koszty paliwa. Uważali to za godziwą płacę. Co jakiś czas dostawali napiwek, byli więc

naprawdę zadowoleni. Później dowiedzieliśmy się, że jeden z nich był synem miejscowego policjanta i woził nas służbowym samochodem ojca.

Podawanie się za filmowców przysporzyło nam przyjaciół i... kłopotów. Jak można się domyślić, w Jemenie powszechna jest korupcja. Rozgłos, który nam towarzyszył, spowodował, że zainteresowali się nami urzędnicy różnych wydziałów administracji, ale wszystkim chodziło o jedno - o pieniądze. Nie mieliśmy wyjścia, z każdym z urzędników musieliśmy się spotkać. Na rozmowy wyjeżdżaliśmy wczesnym rankiem, gdyż chcieliśmy uniknąć popołudniowych upałów. Mimo to z trudem przedzieraliśmy się przez wąskie ulice zapchane wózkami z daktylami lub kawą, a także ulicznymi straganami. Na każdym rogu stał policjant lub żołnierz, który zatrzymywał nasz samochód i domagał się opłaty za pozwolenie na przejazd. Wreszcie udało nam się pozyskać jednego z miejscowych prominentnych polityków i dopiero wtedy sytuacja się poprawiła.

Pomógł nam Mohammed. Podobnie jak innym dygnitarzom z Adenu i jemu zależało na spotkaniu z producentami filmowymi. Pewnego dnia ten uroczy i dość elegancki mężczyzna, przypominający z wyglądu Omara Sharifa, po prostu przyszedł do naszego hotelu i zaproponował swoją pomoc. Menedżer hotelu przedstawił go nam jako ministra spraw wewnętrznych. Lekko się przestraszyliśmy, gdy zaprosił nas na rozmowę do baru. W końcu to szef policji, a my nie wiedzieliśmy, o co mu chodziło. W pobliżu czekał na nas samochód, do którego zdążylibyśmy dobiec, gdyby się okazało, że to pułapka. Na szczęście obawy były bezpodstawne.

Mohammed chciał porozmawiać o naszym filmie. Zapalił się do pomysłu - zadziałały zdjęcia, gwiazd oraz koszulki, które od nas otrzymał. (A propos koszulek, to musieliśmy je domówić, gdyż cieszyły się ogromnym powodzeniem). Dopytywał się, czy w *Powrocie do Adenu* przedstawimy miasto we właściwym świetle. Kiedy zapewniłem go, że kręcimy historię miłosną, która widzów trochę rozbawi, a trochę zmusi do płaczu, wyglądał na zachwyconego.

- To doskonała wiadomość! - stwierdził, dolewając mi dietetycznej coli i burbonu. - Czy mogę w czymś pomóc?

Opowiedziałem mu o problemach, jakie sprawiają nam chciwi policjanci domagający się prezentów w zamian za przepuszczenie samochodów. Mohammed zmarszczył brwi i z oburzeniem poruszył wąsami. Zaproponował, że następnego dnia pojedzie z nami, żeby się przekonać, czy mówię prawdę. Obiecał również wystawić nam, wielkim producentom z Hollywood, specjalny dokument pozwalający na swobodne poruszanie się po mieście. Po głowie chodziła mu jeszcze jedna sprawa niezwykłej wagi.

- A jeśli chodzi o ten film... Proszę przypomnieć tytuł... Wiem, *Powrót do Adenu...* - zagaił. - Może znaleźlibyście jakąś rolę i dla mnie? Na przykład w scenie z panem Schwarzeneggerem? To nie musi być nic wielkiego. Wystarczy jedna lub dwie linijki tekstu!

- Nie ma problemu - odpowiedziałem. - Prawdę mówiąc, niedługo spotkamy się ze scenarzystami, żeby wprowadzić niezbędne poprawki. Jestem przekonany, że da się coś wymyślić.

Następnego dnia Mohammed wybrał się z nami na „poszukiwanie plenerów”. Był naprawdę zaskoczony, widząc,

jak często policjanci zatrzymywali nas i domagali się pieniędzy. Zdziwiła go również wysokość tych haraczy. Za każdym razem legitymował się zatrzymującym nas policjantom i mówił, jak bardzo jest niezadowolony z ich postępowania.

Nastało południe i zrobiło się strasznie gorąco. Wróciliśmy na lunch do Móvenpick. Mohammed zaczął się przechwalać swoją pozycją i wpływami. Mówił prawdę. Przeciętny Jemeńczyk nie miał prawa kupować alkoholu, ale zakaz wyraźnie nie dotyczył miejscowych polityków. Do posiłku Mohammed zamówił whisky i pił niczym wielbłąd, który nie widział wody od miesięcy.

Najważniejsze, że zgodnie z obietnicą dał nam pismo polecające do ministra kultury i turystyki. Napisał w nim, że jesteśmy filmowcami z Hollywood, którzy kręcą romantyczny melodramat i szukają odpowiednich plenerów. Ponieważ spodobały się nam uliczki i bazyry Adenu, prosił o udzielenie nam pomocy, jeśli będziemy czegoś potrzebowali. Z dokumentu wynikało, że faktycznie był ministrem spraw wewnętrznych.

- Dziś pomogłem wam zaoszczędzić sporo pieniędzy. Prawda? - zapytał i spojrzał na mnie z zadowoleniem, gdy przeczytałem pismo.

- Tak, z całą pewnością - odpowiedziałem, rozumiejąc, że to wstęp do poważniejszej rozmowy.

- To dobrze, bardzo dobrze. Oczywiście podziękowanie za przysługę...

Uśmiechnąłem się serdecznie, wyjąłem kilka studolarskich banknotów i dyskretnie wsunąłem mu w dłoń. Mohammed udał zaskoczenie, ale nie wyszło mu to najlepiej. Chyba nie wystąpiłby w żadnym naszym filmie, nawet gdybyśmy

byli prawdziwymi producentami, bo aktorem był miernym. Dobrze jednak, że go pozyskaliśmy, ponieważ później ocalił nam życie.

Im bardziej zbliżaliśmy się do dzieci, tym mocniej zaciśkała się wokół nas pętla podejrzeń. Mimo to krok po kroku posuwaliśmy się do przodu. Koszulki reklamujące nasz fikcyjny film stały się cennym towarem kolekcjonerskim sprzedawanym na miejscowych ulicach i bazarach. Być może dzięki nim coraz więcej osób wierzyło w nasze opowieści.

Nie wszystko szło jednak jak po maśle. Mimo że byliśmy dość ostrożni i przekonujący, niektórzy pracownicy hotelu mieli wątpliwości co do tożsamości Sary, a co za tym idzie - i naszej. Przez cały okres pobytu w Adenie Sara prawie nie wychodziła ze swojego pokoju, a jednak ludzie plotkowali. Wiedzieliśmy, że służba hotelowa będzie przeszukiwać po cichu nasze bagaże, więc starannie ukryliśmy dokumenty mogące ujawnić naszą prawdziwą tożsamość. Pilnowaliśmy też, aby w pokojach nie założono miniaturowych podsłuchów. Sprawdzaliśmy regularnie, czy nie ma pluskiew. Mimo naszych wysiłków niektórzy zaczęli traktować nas podejrzliwie. Zona Logana odebrała w domu nad jeziorem Arrowhead cztery podejrzane telefony od osób o bliskowschodnim akcencie, które szczegółowo wypytywały o film, ekipę i producentów. Helmut, jowialny niemiecki konsul, na którego natykaliśmy się co jakiś czas w barze na dolnym piętrze hotelu Movenpick, również wydawał się zaniepokojony.

- Keith! - zwrócił się kiedyś do mnie, robiąc zbolałą minę mężczyzny mającego mnóstwo problemów. - Po Adenie krążą plotki, że wasza gwiazda w burce przyjechała tu

po swoje dzieci. Ludzie zaczynają mówić, że chcecie pomóc jej wywieźć je z Jemenu. Jeśli to bzdury, nie ma sprawy. Jeśli jednak jest w tym trochę prawdy, mogę spróbować uciąć te plotki lub puścić w obieg inną historyjkę...

Poprosiłem Helmuta, żeby nie słuchał głupstw i zachował spokój. Sam jednak trochę się zdenerwowałem. Ktoś miał o nas dobre informacje. Ale skąd?

Helmut nie miał powodów do zmartwień. Mieliśmy je my, a zwłaszcza Sara. Widziałem już rodziców, którzy po utracie dzieci wpadali w przygnębienie graniczące z szaleństwem. Tak samo zaczęła się zachowywać nasza klientka. Jej religijna żarliwość powoli zamieniała się w fanatyzm. Im więcej czasu spędzała na trzecim piętrze hotelu Mówenpick, tym bardziej desperackie kroki zamierzała podjąć, byle tylko odzyskać dzieci.

Doskonale ją rozumiałem. Na nasze działania wydała ponad 200 tysięcy dolarów, które zebrała od rodziny i przyjaciół. Przez cały czas miała świadomość, jak dużo ryzykuje. Przyjechała do kraju, w którym śmierć czai się za każdym rogiem. A przecież była to tylko wrażliwa, delikatna i bardzo młoda kobieta. Fizycznie nic jej nie dolegało, jednak psychicznie była w fatalnym stanie. Denerwowało ją zwłaszcza bezczynne oczekiwanie w hotelu. Mimo to uważaliśmy, że nie powinna opuszczać pokoju, dopóki nie odnajdziemy dzieci.

Starałem się ją uspokoić. Opowiedziałem jej o mojej córce, o jej szkole dla dziewcząt imienia świętej Małgorzaty w Brisbane i o tym, że chce zostać prawniczką i pracować w Londynie. Cierpliwie słuchałem, kiedy grała na gitarze i śpiewała piosenki, które napisała dla dzieci. Sara bardzo chciała

odzyskać córkę i syna, jednak im bliżej byliśmy celu, tym częściej wpadała w histerię.

Wreszcie, po trzech tygodniach spędzonych w Mówenpick, nasza ciężka praca polegająca na „poszukiwaniu plenerów” przyniosła rezultaty. Mąż Sary miał brata Samira, który prowadził w Adenie jakiś podupadający warsztat. Kiedy trafiliśmy na jego ślad, krewni naszej klientki wysłali na adres warsztatu zabawki dla Omara i Aiszy. Wiedzieliśmy, gdzie paczka dotrze, więc pod pretekstem zdjęć próbnych oraz szukania statystów obserwowaliśmy warsztat. Czekaliśmy, aż firma wysyłkowa dostarczy naszego konia trojańskiego. Kiedy paczka dotarła, ruszyliśmy za Samirem. Poprowadził nas wąskimi uliczkami prosto do swojego domu ze starej różowej cegły, stojącego w portowej dzielnicy Maallah.

Natychmiast zainteresowaliśmy się domem jego sąsiadów. Powiedzieliśmy im, że chcemy, by budynek „zagrał” w naszym filmie, a przy okazji zapytaliśmy o Abdula Hassana. Dowiedzieliśmy się wówczas, że nie mieszka już w Adenie, gdyż znalazł pracę w stolicy Jemenu, Sanie, leżącej ponad trzysta kilometrów na północ. Okazało się, że Abdul - podobnie jak wielu innych mężczyzn porywających swoje dzieci - postanowił skorzystać z pomocy rodziny. Zostawił dzieci pod opieką dziadków i brata, po czym wyjechał, żeby zająć się własnymi sprawami.

Sara wprost oszalała z radości, kiedy się dowiedziała, że trafiliśmy na ślad Aiszy i Omara. Wydawało się, że już wkrótce wszyscy załadujemy się na motorówkę do Dżibuti. Jednak następnego ranka wsiedliśmy najpierw do dwóch terenowych toyot. Kierowcom wyjaśniliśmy, że chcemy podpisać

umowy na wykorzystanie kilku budynków w Maallah jako dekoracji filmowych.

Sara nałożyła burkę i usiadła obok Michaela, natomiast Logan, Mohammed i ja pojechaliśmy drugim samochodem. Nie zamierzaliśmy tego dnia porwać dzieci, jednak wzięliśmy ich matkę na wypadek, gdyby pojawiła się taka okazja. Wówczas bez wahania zostawilibyśmy Mohammeda pod byle pretekstem gdzieś na ulicy i ruszylibyśmy na pełnym gazie przed siebie.

Zaparkowaliśmy auta w bezpiecznej odległości od celu, jednak dostatecznie blisko, żeby w razie potrzeby szybko dobiec z dziećmi. Pomysł z wynajęciem domów na potrzeby filmu od kilku sąsiadów Abdula uważaliśmy nie tylko za świetny kamuflaż, ale również skuteczny sposób na odciążenie uwagi mieszkańców dzielnicy portowej od naszych rzeczywistych celów.

Zapukaliśmy do pierwszych drzwi. Serce biło mijak młotem. Upał potęgował napięcie. Po chwili rozmowy z domownikami mogliśmy podsunąć im do podpisania umowę o treści: „W zamian za otrzymane wynagrodzenie zgadzam się umożliwić niżej podpisanym skorzystanie z nieruchomości położonej przy (tu adres) w celu nakręcenia scen na potrzeby filmu zatytułowanego *Powrót do Adenu*, wyprodukowanego przez niżej podpisanych”.

Do umowy dopięty był załącznik, w którym roiło się od prawnych terminów, oczywiście po angielsku. Tymczasem przeciętni adeńscy rozumieci co najwyżej podstawowe zwroty angielskie. Wiedzieli za to dobrze, jak wygląda banknot dziesięciodolarowy. Dziesięć dolarów to w Jemenie

nie miała kwota. Gdy więc zawarliśmy kilka pierwszych umów, pojawili się kolejni mieszkańcy Maallah. Tłoczyli się wokół nas, chcąc złożyć podpis na dokumencie i jak najszybciej wziąć pieniądze.

W różowym budynku rodziny Abdula nie było szyb, a jedynie żaluzje, dzięki czemu mogłem dostrzec Aiszę i Omara, którzy obserwowali ukradkiem, co się dzieje na ulicy. Wciąż pamiętam ich spojrzenia. Spojrzenia amerykańskich dzieci z Zachodniego Wybrzeża zagubionych w obcym świecie i niepewnych swego losu. W ciągu kilku ostatnich miesięcy ich życie zmieniło się diametralnie! Sara oddałaby wszystko, żeby móc ukołysać swoje dzieci w ramionach. Była tak blisko, ale na razie nic nie mogła zrobić.

Wyglądało na to, że jedynie mieszkańcy różowego domu nie chcieli zagrać w naszym filmie. Musieliśmy działać. Zapukałem z Loganem do drzwi domu Samira. Z pomocą Mohameda jako tłumacza zamierzałem zaproponować wszystkim jego mieszkańcom po dziesięć dolarów za podpis na umowie. Miałem nadzieję, że w ten sposób uda mi się wejść do środka i choć rzucić okiem na mieszkanie, a może też zorientować w jego układzie. Takie informacje mogły się okazać bezcenne w chwili zabierania dzieci. Nikt nam jednak nie otworzył. Zapukałem znowu. Cisza. Zapukałem trzeci raz.

W końcu w drzwiach stanął dziesięcioletni chłopiec. Wyglądał na zdenerwowanego. Mówił trochę po angielsku, ale nie rozumiał, czego chcemy.

- Poczekajcie - powiedziała. - Zawołam kogoś innego.

Czekaliśmy więc, zastanawiając się, czy przypadkiem Abdul nie wrócił na kilka dni z Sany. Jednak zamiast niego

zza drzwi wyskoczyło ośmiu lub dziesięciu Jemeńczyków uzbrojonych w karabiny i noże. Zanim zdążyłem zareagować, otoczyli nas. Krzyczeli coś po arabsku, wymachiwali karabinami, dźgali nas lufami w piersi. Nie takiego powitania się spodziewaliśmy. Bałem się, że to spotkanie zakończy się dla mnie znacznie tragiczniej niż bójka z hydraulikiem, który pociął mi nogi.

Na szczęście byliśmy z Mohammedem. Tego dnia zapracował na swoją gaźę. Uratował nas. Bez wahania zaczął krzyczeć na uzbrojonych mężczyzn jeszcze głośniejsze niż oni. Widać było, że jest wściekły. Zbeształ ich, zwymyślał, a potem się przedstawił. Dopiero wtedy napastnicy rozpoznali go i złagodnieli. Chyba uwierzyli, że rzeczywiście kręcimy film, choć niektórzy wciąż patrzyli na mnie podejrzliwie. Gdyby Mohammeda nie było z nami, mielibyśmy poważne kłopoty. Na szczęście udało nam się wyjść z opresji cało. Musieliśmy jednak zmienić strategię. Wiedzieliśmy jedno - dopóki w domu rodziny Abdula mieszkali uzbrojeni wartownicy, nie było szans, żeby wykraść stamtąd dzieci.

Czekająca na nas w samochodzie Sara wpadła w histerię. Na widok uzbrojonych mężczyzn zaczęła krzyczeć i lamentować. Nie było wątpliwości, że przechodzi załamanie nerwowe. Kiedy dojeżdżaliśmy w pośpiechu do Mówenpick, oświadczyła, że chce umrzeć. Była przekonana, że nasza wyprawa skazana jest na porażkę i nie ma najmniejszych szans na odzyskanie dzieci. Starałem się ją uspokoić. Niestety z nerwów sama zachowywała się jak dziecko.

- Nie martw się - powiedziałem stanowczo. - Ten dom to prawdziwa forteca, ale to nie oznacza, że jesteśmy skazani

na porażkę. Musimy tylko zmienić nasze plany. Coś wymyślimy. Nigdy *jeszcze* nie zawiodłem. Zawsze udawało mi się wrócić z dziećmi do domu i tak będzie tym razem. Zaufaj mi!

Jednak Sara straciła nad sobą panowanie. Nasz kierowca z niepokojem patrzył na kobietę awanturującą się na tylnym siedzeniu. Dojechaliśmy jakoś do hotelu i dopiero wtedy Sarze do reszty puściły nerwy. Przebiegła przez lobby z obłądem w oczach, budząc przerażenie obsługi, po czym wpadła do swojego pokoju, zerwała z siebie burkę i zaczęła się okładać pięściami, jakby próbowała się poranić niewidocznym sztyletem. Potem zamknęła się w łazience i znowu krzyczała, że chce umrzeć.

Tym razem Logan próbował ją powstrzymać. Chciał wejść do łazienki, ale Sarah zamknęła drzwi na klucz i nerwowo powtarzała, że się zabije.

- Sara! - wrzasnął wreszcie Logan i uderzył pięścią w futrynę. - Posłuchaj mnie, proszę! Nie rób niczego głupiego! Zaufaj nam! Na pewno coś wymyślimy! Odzyskamy twoje dzieci!

Słyszeliśmy jedynie jej krzyki i wycie przypominające agonię bezbronnego dziecka. W końcu Logan z całych sił uderzył barkiem w drzwi i zamek ustąpił. Wpadł do łazienki. Sara leżała na podłodze w spazmach.

- Nikogo nie obchodzę! - rozpacziała.

Logan usiadł obok niej i ją przytulił.

- Nas obchodzisz! - powiedział łagodnie. - Chcemy ci pomóc. Wywieziemy twoje dzieci z Jemenu. Nie bój się. Zajmie to jednak trochę więcej czasu, niż planowaliśmy.

Potem podniósł tę drobną i lekką jak piórko kobietę i zaniósł do łóżka. Usiedliśmy na nim we troje. Otarłem jej

Izy, po czym poprosiłem, żeby zaśpiewała piosenkę, którą napisała dla dzieci. Powoli Sara się uspokoiła, sięgnęła po gitarę i zagrała pojedynczy akord, po czym zaśpiewała dziecinnym głosem:

*Mamusia nie wie, gdzie czeka was nocowanie,
Jednak Bóg wie i dlatego nic wam się nie stanie.*

Moje dzieci, nie płaczcie, proszę,

Modlitwę za was wznoszę.

A wyjedyna szansę dla nich jesteście.

Od was zależy ich życie...

A z kolei nasze życie zależało od tego, czy wydostaniemy się z Jemenu. Nadal nie miałem wątpliwości, że odzyskamy dzieci, i nawet po zejściu w Maallah nie zmieniłem zdania. Wiedziałem jedynie, że operacja potrwa dłużej, niż planowaliśmy.

Tymczasem sytuacja się skomplikowała. Zorientowaliśmy się, że ktoś nas śledzi. Żeby to sprawdzić, wyszliśmy w nocy z hotelu i poszliśmy na pobliskie rondo.

- Ty pójdziesz w jedną stronę, a ja w drugą - zdecydował Michael. - Zobaczymy, co będzie się działo.

Kiedy odszedł, z ciemności wyłonił się mężczyzna. Szedł cicho jak kot skradający się do ptaka. Ruszyłem za nim. Nie było wątpliwości, że szedł za Michaelem.

Tej nocy podjęliśmy decyzję o wyjeździe z Jemenu. Zamierzaliśmy wrócić po dzieci później. Sara nie chciała o tym słyszeć. Nie przekonały jej nasze argumenty. Wiedzieliśmy jednak, że pozostanie w Jemenie oznaczało samobójstwo - zwłaszcza z jej zszarganymi nerwami oraz niebezpiecznymi ludźmi śledzącymi nasze poczynania.

- Posłuchaj - powiedziałem do Sary. - Znamy sytuację. Zdobyliśmy mnóstwo cennych informacji, ale teraz musimy najakiś czas zniknąć. Twoich dzieci pilnują faceci z kałasznikowami, dlatego trzeba zmienić taktykę. Brat Abdula prowadzi stację benzynową. Ludzie mówią, że ma kłopoty finansowe i dla pieniędzy zrobi wszystko. Możemy mu zaproponować jakąś okrągłą sumkę, na przykład dziesięć tysięcy dolarów. To jego dwudziestoletnia pensja. A jak się skusi, poprosimy go za to, by choć na chwilę zabrał swoich uzbrojonych ludzi i zostawił dom bez ochrony. Wtedy zabierzemy Omara i Aiszę. Na razie jednak musimy stąd wyjechać.

Starałem się mówić spokojnie, z dużą delikatnością, ale i pewnością w głosie. Na próżno. Sara znowu wpadła w histerię.

- Proszę, nie! Nigdzie nie pojedę bez dzieci! - jęczała błagalnie. - Moja mała Aisza... Aisza umrze, jeśli nie będzie odpowiednio leczona. Wolę sama zginąć, niż wracać bez niej do domu.

- Słuchaj, w tej chwili sytuacja wydaje się beznadziejna. - Próbowałem przemówić Sarze do rozumu. - Logan i ja znamy się na swojej robocie, ale nie jesteśmy kuloodporni. Są spore szanse, że uda się przekupić brata Abdula albo innego członka jego rodziny. Dziesięć tysięcy dolarów to dla tych ludzi fortuna. Jeśli da się namówić kogoś do współpracy, odzyskamy dzieci. Ale nie teraz. Teraz musimy uciekać. Wrócimy, gdy atmosfera się oczyści.

Jednak moje przekonywanie na nic się zdało. Sara upierała się, że zostanie. Wpadła na pomysł, że ogłosi strajk głodowy i w ten sposób zmusi amerykański rząd do udzielenia jej pomocy. Liczyła na to, że władze Jemenu umożliwią jej

spotkanie z dziećmi. Jakby tego było mało, magazyn „Hard Copy” zażądał, żebyśmy zostawili jej aparat i namówili ją do sfilmowania głodówki. Próbowaliśmy wszystkiego, żeby ją przekonać do zmiany decyzji, jednak bez skutku.

Postanowiliśmy jeszcze raz wykorzystać Mohammeda i ostatniej nocy przed naszym wyjazdem upiliśmy go do nieprzytomności. Kiedy chyłkiem opuszczaliśmy hotel, leżał na łóżku w pokoju niczego nieświadomy.

Dowiedzieliśmy się później, że został aresztowany i uwięziony za udzielenie nam pomocy. Współczułem mu, ale jednocześnie nie znałem nikogo tak chętnie przyjmującego łapówki. Najwyraźniej moje metody pracy wiążą się z olbrzymim ryzykiem nie tylko dla mnie.

Pożegnaliśmy się również z Sarą. Wierzyliśmy, że jeszcze wrócimy do Jemenu, zabierzemy jej dzieci z tego okropnego kraju i zawieziemy do Tacomy. Logan znalazł dla niej bezpieczną, jak się wydawało, kryjówkę i zapłacił dziesięć tysięcy dolarów za opiekę nad nią mieszkającemu w Adenie Anglikowi. Mężczyzna obiecał, że zajmie się zrozpaczoną Sarą. Później się okazało, że nas oszukał i próbował ją zgwałcić. Poczujęm się fatalnie, kiedy się o tym dowiedziałem. Na szczęście sprawiedliwości stało się zadość - jakiś czas potem ten Brytyjczyk został pobity i musiał uciekać z Jemenu.

Natomiast Sara nie miała już sił, żeby organizować strajk głodowy lub protestować w inny sposób. Trzy tygodnie po naszym wyjeździe dostała bolesnych skurczy żołądka i Logan pomógł przemycić ją z Jemenu do Arabii Saudyjskiej, skąd poleciała do szpitala w Dubaju. Lekarze zdiagnozowali u niej

skręt jelit. Był to skutek olbrzymiego napięcia, w którym żyła ponad miesiąc. Tłumaczyliśmy jej, że zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby uratować dzieci. Odradzaliśmy jej powrót do Jemenu, przynajmniej zanim nie wyzdrowieje. Niestety znowu nie chciała nas słuchać. Logan kolejny raz wynajął dla niej dom w Adenie i paru ludzi do ochrony. Nie mogliśmy dla niej więcej zrobić, zwłaszcza że ignorowała nasze prośby i sugestie. Kilka tygodni później jej żołądek ponownie przypomniiał o sobie. Sara wyjechała z Jemenu do Abu Dhabi, gdzie zdiagnozowano u niej raka. Ta młoda kobieta nie miała szczęścia w życiu...

Kiedy leżała w szpitalu w Abu Dhabi, Logan załatwił jej występ w amerykańskim programie telewizyjnym Mauryego Povicha. Sara odpowiadała na pytania ze szpitalnego łóżka, a jej matka, narzeczony i Logan siedzieli w studiu w Stanach. Nie wiem, co tak naprawdę łączyło ją z ukochanym, bo kiedy ona traciła zdrowie na Bliskim Wschodzie, on prowadził wygodne życie w USA.

Sara wystąpiła w programie telewizyjnym, żeby opowiedzieć o kłopotach swoich oraz innych rodziców, których dzieci uprowadzono do obcych krajów. Program wywołał burzę. Do Białego Domu wysłano ponad milion listów. Masowe zainteresowanie problemem wymusiło zmiany w ustawodawstwie. Dwudziestego stycznia 1994 roku wiceprezydent Al Gore odpowiedział pisemnie na prośby Logana i poinformował go, że 2 grudnia prezydent Clinton podpisał ustawę traktującą każdy akt wywiezienia dziecka do obcego kraju bez zgody drugiego rodzica za poważne przestępstwo.

Nasza misja zwróciła uwagę świata na dramat Sary i pomogła zmienić amerykańskie prawo. Nowe przepisy zastosowano

pierwszy raz w procesie człowieka, który pomógł Abdulowi przewieźć dzieci ze Stanów Zjednoczonych do Kanady. Skazano go na więzienie, jednak dla naszej klientki stanowiło to marną pociechę.

Po piętnastu latach sukcesów w odzyskiwaniu dzieci - zawiodłem. Nie udało mi się przywieźć Omara i Aiszy do domu. Do dziś wierzę, że gdybyśmy wtedy odczekali jakiś czas, a potem wrócili, była szansa na odzyskanie dzieci. Jednak Sara nie chciała czekać. Po raz ostatni zadzwoniła do mnie kilka miesięcy później. Z Dubaju!

- Wracam do Jemenu - oświadczyła.

- Sara, błagam cię, niejeźdź tam. To zbyt niebezpieczne - odpowiedziałem. - Zabiją cię bez wahania. Posłuchaj mnie choć raz, proszę. Odzyskamy twoje dzieci, kiedy tylko sytuacja się uspokoi.

- Nie, Keith. Pomoże mi pewien Jemeńczyk. Nie dbam o własne bezpieczeństwo. Zależy mi jedynie na Omarze i Aiszy.

Najwyraźniej Sara wierzyła, że Bóg nią się zaopiekuje. Zaślepiła ją wiara i nie umiała dostrzec powagi sytuacji. Kilka razy próbowałem odwieść ją od pomysłu wyjazdu do Jemenu, niezależnie od tego, co naobiecował jej nowy partner. Nie zamierzała rezygnować. Walczyła do końca.

Kilka miesięcy później siedziałem w domu w Brisbane i oglądałem wiadomości telewizyjne. Nagle zobaczyłem trzecie piętro hotelu Movenpick. Płonęło po ostrzelaniu rakietami. Niedługo potem obejrzałem reportaż o zniszczeniu kościoła chrześcijańskiego w Adenie i aktach przemocy

wobec osób podejrzanych o homoseksualizm. To zdecydowanie nie było przyjemne miejsce...

Sprawa Sary tkwiła w nas jak zadra. Chcieliśmy wiedzieć, co się z nią dzieje. Logan zasięgnął języka. Jego informator doniósł, że dzieci Sary pozostały z rodziną Abdula, a młoda matka i człowiek, którego wynajęła w Jemenie, zostali zastrzeleni. Nie mam pojęcia, kto odpowiada za ich śmierć...

Rejs stulecia

Wkrótce po naszej ucieczce z Jemenu czternastometrowy jacht z dwoma masztami i gaflowym ożaglowaniem wpłynął do portu w Adenie. Zaczekał w dzielnicy Ma'allah, nieopodal domu, w którym przetrzymywano Omara i Aiszę. Łodzią dowodził zapalony żeglarz Des Abbottsford, biznesmen urodzony w Anglii i wychowany w Nowej Zelandii. Kilka miesięcy wcześniej był szanowanym pośrednikiem w obrocie nieruchomościami w Townsville. Sprzedał jednak firmę, samochód i dom, żeby resztę życia spędzić na morzu.

Czterdziestoośmioletni Des, jego nowa i dużo młodsza żona Kathy, a także siedmioletni syn Andrew byli właśnie w połowie niezwykłej wyprawy. Wyruszyli z Disneylandu i obrali kurs na Bali. Po drodze zobaczyli też słynne warany z Komodo oraz poznali uroki Singapuru. Święta Bożego Narodzenia spędzili na malezyjskim wybrzeżu, a nowy rok powitali na plaży na tajlandzkiej wyspie Phuket. Zwiedzili też Sri Lankę, skąd wyruszyli w liczący cztery tysiące kilometrów rejs z Kolombo do Jemenu. W marcu 1994 roku

zaczęli w porcie w Adenie. Nie polubili tego miasta - podobnie jak ja. W Jemenie wybuchła wówczas kolejna wojna domowa. Kiedy tylko usłyszeli strzały, podnieśli kotwicę i wypłynęli w morze. Uzbrojony w karabiny maszynowe oddział żołnierzy zatrzymał ich w zatoce leżącej na granicy północy i południa kraju. Na szczęście żołnierze tylko przeszukali łódź i po długim i pełnym niepokoju oczekiwaniu pozwolili im kontynuować podróż.

Dla Andrew była to przygoda życia. Jednak matka chłopca, Michelle, i policjanci z Interpolu widzieli to inaczej. Des powiedział byłej żonie, że zabiera ich syna do Disneylandu. Zapomniał dodać, że przez kolejnych osiem miesięcy będą żeglowali po otwartym morzu, z Kathy jako pierwszym oficerem i synem w roli majtki. W rezultacie uciekali przed prawem. Sprawa wzbudziła zainteresowanie dziennikarzy. Fotografie Desa, Andrew oraz jachtu pojawiały się w australijskich mediach, a jedną z pierwszych osób, które zadzwoniły do Michelle ze słowami otuchy, była Jacqueline Giliespie (wciąż nieumiejąca poradzić sobie z brakiem syna i córki). Problem w tym, że Michelle nie potrzebowała słów otuchy. Ona chciała działać.

Des na tyle skutecznie wymykał się policji, że prawnicy jego byłej żony postanowili skontaktować się ze mną. Poprosili, żebym sprowadził Andrew do kraju. Odetchnąłem, kiedy się dowiedziałem, że Des z rodziną wypłynęli już z Adenu. Po poprzedniej, pełnej niebezpieczeństw i rozczarowań wyprawie nie miałem ochoty tam wracać.

Do Michelle zadzwoniłem z mojego biura. Ta łagodna czterdziestolatka była drugą żoną Desa. Po rozwodzie

z trudem dochodziła do siebie. *Znalazła*, wprawdzie nowego męża, jednak kolejne dwa lata przemieszkała w przyczepie kempingowej. Potem przeprowadziła się do mobilnego domu. Podobno Andrew bardzo się ucieszył z tej przeprowadzki, jednak po dwóch dniach już go nie było - pojechał z ojcem na wycieczkę do Disneylandu. Michelle nie umiała się pogodzić z jego nieobecnością, więc postanowiła odzyskać syna za wszelką cenę.

Zdaje się, że dla obojga małżonków rozpad ich związku nie był łatwy. Des również przeżył rozwód wyjątkowo ciężko. Pokłócił się z nowym mężem Michelle. Oskarżał go o molestowanie Andrew. Matka chłopca stanowczo odrzuciła te oskarżenia. W sierpniu 1992 roku sąd rodzinny z Townsville przyznał jej prawo do pełnej opieki nad synem. Rok później Des zaprosił Andrew na dwutygodniową wycieczkę do Disneylandu.

Michelle podejrzewała, że były małżonek coś knuje, i początkowo nie chciała się zgodzić na wyjazd, nie umiała jednak odmówić synowi tak wspaniałej przygody. Nie wystąpiła też do sądu o zakaz opuszczania kraju dla Andrew, gdyż - jak sądziła - jej prośba zostałaby odrzucona. Sędzia na pewno przychyliłby się do wniosku byłego męża, który chciał zabrać ich syna na wymarzone przez niego wakacje. Być może zdecydowało również to, że Michelle właśnie urodziła swoje drugie dziecko, tym razem córeczkę.

Michelle uważała, że Des planował uprowadzenie syna co najmniej od roku. Podobno powtarzał znajomym, że choć żona otrzymała prawo do opieki nad chłopcem, to długo

z nim nie pomieszka. Mężczyzna sprzedał swoją firmę, a potem dom, i rozpoczął nowe życie. Najpierw zabrał Kathy i Andrew do Los Angeles. Wylecieli z Australii 16 września 1993 roku. Dwa tygodnie później wyjechali wprawdzie z Disneylandu, opuścili też Stany Zjednoczone, jednak do Townsville nie wrócili. Prawnicy Michelle otrzymali za to list wysłany faksem z hotelu w Stanach. Des informował ich, że postanowili z synem przedłużyć wspólne wakacje. Poprosił, przepraszając kurtuazyjnie za kłopot, żeby przekazali tę wiadomość jego byłej żonie.

W tym czasie Des, Kathy i Andrew wsiedli na jacht „Ancora” i wypłynęli w długi rejs. Des kupił łódź znacznie wcześniej i solidnie przygotował się do podróży. Na jachcie zainstalował sprzęt do odsalania wody, olbrzymie lodówki, nawigację satelitarną, radar, autopilota oraz inne urządzenia umożliwiające długą żeglugę. Trzy miesiące po wypłynięciu w rejs z synem sąd wydał oficjalny nakaz zatrzymania Andrew i odwiezienia go do kraju. Za zgodą policji Michelle opowiedziała o swoich kłopotach w mediach. Rozpoczęło się międzynarodowe polowanie...

Kiedy Michelle opowiadała o Andrew przed kamerą, głos jej się załamywał. Czuła się winna i była wściekła na siebie. Żałowała, że nie zaufała przecuciom i zgodziła się na daleką wycieczkę.

- Andrew to takie dobre dziecko - szlochała. - Z pewnością tęskni za mną, swoimi przyjaciółmi i domem.

Sądowi zależało na aresztowaniu ojca Andrew, dlatego wydano sądową zgodę na ujawnienie faktów dotyczących sprawy. Artykuły poświęcone porwaniu były ilustrowane

zdjęciami Desa. Najednej z fotografii stał przed swoją dawną firmą, na innej widać było jacht „Ancora” w całej okazałości. Opublikowano też zdjęcie Andrew: chłopca o niebieskich oczach i złotych włosach schowanych pod szkolną czapczką.

Des działał szybko. Po przygodzie z żołnierzami w Jemenie pożegłował przez Morze Czerwone do portu Assab w Erytrei, gdzie z Andrew i Kathy natknęli się na pozostałości po kolejnej wojnie domowej. Znowu więc szybko uciekli. Tym razem popłynęli do Sudanu, a następnie przez Kanał Sueski na Cypr. Kiedy płynęli przez Morze Czerwone, Des skierował jacht do Marsa Alam, gdzie w lokalnym biurze podróży wykupił dla trzech osób wycieczkę do Doliny Królów i Kairu. Zostawili wtedy jacht w porcie i dalej pojechali autokarem.

W ten sposób chłopiec zobaczył kawał świata i sporo przeżył. Najchętniej miał dobre warunki. Ojciec przygotował dla niego oddzielną kajutę. Dostał nawet przenośny telewizor i konsolę do gier. Oczywiście podziwianie egzotycznych krajów i zwiedzanie zabytków sprawiało chłopcu przyjemność, ale zaczął się obawiać, że już nigdy nie zobaczy matki. Tęsknił też za kolegami i dawnym spokojnym życiem. Po powrocie do domu zwierzył się pisarce Robin Bowles, że kiedy płynęli do Indonezji, wciąż pytał o Michelle. Des odpowiadał mu wówczas, że wkrótce wezmą kurs na Australię. Najwyraźniej pomylił kierunki...

Długi rejs - mimo że pełen przygód - wydawał się chłopcu nudny między innymi dlatego, że rzadko spotykał dzieci w swoim wieku mówiące po angielsku. Po prostu nie miał z kim pogadać, nie miał komu opowiedzieć o tym,

co widział i przeżył. Dni zamieniały się w tygodnie, tygodnie w miesiące, a na pytanie o powrót do domu Des udzielał mu wciąż tej samej odpowiedzi.

— Wkrótce. Już naprawdę niedługo. Naprawdę niedługo.

W ciągu ośmiu miesięcy żeglugi „Ancora” ani razu nie cumowała w porcie należącym do kraju, który podpisał z Australią umowę o ekstradycję. Zapewniłem Michelle, że prędzej czy później Des będzie zmuszony wpłynąć do takiego portu. Podczas długiego rejsu łodzie narażone są na ekstremalne warunki pogodowe lub zwyczajnie się psują, a wówczas trzeba je naprawiać.

„Ancora” pływała pod nowozelandzką banderą. Najpierw odnalazłem jej macierzystą stocznię. Następnie ustaliłem, że Des przygotowywał jacht do długiego rejsu w Indonezji. Wynajął tam ludzi, którzy wyposażyli jacht w potrzebne urządzenia. Skontaktowałem się z nimi i dotarłem do dostawców sprzętu. Tych z kolei poprosiłem, żeby powiadomili mnie, gdyby Des jeszcze czegoś potrzebował. Zgodnie z moimi przewidywaniami po pewnym czasie Des faktycznie zgłosił się do jednego z dostawców sprzętu. Potrzebował nowego wieka do odsalarki. Kupił je wprawdzie bezpośrednio od amerykańskiego producenta i w ten sposób ominął australijskich pośredników, ale mimo to dowiedziałem się o tej transakcji, ponieważ o porwaniu zrobiło się już wtedy dość głośno.

Co ciekawe, podczas całego rejsu Des korzystał ze swojej karty kredytowej. Podobno zdawał sobie sprawę, że w ten sposób może zostać namierzony, mimo to nie zamierzał się ukrywać, ponieważ uważał, że nie zrobił niczego złego.

Kiedy więc w amerykańskiej firmie sprzedającej odsalarki odebrano zamówienie od Desa, natychmiast mnie o tym powiadomiono. Zadzwonili 4 maja 1994 roku. Zaczęliśmy się z Michelle przygotowywać do podróży. Michelle poszła do biura paszportowego w Brisbane, żeby na podstawie decyzji sądu rodzinnego wyrobić Andrew nowe dokumenty. Po czym spakowała walizkę, do której włożyła zaledwie kilka najpotrzebniejszych rzeczy osobistych, i z napięciem czekała na telefon ode mnie.

Następnego dnia Amerykanie odezwali się kolejny raz. Zamówione wieko mieli dostarczyć w ciągu dwóch dni do Larnaki, miasta położonego na południowo-wschodnim wybrzeżu Cypru. Nie było czasu do stracenia. Jeśli Michelle chciała odzyskać syna, w ciągu czterdziestu ośmiu godzin musieliśmy dotrzeć z Australii na Cypr.

Jak dotąd kontaktowaliśmy się jedynie przez telefon. Po raz pierwszy spotkaliśmy się na lotnisku w Brisbane, tuż przed wylotem do Larnaki. Po drodze zdążyliśmy jeszcze odebrać nowy paszport Andrew. Zażartowałem, żeby uważała i się nie oparzyła, bo dokument jest bardzo gorący. Jego wyrobienie zajęło przecież tylko kilka godzin. Do celu podróży dotarliśmy w sobotę rano, po blisko dwudziestogodzinnym locie. Tego samego dnia Des miał odebrać wieko do urządzenia odsalającego wodę.

Larnaka okazała się przepięknym nadmorskim miasteczkiem. Niestety nie mieliśmy czasu, żeby podziwiać jego uroki - przygotowywaliśmy się do odzyskania Andrew. Do przeprowadzenia zadania potrzebowałem przynajmniej dwóch dni i tak długo musiałem zatrzymać Desa na Cyprze.

Dlatego od razu z lotniska pojechałem do człowieka, którego polecili mi znajomi z Canberry. Był to oficer australijskiej policji federalnej w służbie sił pokojowych na Cyprze. Przedstawiłem się, wyjaśniłem, w jakiej sprawie przyleciałem na Cypr, i spytałem, czy mogę liczyć na jego pomoc. Od razu stanowczo odmówił.

- Jedyne, co mogę dla ciebie zrobić, to zapomnieć o naszej rozmowie - stwierdził. - Nie zamierzam pomagać ci w uprowadzeniu dziecka. I nie interesują mnie twoje intencje. Nie ważne, czy masz wyrok australijskiego sądu. Zamierzasz złamać miejscowe prawo. Porwiesz małego, po czym zaszyjesz się gdzieś w Brisbane. Ale ja mieszkam w Larnace. I chcę tu dalej żyć. Zatem nie rozmawialiśmy na ten temat.

Tak, miał rację. Zamierzałem złamać miejscowe prawo, ale przecież nie bez powodu. Zawsze starałem się naprawiać wyrządzone zło. Zgodnie z postanowieniem sądowym prawnym opiekunem Andrew była Michelle. Des ukrywał syna przed nią i policją od wielu miesięcy. Uważałem więc, że nie łamię prawa, lecz wykonuję decyzję australijskiego sądu. Nie przekonało to jednak oficera.

Co robić? Czas płynął. Być może Des, Andrew i Kathy cumują już w porcie w Larnace. Wkrótce odbiorą potrzebną część i popłyną gdzieś na Morze Śródziemne, Atlantyk, Pacyfik albo Bóg wie, gdzie jeszcze. Nie mogłem na to pozwolić!

Poszedłem na komisariat miejscowej policji. Powiedziałem wprost, że szukam mężczyzny, który porwał swojego syna, i należy go zatrzymać, kiedy tylko wpłynie do portu. Zaproponowałem policjantom kilka franklinów, to znaczy banknotów studolarowych z portretem Benjamina Franklina,

amerykańskiego polityka i wynalazcy. Cypryjscy gliniarze okazali się jednak wyjątkowo uczciwi i odmówili przyjęcia pieniędzy. Poradzili mi natomiast, żebym w poniedziałek rano poszedł do urzędu miejskiego po nakaz zatrzymania Desa. Tylko wtedy będą mogli mi pomóc.

Obawiałem się, że do tego czasu Des zacumuje w Larnace, odbierze zamówienie i spokojnie wypłynie w niewiadomym kierunku. Było coraz mniej czasu na działanie. Znowu pobiegłem do portu. Tym razem poprosiłem o rozmowę cypryjskiego oficera imigracyjnego. Był to olbrzymi mężczyzna o surowej twarzy, właściciel równie olbrzymich wąsów jak on sam. Wyjaśniłem mu sytuację i dyskretnie wsunąłem dwieście dolarów w dłoń.

- Tak - powiedział po chwili zastanowienia - możemy go zatrzymać do poniedziałku. - Nie pozwolimy mu wypłynąć z Larnaki aż do inspekcji lekarza, którą przeprowadzimy dopiero w poniedziałek rano. Oczywiście będzie mógł zejść na ląd razem z resztą załogi, jednak jego jacht pozostanie na wodach zatoki. Będzie mógł odebrać przesyłkę, o której wspominałeś, ale nie wypłynie z portu do poniedziałku.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi wierzyłem, że zyskam w ten sposób dostatecznie dużo czasu, aby przygotować się do zadania. Miałem też nadzieję, że Des, bystry biznesmen, nie nabierze żadnych podejrzeń.

Kilka godzin później, około szesnastej trzydzieści, Michelle krzyknęła z radości, ponieważ po raz pierwszy od ośmiu miesięcy zobaczyła swojego syna. Stała właśnie na hotelowym balkonie i obserwowała przez lornetkę wejście do portu w Larnace. Pół kilometra od brzegu dostrzegła „Ancorę”,

a na pokładzie małego chłopca. Był znacznie wyższy niż wtedy, gdy pocałowała go na pożegnanie. Od razu wiedziała, że to jej syn, mimo że włosy też miał jaśniejsze. Uświadomiła sobie, odjak dawna nie miała kontaktu z Andrew. Wydoroślał przez te miesiące spędzone na morzu.

Kiedy stateczna „Ancora” zbliżała się do portu, niosąc dumnie dwa maszty, Desjeszcze nie wiedział, że jego podróż dookoła świata dobiega końca. A ja wczesnym rankiem kupiłem trzy bilety na lot do Kairu. Liczyłem na to, że wyruszymy w poniedziałek po południu.

Stałem na kei i obserwowałam, jak Des rzuca kotwicę. Po chwili do „Ancory” podpłynęła motorówka urzędu imigracyjnego. Ponieważ dość szybko zawróciła, zaniepokoiłem się. Poszedłem do kapitanatu jeszcze raz porozmawiać z olbrzymim cypryjskim urzędnikiem.

- Mam ich paszporty - uspokoił mnie. - Zgodnie z moimi zaleceniami muszą poczekać na wizytę lekarza.

Odetchnąłem z ulgą. Tak więc Des szybko nie wypłynie, a zatem będzie miał do czynienia ze mną!

Nadeszła niedziela 8 maja. W Australii świętowano Dzień Matki. W Larnace Michelle nie mogła się doczekać spotkania z synem.

— Jeśli nasz plan się powiedzie, będzie to najwspanialszy Dzień Matki w moim życiu - powiedziała z nadzieją w głosie.

Niestety dzień okazał się dla niej przede wszystkim frustrujący. Spędziła go na balkonie, obserwując przez lornetkę, co się dzieje na pokładzie „Ancory”. Żartowałem, że powinna uważać, bo wystraszy Desa, jeśli on poczuje jej wzrok na plecach.

Następnego ranka, w poniedziałek 9 maja, czekaliśmy z Michelle na schodach prowadzących do urzędu miejskiego. Magistrat otworzyli o ósmej. Jacht miał przejść inspekcję lekarską o drugiej po południu. Ścigaliśmy się z czasem. Dość szybko udało nam się dostać do miejscowego sędziego. I tu... całkowite zaskoczenie. Zderzyliśmy się z przeszkodą nie do pokonania.

Sędzia wysłuchał nas uważnie i nawet chciał pomóc, ale nie mógł. W dodatku sami byliśmy winni. Michelle przywiozła bowiem z Australii jedynie fotokopie dokumentów. W Brisbane tak się spieszyliśmy po paszport, a potem na lotnisko, że nie zdążyłem zajrzeć do jej teczek. O tym, że nie mamy oryginałów, dowiedziałem się dopiero wtedy, gdy teczkę z dokumentami otworzył sędzia w Larnace.

- Nie wolno mi podejmować żadnych działań prawnych na podstawie zwykłych kserówek - wyjaśnił sędzia. - Przecież w ten sposób można podrobić każdy dokument.

- Ale ja jestem jego matką! - błagała Michelle.

Nie rozumiała, że czasem najszczęśliwszą chęcią nie wystarczy, żeby przekonać stróża prawa.

Rozważaliśmy, czy poprosić o pomoc Interpol, ale to oznaczałoby, że Andrew trafi pod opiekę cypryjskiego sądu na czas rozpatrywania sprawy. Postanowiliśmy mu tego oszczędzić, ponieważ i tak sporo już przeszedł, a spór o niego mógł trwać tygodniami. Poza tym koszty wynajęcia prawników prawdopodobnie doprowadziłyby moją klientkę do bankructwa. Natychmiast podjąłem inną decyzję.

- Nie mamy wyjścia. Musimy porwać Andrew - wyszeptalem do Michelle, kiedy wyszliśmy od sędziego.

- Jesteśmy tak blisko, Keith. Nie pozwól, żeby Des odpłynął z moim synem! - wykrzyknęła i złapała mnie za rękę.

Z nerwów cała *drżała*, i ledwo trzymała się na nogach.

- Nie pozwolę! - obiecałem. - Zobaczysz, wrócimy z Andrew do Brisbane.

Musieliśmy porozmawiać z Desem. Pojechaliśmy do portu i stanęliśmy jakieś dwadzieścia metrów od jachtu. Zawołałem go po imieniu. O mało nie spadł z łódki, kiedy zobaczył Michelle. A ona zaczęła płakać. Na pokładzie pojawił się Andrew, który wyraźnie się ucieszył na widok matki. Zaczęła ją wołać i machać do nas.

- Słuchaj, Des! - krzyknąłem, mimo że byliśmy dosyć blisko. - Michelle strasznie tęskni za swoim chłopakiem! Wczoraj był Dzień Matki, więc może pozwolisz jej wejść na pokład i przytulić syna?

Des był przeciętnie zbudowanym mężczyzną. Miał jasne, przerzedzone włosy i niewiele ponad sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu. Wyraźnie mnie nie polubił.

- W porządku, Michelle może wejść - odpowiedział. - Ale ty stój, gdzie stoisz. - Spojrzał na mnie z wyraźną niechęcią. - Znam takich facetów jak ty. Jesteś prywatnym detektywem. Chcesz dopaść mojego syna i zwiąć z nim.

- Dokąd miałbym uciekać? - zapytałem spokojnie. - Przecież jego paszport zatrzymali urzędnicy!

Des nie mógł wiedzieć, że nowe dokumenty Andrew znajdowały się w walizce jego byłej żony.

- Stój, gdzie stoisz! - powtórzył mężczyzna. - Michelle może wejść, ale tylko na chwilę. Podpłynę do kei i zabiorę ją. Zanim zeskoczył do kokpitu, zawahał się.

- A kto właściwie płaci za wasz pobyt tutaj? Przecież ona nie ma pieniędzy. Mieszka w przyczepie!

- Ty za to płacisz, Des - odpowiedziałem, starając się nie roześmiać, żeby go niepotrzebnie nie denerwować.

- Co?!

- Tak, Des! Sąd rodzinny zamroził twoje konto bankowe i pozwolił nam potrącić z niego koszty odzyskania chłopca.

Nie oszukiwałem. Kiedy prawnik Michelle skontaktował się ze mną, od razu zaznaczył, że kobieta jest bez pieniędzy. Dodał jednak, że Des przelewa całkiem spore kwoty na konto swojej nowej żony. Michelle zwróciła się więc do sądu z prośbą o zabezpieczenie kwoty potrzebnej do odszukania i przywiezienia syna i dostała na to zgodę.

Mężczyzna dobił do kei niewielką łodzią wiosłową. Patrzył na nas z niedowierzaniem. Poradziłem Michelle, żeby zrobiła wszystko, o co poprosią Des.

- Uspokój się i ciesz się synem - szepnąłem. - Postaraj się, żeby Des pozwolił Andrew wyjść do nas na brzeg. Choćby na chwilę!

Siedziałem na kei półtorej godziny. W tym czasie Michelle tuliła syna, a także rozmawiała z byłym mężem. Namawiała go do zejścia na ląd i zapraszała na wspólny obiad. Des zagroził, że jeśli tylko spróbuje porwać Andrew, oskarżą o kidnaping a następnie odpłynie z Larnaki i nigdy się nie zobaczą. Chłopiec wyznał później, że jego tata już następnego dnia chciał wyruszyć w dalszą podróż, jednak zgodził się spędzić w Larnace więcej czasu, żeby sprawić mu przyjemność.

Kiedy Des odwiózł Michelle na brzeg była zachwycona.

- Des przyjął zaproszenie na obiad! - powiedziała. - A jutro spędzę z Andrew cały dzień, ponieważ Des będzie

zajęty naprawą odsalarki. Oczywiście nie odda nam jego paszportu!

- Świetna robota, Michelle - pochwaliłem ją. - Des może zachować stary paszport syna na pamiątkę, a my posłużymy się nowym. Przecież on nie wie, że wyrobiliśmy Andrew nowy dokument.

Oczywiście nie zdążyliśmy tego dnia na lot do Kairu, więc przenieśliśmy rezerwację biletów na następny dzień, na tę samą godzinę. Liczyłem na to, że do tego czasu załatwimy sprawę. Michelle poszła na obiad z Andrew, Desem i Kathy. Zgodnie z moimi instrukcjami zachowywała się spokojnie i nie zdradziła naszych planów.

Następnego ranka jej były mąż, niczego nie podejrzewając, przywiózł syna do naszego hotelu. Andrew był wyraźnie szczęśliwy, że spędzi ten dzień z matką. Des nie wyglądał na zdenerwowanego. Uparł się jedynie, żeby Andrew zabrał ze sobą plastikowy pistolet zabawkę, który kupił mu w Indonezji. Może chciał, żeby przypominał mu o ojcu?

Kiedy Des poszedł, wsadziłem Michelle i jej syna do stojącej przed hotelem taksówki i powiedziałem kierowcy, żeby jechał jak najszybciej na lotnisko. Pojechali bez bagaży, żeby nie wzbudzić niczyich podejrzeń. Sam wsiałem do innej taksówki i kazałem jechać w przeciwnym kierunku. Chciałem mieć pewność, że nikt nas nie śledzi. Droga była wolna, więc wróciłem po bagaże i... natknąłem się na pierwszy problem. Nie pozwolono mi wejść do pokoju Michelle. A przecież musiałem zabrać jej rzeczy. Czas uciekał, a ja kombinowałem, co zrobić. Takie opóźnienie mogło nas sporo kosztować.

Tymczasem Michelle i Andrew dojechali na lotnisko. Wtedy chłopiec zaczął się denerwować. Ojciec go ostrzegł, żeby bez względu na okoliczności nie wchodził na pokład żadnego samolotu. Teraz Andrew zaczął się bać, że za chwilę pojawi się na lotnisku Des i zabierze go w nieznane miejsce. Nie chciał tak szybko rozstać się z matką.

Z kolei mnie udało się wreszcie przekonać obsługę hotelową, żeby wydali mi bagaże Michelle. Z duszą na ramieniu popędziłem na lotnisko. Wiedziałem, że moja klientka nie odleci z Cypru bez dokumentów. Sytuacja się komplikowała.

Na lotnisku Michelle próbowała przekonać celników, że za chwilę ktoś dowiezie jej walizki i paszporty, niewiele jednak wskórała. Natomiast ja się spóźniłem. Kiedy dotarłem na miejsce, nie mogliśmy już wejść na pokład samolotu.

Zrobiło się naprawdę niebezpiecznie. W każdej chwili Des mógł - tak na wszelki wypadek - sprawdzić, czy nie ma nas na lotnisku. Trzeba było natychmiast uciekać z Larnaki. Postanowiłem kolejny raz zmienić rezerwację biletów.

- Kiedy odlatuje następny samolot? - zapytałem dziewczynę w punkcie sprzedaży.

- W następny czwartek - odpowiedziała zdecydowanym tonem.

- W następny czwartek? - zawołałem niemile zaskoczony. - Chce pani powiedzieć, że do tego czasu żaden samolot nie wystartuje z Larnaki?

- Żaden samolot do Kairu - odpowiedziała. - Są tylko dwa loty tygodniowo.

- Zapomnijmy o Kairze. Kiedy odlatuje kolejny samolot? Jakikolwiek, byleby opuścić Cypr.

Dziewczyna spojrzała na mnie podejrzliwie.

- O trzeciej mamy lot do Aten. - Mimo wszystko była miła. - Są jeszcze trzy wolne miejsca. Mam je zarezerwować?

- No jasne!

Kolejne trzy godziny przesiedzieliśmy jak na szpilkach. Baliśmy się, że Des sprawdzi w hotelu, czy się nie wymeldowaliśmy. W każdej chwili mógł stanąć przed szklanymi drzwiami terminalu. Czas włókł się niemiłosiernie.

Andrew był oszołomiony i zdenerwowany. Wciąż powtarzał, że tata zabronił mu wsiadać na pokład jakiegokolwiek samolotu. Michelle musiała go okłamać, choć zrobiła to niechętnie. Powiedziała, że wybieramy się na krótką wycieczkę na drugą stronę wyspy, żeby obejrzeć zabytkowe ruiny. Co trzydzieści sekund spoglądała na zegarek. Powoli puszczały jej nerwy. Wreszcie pasażerów lotu o trzeciej wezwano przez megafony do stanowisk odprawy. Zerwaliśmy się niczym sprinterzy z bloków i pobiegliśmy do odpowiedniej kolejki. Tam czekała nas niemiła niespodzianka.

Celnik stemplujący nasze paszporty zobaczył, że Andrew nie ma wizy wjazdowej.

- Jak to się stało? - zapytał z niedowierzaniem.

- A skąd mam wiedzieć? - wrzuciłem ramionami. - Proszę zapytać kolegów. Przecież nie ja stempluję paszporty. O, mój jest podstemplowany, widzi pan, a przecież przyjechaliśmy razem - podsunąłem celnikowi pod nos mój paszport. - A to jest matka chłopca. - Wskazałem na Michelle.

Dodałem jeszcze, że widocznie urzędnik, który stemplował nasze dokumenty, musiał zapomnieć o paszporcie Andrew.

- Pamięta pan, jak wyglądał ten urzędnik? - Celnik przypatrywał mi się uważnie.

- Nie zwróciłem uwagi. Chyba był dość wysoki, brunet, miał brązowe oczy i ciemniejszą karnację niż moja. - Opisałem kogoś, kto pasowałby do dziewięćdziesięciu procent mężczyzn na Cyprze, więc wiedziałem, że nie przyłapią mnie na kłamstwie.

Kiedy urzędnik nas przepytował, w pewnym momencie zwrócił się do pozostałych pasażerów, prosząc ich, żeby cierpliwie poczekali. Wykorzystałem okazję i schyliłem się, żeby poprawić sznurowadło. W rzeczywistości chciałem coś powiedzieć Andrew.

- Gdyby celnik pytał, powiedz mu, że przyleciałeś na Cypr z nami - szepnąłem chłopcu do ucha.

Mężczyzna jeszcze raz spojrzął na paszport Andrew, po czym wczytał się w dokumenty Michelle wystawione na nazwisko jej nowego męża.

- A dlaczego chłopiec ma inne nazwisko niż pani? - zapytał z wyraźną podejrzliwością.

- Ależ ja jestem jego matką - zapewniła Michelle.

Urzędnik świdrował nas wzrokiem. Michelle oczami wyobraźni widziała już Desa parkującego przed terminalem i rozmawiającego z miejscowymi policjantami. A celnik wciąż główkował, co ma zrobić. Wreszcie podjął decyzję. Wyciągnął stary datownik z ręcznie przestawianymi cyframi, zmienił datę na piątek 6 maja, po czym wbił w paszport chłopca wizę wjazdową. Następnie przestawił datę na wtorek 10 maja i wbił wizę wyjazdową. Potem pozwolił nam przejść. Uff, a więc się udało!

W samolocie Andrew był wyraźnie podniecony perspektywą ciekawej wycieczki. W którymś momencie zapytał

Michelle, kiedy będzie mógł polecieć razem z nią do Australii. Jej serce mocno wtedy zabiło.

— A chciałbyś? - zapytała.

- Pewnie - odpowiedział zdecydowanie. - Początkowo było nawet fajnie na jachcie, ale potem zrobiło się nudno. Chciałbym już wrócić do domu.

Następnego ranka w Larnace Des, zgodnie z umową, przyjechał po Andrew do hotelu. Kiedy zauważył, że żaluzje w pokoju Michelle są opuszczone, nabrał podejrzeń. Pobiegł na górę, zastał jednak drzwi zamknięte. Na klamce wisiała tabliczka z napisem „Proszę nie przeszkadzać”. Wtedy zbiegł do recepcji, gdzie się dowiedział, że wyprowadziliśmy się poprzedniego dnia. Podobno poczuł się, jakby oberwał kulą armatnią.

A nam po opuszczeniu Larnaki los zaczął wreszcie sprzyjać. Spędziliśmy kilka dni w Atenach, czekając na samolot do Brisbane. Andrew miał okazję nacieszyć się stałym lądem. Zgodnie z obietnicą Michelle zabrała go na wycieczkę do zabytkowych ruin. Natomiast ja kolejny raz się przekonałem, jak bardzo przypadki wpływają na nasze życie. Bilety do Aten kupowaliśmy w ostatnim momencie i w samolocie nie siedzieliśmy obok siebie. Ja miałem miejsce obok libańskiego biznesmena, Mustafy Abiby, który jakiś czas później zlecił mi jedną z najbardziej zdumiewających spraw, z jakimi się zetknąłem.

Czy porywając Andrew z Cypru, miałem wyrzuty sumienia? Żadnych! Des złamał prawo. Narzucił swoją wolę i synowi, i Michelle. Jeśli zależało mu na Andrew, powinien

zostać w Australii i próbować odzyskać chłopca na drodze prawnej. Łamanie postanowień sądu nie jest dobrym rozwiązaniem. W ten sposób naraził syna na olbrzymi stres.

Kiedy Michelle odzyskała syna, Des postanowił przyjechać do Australii. Chciał walczyć o dziecko i swoje dobre imię. Prawnik ostrzegał go, że w kraju grozi mu aresztowanie, a nawet więzienie. Mimo to Des wrócił. Nie wiem, czy kierowała nim odwaga, czy zwykła brawura. Jedno jest pewne - przedobrzył.

Cztery dni po naszym powrocie do Australii jego jacht został wyciągnięty na brzeg w Larnace i trafił do hangaru. Des i Kathy wrócili samolotem do Queensland i już na lotnisku w Townsville spotkali się z prawnikiem. Następnego dnia oboje zgłosili się na policję. Des spędził weekend w areszcie w towarzystwie miejscowych pijaków. Potem został zwolniony za kaucją i zobowiązany do stawienia się za tydzień przed sądem. Został oskarżony o „naruszenie decyzji sędziego”.

Jego sprawę dwukrotnie odraczano, jednak 3 czerwca 1994 roku, trzy tygodnie po naszym powrocie z Cypru, sędzia James Barry uznał decyzję o przyznaniu Michelle praw do opieki nad synem za właściwą. Podkreślił też, że Des powinien respektować postanowienia sądu rodzinnego. W uzasadnieniu wyroku sędzia napisał:

„Oskarżony działał z premedytacją, wszystko starannie zaplanował (...), celowo unikał rozwiązania sprawy na drodze sądowej (...). Pański faks informujący byłą żonę o przedłużeniu wakacji był kłamstwem. Przeprosiny napisane przez pana i pańską obecną żonę uważam za bezwartościowe. Zresztą nie wiem, dlaczego ta kobieta nie siedzi teraz na ławie oskarżonych!”.

Michelle w oświadczeniu złożonym pod przysięgą opisała, co przeżywała, kiedy Andrew był daleko. Być może właśnie to świadectwo cierpiącej matki przekonało sędziego, żeby stanąć po jej stronie.

- Wydaje mi się, że to był najtrudniejszy i najbardziej stresujący okres w moim życiu - zaczęła mówić. - Chwilami bałam się, że już nigdy nie zobaczę syna. Każdy nowy dzień bez wiadomości od niego potęgował moje obawy. Wpadłam w depresję i przez cały czas czułam się bezradna. To doświadczenie, z którego już nigdy się nie otrząsnę.

Kobieta wyznała też, że blisko ośmiomiesięczny okres rozłąki ciągnął się dla niej w nieskończoność. Czuła się okradziona.

- Nie mogłam obserwować, jak mój syn dojrzewa i się rozwija. A przecież to bardzo ważny etap w życiu dziecka - dodała.

Krzywda, jaką wyrządził pan byłej żonie, wydaje się niewielka w porównaniu z tym, co zrobił pan swojemu dziecku - powiedział sędzia do Desa. - Zabrał pan chłopca ze szkoły. Odebrał mu pan matkę, przyjaciół i krewnych. Pod względem emocjonalnym syn na pewno ucierpiał. Doszło do zaburzeń w rozwoju psychicznym. Obecnie jest pod opieką poradni psychologicznej. Wszystko przez pańskie nieodpowiedzialne zachowanie. - Sędzia był naprawdę wzburzony. - Nikt nie wątpi w to, że kocha pan syna. Jestem też przekonany, że syn pana podziwia. Jednak pod wieloma względami zdradził go pan. Wskutek swoich nieodpowiedzialnych decyzji podważył pan jego wiarę w siebie. Kara, którą panu wymierzę, powinna odstraszać innych rodziców i zniechęcić ich do podobnych działań.

Des został skazany na dwanaście miesięcy więzienia. Sędzia zaproponował obniżenie wyroku o połowę, jeśli mężczyzna zgodzi się wypłacić swojej byłej żonie siedemdziesiąt tysięcy dolarów. W tej kwocie mieściło się wynagrodzenie dla mnie i prawników, a także koszty podróży i pobytu na Cyprze, które wyniosły około piętnastu tysięcy dolarów.

Des wniósł apelację. Marnował czas, bo 2 września 1994 roku sąd rodzinny w Brisbane w pełnym trzysobowym składzie podtrzymał wyrok niższej instancji. Tego samego dnia Des rozpoczął sześciomiesięczną odsiadkę. Trafił najpierw do więzienia o zaostrzonym rygorze w Townsville, szybko jednak przeniesiono go do normalnej placówki. Potem pracował na farmie więziennej, aż w końcu pozwolono mu wykonywać drobne prace społeczne, na przykład kosić trawniki. Podobno inni więźniowie i strażnicy mu współczuli. Des utwierdził się wówczas w przekonaniu, że skazano go za miłość do syna. Przecież chciał dla niego jak najlepiej!

Na wolność wyszedł w lutym 1995 roku, po pięciu miesiącach spędzonych za kratkami. Po jakimś czasie udało mu się wywalczyć prawo do spotykania się z synem - oczywiście w ograniczonym zakresie, w obecności osób trzecich. Po paru latach sporów z byłą żoną postanowił dać spokój sobie i jej. Razem z Kathy wyjechali z Australii. Andrew ostatni raz usłyszał o ojcu w 2007 roku. Des prowadził wówczas restaurację w Hiszpanii.

Mężczyzna cały czas utrzymywał, że nie zrobił niczego złego. Upierał się, że kierowała nim miłość do syna, ale Andrew widzi to dziś inaczej. Podczas wywiadu udzielonego pisarce Robin Bowles potwierdził to, co powiedział

sędzia - że został przez ojca zdradzony. Zrozumiał, że tata chciał go mieć wyłącznie dla siebie. Mimo że Andrew wybaczył Desowi porwanie, nigdy o tym nie zapomniał. I nigdy nie odwiedził ojca w więzieniu.

- Nie uważam, żeby został surowo ukarany - stwierdził.
- Popełnił przestępstwo, więc powinien ponieść karę.

Opowieść z taśmy

Swoje życie zawodowe poświęciłem ratowaniu dzieci, jednak kilka tygodni po powrocie z Cypru udawałem, że chcę oddać dziecko do adopcji. Tak przynajmniej wynikało z pajęczyny kłamstw, które utkałem wokół amerykańskiego multimilionera i prawnika Davida K. Leavitta. Spotkaliśmy się w jego eleganckim biurze przy ulicy Wilshire Boulevard w Beverly Hills, a naszą rozmowę zrelacjonowałem później pod przysięgą przed amerykańskim Sądem Najwyższym.

David Keene Leavitt posiada luksusowy apartament przy rogu Rodeo Drive, ulicy słynącej z najbardziej ekskluzywnych sklepów i butików na świecie. W tym samym budynku pracują znani hollywoodzcy chirurdzy plastyczni, doradcy finansowi, prawnicy, handlarze dziełami sztuki, dentyści i agenci gwiazd, a także pośrednicy w handlu nieruchomościami.

Jest inteligentnym i sprytnym mężczyzną. Całe życie spędził w Kalifornii. W 1951 roku ukończył prawo na Uniwersytecie Stanforda i odbył służbę wojskową poza granicami kraju. Pięć lat później otworzył praktykę w Beverly Hills.

Wyspecjalizował się w adopcjach. Pierwszą przeprowadził w 1960 roku i od tego czasu przez jego biuro przewinęły się tysiące matek pragnących, żeby ich dzieci znalazły nowy dom. Za każdą skuteczną adopcję Leavitt brał nawet czterdzieści tysięcy dolarów, a przyjął takich spraw ponad dziewięć tysięcy. Łatwo policzyć, ile zarobił.

Potrzebnych jest kilka słów wyjaśnienia. Amerykański system adopcyjny różni się od systemów w innych krajach. Przede wszystkim tym, że gdzie indziej adopcjami zajmują się specjalne placówki i oddziały administracji państwowej, a w Stanach Zjednoczonych ciężar odpowiedzialności spada na wyspecjalizowanych prawników. W dodatku w każdym stanie obowiązują inne przepisy. Sprzyja to powstawaniu luk prawnych, które wykorzystują sprytni adwokaci.

W 1994 roku Logana Ciarke a, mojego wieloletniego kolegę z WAD, wynajął Joey Smith, syn bogatego producenta bawełny z Wirginii Zachodniej. Jego dziewczyna zaszła w ciążę. Niestety dla Joeya Smitha stało się to wtedy, gdy para się rozstawała. Joey od razu zadeklarował, że chętnie zaopiekuje się dzieckiem, ale jego była dziewczyna nie chciała o tym słyszeć. Wolała oddać ich dziecko do adopcji. Według chłopaka namówił ją do tego asystent Davida K. Leavitta, najśłynniejszego prawnika od adopcji w Stanach.

W tamtych latach dzieci dość często oddawano do adopcji rodzinom z Kanady i to wbrew woli biologicznych ojców. Procedura była niemożliwa do przeprowadzenia tylko wtedy, gdy biologiczny ojciec zgłosił sprzeciw. Tyle że z reguły

ojcowie po prostu nie wiedzieli o zamierzeniach matek, którym - z kolei - prawo nie nakazywało informować ojca o planach adopcji. Prawodawca wyszedł z założenia, że ojcowie sami powinni się interesować swoimi dziećmi.

Tak więc dzieci trafiały często do Kanady, gdzie samotni ojcowie mieli o wiele bardziej ograniczone prawa rodzicielskie niż w Stanach i sądy z reguły oddalały ich zażalenia, zwłaszcza że na złożenie sprzeciwu mieli tylko sześć miesięcy.

Logan poprosił mnie o pomoc, ponieważ uważał, że jako obcokrajowiec mam większą szansę nakryć Leavitta na matactwach w procedurze przysposobiania dzieci. Chodziło o to, by pomóc Joeyowi Smithowi przejąć opiekę prawną nad własnym dzieckiem. Smith korzystał już z usług amerykańskich prywatnych detektywów, jednak żadnemu nie udało się przechytryć sprytnego prawnika. Gdy którykolwiek starał się zbliżyć do Leavitta, żeby go zdemaskować, ten od razu nabierał podejrzeń. Za to detektywa z Australii na pewno się nie spodziewał.

Zadzwońłem z Brisbane do biura Leavitta. Powiedziałem, że moja nastoletnia córka przebywa teraz w Wooster, dwudziestotysięcznym miasteczku w stanie Ohio leżącym nieopodal Akron i Cleveland. Potem uraczyłem go typową historyjką.

- Moja córka jest teraz na rotariańskiej wymianie młodzieżowej. Spotkała tam jakiegoś chłopaka, zakochała się i... I cóż, jakby to powiedzieć... Chyba wiesz, o co mi chodzi... Rozumiesz.⁵ - Udawałem twardego rodzica, który nie potrafi rozmawiać o intymnych sprawach. - Spodziewa się dziecka.

Już za późno, żeby... No wiesz... Tak więc musi urodzić, ale to przecież jeszcze dziecko. Całe życie przed nią, a tu taka historia... Tak więc chciałbym jej jakoś pomóc. Muszę jej jakoś pomóc - oznajmiłem zdecydowanie.

- Ależ doskonale cię rozumiem. Bez przerwy stykam się z takimi sprawami - odrzekł Leavitt. - Na pocieszenie powiem ci, że nie jesteś jedynym ojcem, który ma taki problem. Na szczęście żyjemy w cywilizowanym świecie i wszystko da się załatwić. I oczywiście zgodnie z prawem.

Leavitt nie zapomniał dodać, że współpracował kiedyś z Australijczykami. Pomagał parom z Queensland w adopcji amerykańskich dzieci. Po czym zapytał, czy wiem, co moja córka myśli o adopcji.

- Właśnie dlatego do ciebie dzwonię. Zasięgnąłem języka i polecili mi ciebie jako najlepszego w tej branży. A sprawa wygląda tak. No cóż, córka zaszła w ciążę z synem rodziny, u której mieszkała w Wooster. Rozumiesz, brakowało jej domu i... takie tam... - ciągle się tłumaczyłem, jak robią to rodzice z poczuciem winy. - Ci ludzie chcą wychować dziecko, ale moja córka się nie zgadza. W gruncie rzeczy nie polubiła ich. Uważa, że źle się do niej odnoszą. Nie chce, żeby to właśnie oni zaopiekowali się jej dzieckiem.

Leavitt bez wahania zaproponował proste rozwiązanie, które potem zostało wykorzystane w sądzie przeciwko niemu.

- Jeśli córka nie chce, żeby zatrzymali dziecko, możemy znaleźć rodzinę adopcyjną - powiedział tonem, jakim się rozmawia o sprzedaży samochodu.

Zasugerował, żeby moja fałszywa córka zaczęła unikać biologicznego ojca i jego rodziny, oraz podpowiedział, w jaki sposób nie dopuścić, by ojciec dziecka złożył sprzeciw

uniemożliwiający ewentualną adopcję. Najpierw miałem pojechać po dziewczynę do Wooster, ale koniecznie w piątek po południu.

- Niech córka zbierze wszystkie rzeczy i wyjedźcie z Ohio. Koniecznie w weekend. W soboty i niedziele sądy są tam zamknięte, więc nikt nie będzie mógł was powstrzymać. Możecie wtedy przyjechać do Kalifornii i spotkać się ze mną, jeśli uznasz to za potrzebne - radził mi niemaljak przyjaciel. — Znajdę dla twojej córki jakąś przytulną kryjówkę, w której przeczeka aż do wyjazdu do Australii. Jeśli ojciec dziecka jej nie znajdzie, nie będzie mógł dostarczyć pozwu o opiekę prawną. To bardzo ważne, bo wtedy przysposobienie dziecka przez inną rodzinę byłoby niemożliwe.

Leavitt z dużą szczerością opowiedział mi, w jaki sposób pomagał już dziewczynom, które nie chciały, by ich dzieckiem opiekował się biologiczny ojciec. Oczywiście było to nielegalne, bo jeśli ojciec deklarował gotowość zajęcia się dzieckiem, prawnicy nie powinni dążyć do adopcji.

Pod koniec naszej długiej telefonicznej rozmowy stwierdziłem, że - owszem - chciałbym się z nim spotkać. Dlatego samym kilka dni po tym, jak sąd rodzinny w Brisbane ogłosił wyrok w sprawie Desa Abbotsforda, zaangażowałem się w kolejną wojnę prawną. Spakowałem torbę i wyruszyłem w podróż do Stanów Zjednoczonych!

W biurze Leavitta grałem rolę zdruzgotanego mężczyzny, któremu dzieci przysparzają kłopotów. Miałem przy sobie sprzęt podsłuchowy. W jednym z pokoi hotelu Wilshire, zaledwie kilka budynków od biura prawniczego Leavitta, Logan Ciarke nagrywał każde nasze słowo. Obie moje rozmowy

z Leavittem - przez telefon i w biurze - zarejestrowane na taśmie magnetofonowej trafiły później do sądu w Wirginii Zachodniej jako materiał dowodowy w pozwie przeciwko nieuczciwemu prawnikowi. A sprawa otarła się nawet o Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych.

Najpierw jednak, trzy miesiące po skazaniu Desa Abbotsforda, stawiłem się przed sądem objazdowym hrabstwa Cabell w Huntington nad rzeką Ohio, w Wirginii Zachodniej. Oskarżonemu Davidowi K. Leavittowi groziła niemała kara z innego pozwu.

Kiedy nagłośniliśmy z Loganem kłopoty Joeeya Smitha, sprawą zainteresowały się wszystkie media. Wtedy zgłosili się do mnie prawnicy z Karoliny Północnej. Wynajął ich lekarz John W. Kessel, oszukany przez Leavitta podobnie jak nasz klient. Jego adwokaci dowiedzieli się o pozwie przeciwko Leavittowi z gazet i poprosili o udostępnienie zapisu moich rozmów z prawnikiem.

John W. Kessel i jego ludzie znali się na rzeczy. Zażądali od Leavitta, matki dziecka, jej rodziców i brata aż 45 milionów dolarów rekompensaty za cierpienia psychiczne, jakich doznał ten lekarz wskutek oddania jego dziecka do adopcji rodzinie z Kanady. Z kolei obrońcy Leavitta, występujący w sprawie Kessela, domagali się, by aresztowano... mnie - za bezprawne nagranie rozmowy telefonicznej, co w Kalifornii jest zakazane. Ponieważ jednak dzwoniłem z Brisbane, ich wniosek został oddalony. Zdaniem sądu miałem też prawo nagrać rozmowę z Leavittem w jego biurze. Miejscowe przepisy pozwalają bowiem utrwać na taśmie dyskusje, w których bierze się udział.

Historia Kessela przypominała historię Joeya Smitha. Lekarz i jego była narzeczona, Anne Conaty, chodzili ze sobą przez kilka lat. Zerwali, zanim Anne zorientowała się, że jest w ciąży. Kiedy było już pewne, że Anne spodziewa się dziecka, próbowali się spotykać i nawet się zaręczyli, jednak kobieta zakończyła związek i wyjechała z Karoliny Północnej. Przez jakiś czas mieszkała u krewnych w różnych częściach kraju, wreszcie w lipcu 1991 roku zatrzymała się w Kalifornii, gdzie przyszło na świat dziecko Kessela i gdzie ma swoje biuro Leavitt.

Anne Conaty zdecydowała się przekazać niemowlę Kennethowi i Patricii Holmstormom z kanadyjskiego Edmonton. Zanim Johnowi W. Kesselowi udało się ustalić miejsce pobytu dziecka, na wniesienie sprzeciwu wobec adopcji było za późno. Piątego grudnia 1994 roku odniósł za to wielkie finansowe zwycięstwo - sąd przyznał mu prawie osiem milionów dolarów odszkodowania.

Jego prawnik, Marvin Masters, udowodnił, że gdy John W. Kessel próbował potwierdzić swoje ojcostwo przed sądem Wirginii Zachodniej, rodzina jego byłej dziewczyny ukrywała Anne przed nim, po czym pomogła jej urodzić dziecko w Los Angeles i oddać je do adopcji w Kanadzie.

Amerykańscy prawnicy uznali decyzję sądu o przyznaniu odszkodowania za przełomową. Podkreślali jej znaczenie dla tysięcy biologicznych ojców bezskutecznie walczących o swoje córki lub synów. Pierwszy raz w historii amerykańskiego prawodawstwa ława przysięgłych ukarała kobietę i jej pomocników za celowe pozbawienie ojca praw do opieki nad dzieckiem. John W. Kessel otrzymał pięć milionów dolarów odszkodowania od Leavitta oraz dwa miliony osiemset

pięćdziesiąt tysięcy dolarów od Anne Conaty, jej rodziców i brata. Zdaniem adwokatów Kessela ława przysięgłych skazała Leavitta na tak wysoką karę, ponieważ uznała go za organizatora oszustwa, którego ofiarą padł ich klient. Apelacje wniesione do Sądu Najwyższego Wirginii Zachodniej, a potem Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych odroczyły wyrok o cztery lata. Ostatecznie jednak decyzja sędziego z Huntington została podtrzymana i zasądzone kwoty trzeba było wypłacić.

Podobnie jak w innych sprawach rodzinnych, w których uczestniczyłem, i w sprawie Kessela niewinne dziecko znalazło się w centrum wojny toczonej przez rodziców.

- W tym przypadku nie mamy do czynienia z prawdziwymi przestępcami, nie licząc oczywiście prawnika z Kalifornii - powiedziała po rozprawie Kessela jedna z sędzin Sądu Najwyższego, Margaret Workman.

Ale Leavitt nie czuł się winny. Podczas zeznawania w sądzie opisywał Johna W. Kessela jako „rekreacyjnego zapładniacza”. Wystąpił też w kilku amerykańskich programach telewizyjnych, między innymi w „The Oprah Show”, w którym nazwał biologicznych ojców „dawcami spermy” co według tego specjalisty od adopcji odbierało im prawo do decydowania o losach potomstwa.

Adopcyjne Centrum Porad Prawnych z Beverly Hills wciąż dobrze prosperuje, a jego właściciel wydał nawet poradnik o adopcjach. Nic więc dziwnego, że amerykańskie dzieci nadal trafiają do Kanady. Według szacunków w latach 1995-2004 około sześciuset niemowląt znalazło nowy dom na północy kontynentu.

Malutki synek Joeya Smitha został adoptowany przez rodzinę z Calgary. Pojechaliśmy tam w poszukiwaniu pilota, który odważyłby się na ryzykowny nielegalny lot z Kanady do Stanów. Wypytywaliśmy o kogoś takiego w barach, aż w końcu trafiliśmy na podejrzanego typu, który przyznał, że w przeszłości przemycał narkotyki ze Stanów Zjednoczonych do Kanady. Zapłaciliśmy mu za przerzucenie nas przez Góry Skaliste - z Calgary na opuszczony pas startowy w Wyoming. Lot był nielegalny, ale dolecieliśmy bez żadnych problemów. W ten sposób sprawdziliśmy potencjalną drogę ucieczki. W przyszłości planowaliśmy przewieźć dziecko do tego samego dzikiego stanu, w którym narodziły się moje fikcyjne paszporty - honduraski i rodezyjski.

Odszukaliśmy dom w Calgary, w którym mieszkał chłopiec. Wtedy zareagowali prawnicy Joeya. Przekonali go, żeby zrezygnował z nielegalnych metod sprowadzenia syna do kraju. Nie wolno było narażać dwuletniego wówczas malca na ogromny stres. Adwokaci postanowili wezwać jego nowych rodziców do stawienia się w sądzie w Wirginii Zachodniej. Ostatecznie dziecko zostało w Kanadzie.

O Leavitcie po raz ostatni usłyszałem w 2005 roku. Prawo stanowe pozwalało wówczas przyszłym rodzicom adopcyjnym opłacać koszty ponoszone przez biologiczną matkę, której dziecko chcieli przysposobić. Jakaś para z Maryland dogadała się z kobietą w ciąży. Utrzymywali ją przez kilka miesięcy, opłacali badania lekarskie. Zainwestowali sporo pieniędzy, po czym tuż przed rozwiązaniem kobieta po prostu zniknęła. Odnalazła się po jakimś czasie zupełnie przypadkowo w... Beverly Hills w Kalifornii. Najwyraźniej ktoś

zapropnował jej za dziecko znacznie więcej niż poprzedni i już niedoszli rodzice.

Opowiadając w mediach o historii tej matki, Leavitt stwierdził, że weszliśmy w okres „adopcyjnej gorączki złota”, co ułatwia podejmowanie takich decyzji. A potem dodał, że „przecież kobiety tak często zmieniają zdanie”. Przekonałem się o tym już podczas kolejnego zadania.

Kłopoty w raju

Mary Gould była dość tęgą młodą kobietą o jasnej karnacji i rudych włosach. Kiedy poprosiła mnie, żebym odnalazł jej dwóch synów wywiezionych przez męża na Fidzi, zapomniała wspomnieć, że to ona może stanowić największe zagrożenie dla powodzenia akcji.

Była chodzącą sprzecznością: paliła jak smok i uprawiała jogging szczerze wierzyła w Boga i fascynowała się ruchem New Age, ewangelizowała, a jednocześnie czytała horoskopy. Wniosła do mojego życia zawodowego sporo zamieszania, a do filmu opowiadającego o mojej pracy - trochę niezamierzonego humoru.

Tak, tak! To prawda. Zostałem bohaterem filmu. I to nie takiego zmyślonego, jak *Powrót do Adenu*, lecz prawdziwego, nakręconego dla telewizji. Ten prawie półtoragodzinny dokument o pracy dwóch detektywów, czyli o Loganie Clarke'u i o mnie, nosi tytuł *Zagubione. Prawdopodobnie żywe*. Nakręcili go dwaj australijscy filmowcy - Terry Carlyon i Michael Rivette. Zabraliśmy ich razem z ekipą techniczną na dwie zamorskie akcje, ponieważ zgodzili się sfinansować

odzyskanie dzieci Mary Gould. Natomiast kobiecie zależało na wydostaniu synów z biednego rejonu świata, w którym mieszkali razem z ojcem.

Mary Gould była kiedyś misjonarką. Szerzyła chrześcijaństwo na Fidzi, gdzie poznała swojego męża Izaaka, który pomagał jej w ewangelizowaniu. W małżeństwie nie układało się im właściwie od początku. Wreszcie Mary postanowiła opuścić męża i wrócić do Australii, była bowiem Australijką. Chciała rozpocząć nowe życie w rodzinnym Brisbane. Nie mogła jednak od razu zabrać swoich synów, bo nie miała gdzie. Obiecała, że wróci po nich, gdy tylko się urządzi. Izaak zgodził się zaopiekować chłopcami do tego czasu. Niestety potem zmienił zdanie. Kobieta obawiała się, że jej synów czeka dzieciństwo w rozpadającej się chacie stojącej w ubogiej wiosce na małej wyspie na Pacyfiku. Gotowa była zrobić wszystko, byle tylko wyrwać ich z biedy i oszczędzić im trudów sytuacji, w której się znaleźli.

Jej zdaniem Izaak nie zatrzymał synów - siedmioletniego Gideona i pięcioletniego Joshuę - z wielkiej miłości. Była przekonana, że chodziło raczej o wykorzystywanie chłopców do wyłudzenia od niej pieniędzy.

Przyjrzałem się bliżej sprawie. Porozmawiałem z Mary, potem z jej matką. Chyba rzeczywiście chłopcy mieszkali w bardzo skromnych warunkach. W ich wiosce nie było nawet telefonu. Żeby zadzwonić do matki, musieli jechać do krewnego mieszkającego w Suvie, stolicy Fidzi.

Mary wydawała się osobą bardzo pozytywnie nastawioną do świata, o szlachetnych intencjach i złotym sercu. Kiedy

opowiadała, jak bardzo *zależy jej* na przywiezieniu dzieci do Australii, w jej oczach pojawiały się łzy. Gdy odwiedziłem ją w bloku w centrum Brisbane, w którym mieszkała, zachowywała się jak każda inna cierpiąca matka. Podkreślała, że to mąż nie dotrzymał obietnicy i nie pozwolił chłopcom przyjechać do niej, kiedy już zadomowiła się w Australii. Oszukał ją, a więc był złym człowiekiem.

- Wolałabym, żeby dorastali przy mnie, żeby to ja uczyła ich życia. On już udowodnił, na co go stać - powiedziała mi kiedyś. - Marzę, by jak najszybciej znaleźli się u mnie, w bezpiecznym i kochającym domu.

Mary ciągle mówiła. Z sensem i bez sensu, za to z każdym tygodniem coraz więcej. Nie umieliśmy jej powstrzymać.

- Moja przysięga małżeńska była dla mnie czymś świętym - zaczęła kiedyś. - Wydawało mi się, że mam obowiązek być dobrą żoną i wspaniałą matką. Wiele osób pytało mnie, jakim cudem wytrzymuję z Izaakiem. To fakt, cierpiałam, ale dawałam sobie radę. Byłam z nim, wychowywałam dzieci i ciężko pracowałam. W końcu doszłam do momentu, w którym - Bóg mi świadkiem - miałam już dość. Musiałam zakończyć ten związek. Powiedziałam Izaakowi, że odchodzę i zabieram synów. Tak zaczęły się moje kłopoty...

Podobno jej małżeństwo się rozpadło, ponieważ Izaak okazał się niezwykle upartym i samolubnym człowiekiem, co widać nawet po jego stosunku do dzieci. Postanowił zatrzymać synów przy sobie z czystego egoizmu. Nie myśli o tym, że w Australii chłopcy mieliby znacznie lepsze warunki rozwoju i większe możliwości w przyszłości.

Upłynął rok od naszej misji w Adenie, ale widzieliśmy pewne podobieństwa między Mary Gould a Sarą Hassan. Obie za wszelką cenę starały się odzyskać swoje dzieci. Łączyła je też żarliwość religijna. Mary bez przerwy cytowała Pismo Święte, z reguły zaciągając się jednocześnie papierosem. Kontemplowaliśmy więc mądrości starożytnych patriarchów i chrześcijańskich apostołów wśród obłoków gryzącego dymu.

Tuż przed wyjazdem na Fidżi, a było to w październiku 1994 roku, Mary przypomniała sobie ostatnią rozmowę z Joshuą i zaczęła popłakiwać. Chłopiec zadzwonił do niej z Suvy.

- Powiedziałam mu: „Joshua, kochanie, pewnego dnia mama przyjedzie po ciebie”, a on odrzekł: „Mamo, tata powiedział, że mnie okłamujesz. Nigdy tu nie przyjedziesz. Tylko obiecujesz, że się zobaczymy, ale tak naprawdę już nie wrócisz”. - Mary wspominała rozmowę z synem, a łzy rozmazywały jej makijaż. - Powiedziałam wtedy: „Joshua, obiecuję ci, że na pewno przyjadę. Musisz mi uwierzyć. A wieczorem, kiedy będziesz odmawiał paciorek, poproś Boga o dobrą pracę dla mnie. Wtedy szybciej się zobaczymy”.

Mimo patosu tej sceny, wzruszyłem się. Zrobiło mi się szkoda borykającej się z losem kobiety, gotowej z miłości do dzieci do wielkich poświęceń. Postanowiłem pomóc jej finansowo. Znalazłem dla niej większe mieszkanie i kupiłem dwa dziecięce łóżka. Wiedziałem, że się przydadzą, kiedy przywieziemy chłopców do domu.

Według zapewnień Mary, Izaak nadal pracował w misji katolickiej działającej na terenie niewielkiej nadmorskiej wioski

położonej na południe od Suvy. Nie wiedzieliśmy tylko, czy dzieci mieszkają razem z nim, czy u jego krewnych w bliskiej okolicy, czy może w stolicy. Musieliśmy to sprawdzić. Wyjaśniłem Mary, że skoro ojciec nie wystąpił do miejscowego sądu o opiekę nad dziećmi - gdyby to zrobił, matka musiałaby o tym wiedzieć - możemy przywieźć chłopców do Australii zupełnie legalnie, bez problemów ze strony australijskich urzędników emigracyjnych. Na wszelki wypadek sprawdziłem przepisy obowiązujące na Fidzi. Upewniłem się, że Izaak nie będzie mógł zatrzymać nas na lotnisku. Mary mogła spokojnie zabrać dzieci i wyjechać. Nie chcieliśmy jednak, żeby na lotnisku doszło do przepychanek, dlatego postanowiliśmy wymyślić jakiś fortel, który ułatwiłby nam ucieczkę.

- Musisz wiedzieć, że Izaak nie może zabronić ci wywiezienia dzieci z Fidzi - wyjaśniłem Mary. - Masz prawo zabrać je do Brisbane. Twój mąż będzie musiał przyjechać do Australii i powalczyć o nie przed sądem. Dlatego zaraz po powrocie do kraju powinnaś wystąpić o pełne prawo do opieki nad chłopcami. Ponieważ Izaak przetrzymuje dzieci wbrew twojej woli, sąd na pewno przyzna ci opiekę nad synami bez większych problemów - w ten sposób podtrzymałem Mary na duchu.

Znowu zaczęła płakać, tym razem z radości. Potem wygłosiła krótki pean na cześć pozytywnego myślenia oraz głośno zadeklarowała, że jej serce należy do Boga.

Omówiliśmy szczegóły akcji. Postanowiliśmy zabrać dzieci, gdy będą szły do szkoły. Mieliśmy nadzieję, że może same wsiądą do samochodu, kiedy usłyszą, że niedaleko, w drugim wozie, czeka ich matka.

- Nie wiem, w jaki sposób Keith zamierza wywieźć moich synów z wioski - powiedziała Mary przed kamerą, a jej oczy zrobiły się wilgotne. - Wiem, że po prostu to zrobi. Od chwili porwania upłynie jakieś pięć, może dziesięć minut, zanim się zobaczymy. Dla dzieci nie będzie to więc wielkie przeżycie. Wierzę, że Bóg przygotowuje na to.

Jednak Bóg działa czasem w bardzo niekonwencjonalny sposób.

Mary spakowała Biblię i nowe paszporty chłopców. Wyznała mi, że w głębi serca zawsze wierzyła w odzyskanie dzieci. Jej zdaniem Opatrzność czuwała nad naszą „krucjatą”.

Na Fidżi przylecieliśmy 31 października wieczorem. Logan Ciarke dotarł na wyspę kilka godzin później. Już następnego dnia pojechaliśmy do wioski Izaaka położonej tuż nad brzegiem Pacyfiku. Chcieliśmy ustalić, którędy chłopcy chodzą do szkoły.

Zaparkowaliśmy wynajętego vana nieopodal głównej drogi i czekaliśmy na idących uczniów. Dwóch powinno mieć jaśniejszy odcień skóry. Czekaliśmy, czekaliśmy, jednak nic się nie działo. Mary siedziała na tylnym siedzeniu samochodu, tuż obok Logana, i obserwowała okolicę przez lornetkę. Nie należała do spokojnych osób. Wierciła się, nerwowo stuknęła nogą, wreszcie zapaliła papierosa. Co chwilę odwracała głowę, żeby nie dmuchać mi w twarz. Gdy spytałem, dlaczego tak się denerwuje, odpowiedziała, że się boi, że krewni Izaaka oszukali ją, gdy rozmawiała z nimi przez telefon, i że chłopcy nie mieszkają już razem. Podejrzała, że Joshuę wywieźli do rodziny w Suvie. Takie miała przecucie. Tego dnia nie zauważyliśmy nigdzie jej synów.

Kiedy wróciliśmy do motelu, była wyraźnie przybita. Próbowaliśmy podnieść ją na duchu, uspokoić. Tłumaczyliśmy, że dzieci najprawdopodobniej są w wiosce i na pewno je odzyskamy. Zresztą odszukalibyśmy je również wtedy, gdyby mieszkały gdzie indziej.

Przedyskutowaliśmy z Loganem plan działania. Przed wszystkim musieliśmy poznać rozkład dnia całej rodziny i dopiero wtedy określić czas i miejsce akcji oraz drogę ucieczki.

- Myślę, że najszybciej zdobędziemy te informacje na miejscu. Mogę tam pojechać - zaproponowałem. - Powiem Izaakowi, że przywiozłem mu pieniądze od żony. Jestem przekonany, że uda mi się zdobyć jego zaufanie. W tym czasie Mary nie powinna wychodzić z motelu. Będzie potrzebna dopiero wtedy, gdy już zabierzemy dzieci.

Następnego dnia, udając zwykłego turystę, poszedłem do wioski i zapytałem miejscowego księdza o Izaaka. Ku mojemu zaskoczeniu nie znał go wcale. Czyżby mężczyzna stracił wiarę? Na szczęście duchowny zaprowadził mnie do wiejskiej nauczycielki, która przyznała z wyraźną dumą w głosie, że Gideon, owszem, jest jednym z jej uczniów. Zaprowadziła mnie do niego. Chłopiec bawił się na podwórku razem z innymi dziećmi. Za jej zgodą zabrałem go do samochodu i poprosiłem, by wskazał mi drogę do swojego domu.

Izaak okazał się mężczyzną o posturze zawodnika rugby i silnych dłoniach. Na widok gościa z Australii szeroko się uśmiechnął. Jeszcze bardziej się uśmiechnął, choć wydawało

się to niemożliwe, kiedy wręczyłem mu sto dolarów, mówiąc, że to prezent od Mary. Potem dodałem, że żona prosiła przekazać mu, iż nie czuje do niego urazy, mimo że zatrzymał przy sobie ich synów. Szczerze się ucieszył. Zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że jego żona planuje zrealizować złożoną dzieciom obietnicę.

Izaak potwierdził, że synowie mieszkają razem z nim i oprowadził mnie po domu, który przypominał raczej śmietnik. Mimo że w budynku zamiast okien i drzwi były jedynie otwory w ścianach, Izaak był dumny ze swojego lokum. Chwalił się zwłaszcza nową warstwą jasnoniebieskiej farby na ścianach. Próbowałem okazać zainteresowanie, ale aż tak dobrym aktorem nie byłem. Musiałem wymyślić coś innego, żeby zdobyć jego zaufanie.

- Przyjechałem na wyspę nakręcić film - powiedziałem półgłosem. Po doświadczeniach z *Powrotem do Adenu* „kręcenie” weszło mi chyba w krew. - Twoja żona Mary pracuje dla mnie w Brisbane. Zajmuje się public relations. Kiedy się dowiedziała, że lecę na Fidżi, poprosiła mnie, żebym koniecznie cię odwiedził.

- To cudowna wiadomość, Keith. - Izaak klasnął w dłonie. - Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że Mary jest zdrowa i ma dobrą pracę. A tak przy okazji... Jeśli mógłbym jakoś pomóc przy filmie, na przykład zagrać niewielką rolę, to po prostu powiedz...

- Jasne.

Pożegnałem się z Izaakiem i wróciłem do hotelu. Byłem wyraźnie podekscytowany, bo uwierzyłem, że bez trudu spełnimy marzenia Mary. Cieszyłem się też, że pomogę dwóm

małym chłopcom. Joshua i Gideon faktycznie żyli w ogromnej biedzie, nawet jak na standardy Fidżi.

- Dzieciaki Mary nie mają tutaj lekko - powiedziałem Loganowi, kiedy wróciłem do hotelu. - Ojciec pomalował tę swoją rudę na ładny błękitny kolor, ale to nie poprawiło ich warunków życiowych. Słyszałem też, że na przykład mundurki szkolne dostali w prezencie od katolickiego księdza.

Potem przekazałem mu wszystkie informacje, których potrzebowaliśmy do zrealizowania naszych zamierzeń. Zaczęliśmy omawiać szczegóły planu.

- Wiem, którędy dzieci chodzą do szkoły. Izaak pracuje teraz jako kurier, co też jest dla nas dobrą wiadomością, bo przez większą część dnia wozi przesyłki. Zanim się zorientuje w sytuacji, będziemy już siedzieli z dziećmi w samolocie do Brisbane!

Kiedy dzieliłem się z Loganem dobrymi wiadomościami, Mary wprosiła się do mojego pokoju. Usłyszała końcówkę naszej rozmowy i zaczęła - dosłownie! - tańczyć z radości. Niestety strzepywała przy tym popiół z papierosa na moje łóżko. Najbardziej ucieszyła ją informacja, że widziałem Gideona. „To taki delikatny chłopiec. I ma złote serce” - zaczęła trajkotać. Wprost rozsadała ją energia. Widać było, że jest szczęśliwa. Zaciągnęła się papierosem i puściła piękne kółko z dymu.

- Gdy tylko powierzyłam swoje życie Bogu, wszystko stało się takie proste, takie cudowne - oświadczyła z ożywieniem. - Nie popełniam już błędów.

Problem w tym, że popełniała. Przede wszystkim bez przerwy gadała - nie tylko do nas, ale do każdego przygodnie

napotkanego człowieka. Najgorsze było to, że nie potrafiła trzymać języka za zębami i rozpowiadała o naszych planach, czego początkowo nie byliśmy świadomi. Wyznała na przykład swoim krewnym w Australii, że wynajęła prywatnych detektywów, którzy pomogą jej odzyskać synów, i że wybiera się z nimi na Fidżi. Martwiliśmy się, że ktoś zadzwoni do dzieciaków i uprzedzi ich, że przyjadą po nich ludzie z Brisbane, a z kolei chłopcy pochwalą się tą informacją przed ojcem. Wkrótce po tym, jak spotkałem się z Izaakiem i wręczyłem mu pieniądze, dotarła do nas kolejna niepokojąca wiadomość. Okazało się, że na Fidżi ma przylecieć znajomy rodziców Mary, który też chce się zobaczyć z jej dziećmi. Miałem nadzieję, że Izaak nie dowie się od niego, po co my przyjechaliśmy na wyspę.

Nie mogliśmy ryzykować, więc wziąłem kamerę i pojechałem do wioski, żeby przekonać Izaaka, że jestem życzliwym mu filmowcem, a nie żadnym porywaczem. Być może nie mam talentu na miarę Russella Crowea, jednak swoją rolę odegrałem na tyle przekonująco, że zdobyłem jego zaufanie. Pozwolił mi nawet na zrobienie kilku zdjęć dla Mary, jak wyjaśniałem, w trakcie których obejmowałem chłopców. Tych samych, których za kilka dni zamierzałem zabrać do ich matki!

- No dalej, Gideon, powiedz coś do kamery - zachęcał syna Izaak.

Uklęknąłem i przytuliłem się do nich, żeby scena wyglądała na bardziej wzruszającą.

- Kocham cię, mamusi! Tęsknię za tobą! - zawołał chłopiec.

Izaak poprosił Joshuę, żeby też coś powiedział. Młodszy syn był jednak zbyt nieśmiały. Zakrył twarz rękami

i uśmiechnął się tylko wstydliwie. Trzeba było długo go namawiać, żeby pomachał do kamery dla mamy. Jeśli wszystko poszłoby zgodnie z planem, wkrótce tuliłby się do niej na pokładzie samolotu lecącego do Brisbane.

- Dzieci uwielbiają to miejsce - powiedział Izaak, mając na myśli wioskę. - Żyjemy tutaj jak w raju, spokojnie, bez problemów. Joshua i Gideon są szczęśliwi. Mają tu wielu przyjaciół, z którymi lubią się bawić.

„A czy mająjakiś wybór” - pomyślałem.

Kiedy Mary zobaczyła swoich ukochanych synów na filmie, bardzo się ucieszyła. Następnego dnia wybrała się z nami na obserwację. Chcieliśmy ostatni raz dokładnie sprawdzić, którędy dzieci chodzą do szkoły. Żeby trzymać nerwy na wodzy, odpalała jednego papierosa od drugiego i co chwila się zaciagała. Wreszcie zobaczyliśmy grupę dwudziestu, może trzydziestu bosych chłopców idących do szkoły. Bawili się i żartowali w drodze na zajęcia. Wszyscy mieli na sobie jasnoniebieskie koszulki z krótkimi rękawami oraz spodenki w kolorze khaki. Chwilę później pierwszy raz od miesiąca Mary zobaczyła małego Joshuę. Krzyknęła z radości i oczywiście się rozpłakała.

- Nie wierzę, że to on - wyszeptła. - Zobaczcie tylko, jaki jest śliczny.

- J u ż niedługo, Mary - pocieszyłem ją. - Wkrótce zabierzesz swoich synów do domu.

Wszystko było już zaplanowane. Logan opłacił dwóch pilotów, którzy mieli nas przewieźć z Suvy na odległe o cztery godziny jazdy międzynarodowe lotnisko w Nadi.

Wynajęliśmy też dom, w którym mieliśmy się *zatrzymać* w przypadku kłopotów. Plan był bardzo dokładny. Nie miał słabych punktów.

- Zatrzymuję się samochodem przy dzieciach, gdy idą do szkoły. Gideon już mnie zna. Zapraszam go do środka razem z bratem. Mówię, że zawiozę teraz chłopców do mamy.

W nocy kilka razy powtarzaliśmy kolejność działań i staliśmy się dopracować wszystkie szczegóły.

- Dojeżdżamy wypożyczonym vanem do zakrętu, za którym stoi zaparkowany na włączonym silniku drugi samochód. Wewnątrz ukrywa się Mary - nie chcemy, żeby przypadkowo zobaczył ją Izaak. Zatrzymuję się obok drugiego wozu, wychodzę i pomagam dzieciom szybko się przesiąść. Nawet jeśli ktoś nas obserwuje, widzi niewiele, gdyż van zasłania widok. Cała operacja powinna potrwać nie więcej niż piętnaście, dwadzieścia sekund. Potem Mary i dzieciaki ruszają na pobliskie lotnisko. Czeka tam na nie awionetka, którą lecą do Nadi, gdzie przesiadają się na samolot do Brisbane. Kiedy Izaak odkrywa, że coś jest nie tak, wzywa pomoc, ale w wiosce nie ma telefonu. Zanim cokolwiek zrobi, chłopcy zdążą zjeść śniadanie na koszt linii lotniczych i będą oglądać kreskówki na pokładowym telewizorze.

Kiedy my powtarzaliśmy, co kolejno zrobimy, Mary z trudem powstrzymywała wybuch radości.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę moich synków. To będzie naprawdę cudowna chwila! - Przyłożyła obie ręce do serca w geście miłości. - Chłopcy uwierzą, że zawsze trzeba mieć nadzieję. Tak jak ja wierzę, że wszystko potoczy się zgodnie z planem. Bóg mi to obiecał.

Być może Bóg nie wiedział, co Mary nosi w sercu. Następnego dnia, a było to 4 listopada o szóstej trzydzięści rano, Mary zadała nam cios poniżej pasa. Właściwie to był nokaut.

Zerwaliśmy się z Loganem o świcie. Zapowiadał się cudowny dzień, co od razu nastroiło nas pozytywnie. Zadzwoniłem do Mary, żeby ją obudzić, ale nie odbierała telefonu. Zadzwoniłem jeszcze raz, znowu bez skutku. Poszliśmy do jej pokoju. Drzwi były zamknięte. Dobijaliśmy się przez blisko godzinę. Z sąsiednich pokoi powychodzili wściekli goście obudzeni naszymi hałasami. Nie mieliśmy pojęcia, co mogło się wydarzyć. Upiła się i śpi jak zabita? A może z nerwów zrobiła coś jeszcze głupszego? I czy nie maczał w tym palców Izaak? Musieliśmy poszukać pokojówki. Na szczęście miała przy sobie zapasowy klucz i otworzyła drzwi.

Mary nie było w pokoju. Podobnie zresztą jak jej bagaży. Po naszej najuczciwszej klientce, kobiecie głęboko religijnej i powtarzającej jak mantrę, że trzeba myśleć pozytywnie, pozostała jedynie niewielka kartka papieru. Zawierała krótką wiadomość.

4 listopada 1994, 2 w nocy

Keith,

wiem, że nie zrozumiesz, dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam. Dziś wieczorem zadzwoniłam do Juliana - to przyjaciel Mary z Brisbane - i porozmawiałam z nim. Przysięgam na Boga, że nie mogę wyjechać stąd z dziećmi. Dziękuję wam za okazaną pomoc, wynajęte mieszkanie oraz dziecięce łóżka.

Przepraszam.

Mary

Później dowiedzieliśmy się jeszcze, że wyprowadziła się z hotelu o piątej trzydzieści rano i wyjechała z facetem, którego poznała dzień wcześniej w pubie. To był zresztą jakiś oszust, który próbował wcisnąć miejscowym wojskowym zdezelowane hummery.

Odkąd Mary przyleciała do Brisbane, opowiadała wszystkim wokół, jak bardzo tęskni za synami, jak wiele dla niej znaczą. Namówiła dwóch prywatnych detektywów oraz ekipę filmową na ryzykowną eskapadę. A potem w ostatniej chwili dała się przekonać przypadkowo poznanemu typowi, żeby zostawiła dzieci z ojcem. Zadzwoiła też do swojego przyjaciela Juliana i przekazała mu, że zmieniła zdanie i wraca do Brisbane sama.

Podobno zachowała się tak dlatego, że sprzedawca hummerów ostrzegł ją, że jeśli dojdzie do porwania, stosunki między Australią a Fidżi ulegną ochłodzeniu. I Mary mu uwierzyła! Słowa oszusta wystarczyły, żeby zapomniała o długich miesiącach rozpacz i tygodniach przygotowań do odebrania synów. Nie ma co - wystawiła nas do wiatru! Nie tylko zresztą nas. Oszukała również ekipę filmową i przede wszystkim swoje dzieci!

Mogłem się spodziewać wszystkiego, ale nie tego, że Mary się po prostu rozmyśli. Tak zwyczajnie, po prostu się rozmyśli! Logan też był zaskoczony. I wściekły!

- Może to dobrze, że nie zabrała dzieci? - komentował sytuację dość głośno. - Przecież to jakaś wariatka, zupełnie nieobliczalna baba. Co ona sobie myślała? Cholera, żeby nam nie narobiła więcej kłopotów.

Postanowiliśmy nie szukać Mary ani tym bardziej roztrząsać, dlaczego tak dziwnie się zachowała. Musieliśmy jak najszybciej uciekać z Fidzi. Nie mieliśmy pewności, że nie opowiedziała komuś o naszych planach. A właściwie z dużym prawdopodobieństwem mogliśmy sądzić, że tak właśnie zrobiła, a my nie chcieliśmy zostać oskarżeni o przygotowywanie porwania. Nie wiem, czy sąd dałby wiarę, że to matka chłopców nakłoniła nas do tego. Odwołaliśmy natychmiast wynajęty samolot i samochodem, który miał posłużyć w pierwszej fazie akcji, popędziliśmy na lotnisko w Nadi.

Bez żadnych kłopotów przeszliśmy przez stanowisko odprawy celnej. W samolocie czekała na nas kolejna niespodzianka. Na pokładzie siedziała już w fotelu... Mary Gould i najspokojniej w świecie przeglądała kolorowe czasopismo. Ruszyliśmy w jej kierunku. W końcu należały się nam jakieś wyjaśnienia. Kiedy nas zauważyła, zerwała się z miejsca i pobiegła w drugą stronę. Postanowiliśmy na razie dać jej spokój. Nikomu z nas nie była potrzebna awantura na pokładzie samolotu.

Podszedłem do niej dopiero po wylądowaniu w Brisbane. Chciałem zrozumieć, dlaczego kobieta, która tyle mówiła o tęsknocie za dziećmi, złamanym sercu i konieczności wyrwania synów z biedy, nagle zmieniła zdanie. Przecież filmowcy, Terry Carlyon i Michael Rivette, zapłacili zająz bilety i noclegi na Fidzi! Naciągnęła ich na niebagatelne wydatki! Ja i Logan też straciliśmy trochę pieniędzy, nie wspominając o bezpłatnych poradach, których jej udzieliliśmy, i tygodniach planowania akcji!

- Nawet się do mnie nie zbliżaj! - syknęła niczym żmija, gdy faktycznie chciałem do niej podejść.

Chrześcijańska dewotka w okamgnieniu przemieniła się w demona. Protestowała zbyt gwałtownie. Zdawała sobie sprawę, że wystawiła nas do wiatru, i teraz odgrywała szopkę, żeby się jakoś usprawiedliwić przed innymi.

- Mary, nie sądzisz, że powinniśmy porozmawiać? - próbowałam ją udobruchać.

- Nie, nie sądzę. Nie mam ci nic do powiedzenia, Keith. Daj mi spokój.

- Chwileczkę! - nie dałem się zbyć. - Właśnie porzuciłaś dwoje dzieci, które resztę życia spędzą w psiej budzie!

- Próbujesz mnie wykorzystać, Keith. Trzymaj się ode mnie z daleka!

Jej słowa wytrąciły mnie z równowagi.

- Próbuję cię wykorzystać? Ja? Ciebie? Przecież to ty mnie wynajęłaś! - podniesionym głosem przypomniałem jej, kto był inspiratorem naszych działań.

Mary odebrała z lotniska jej przyjaciel Julian, wysoki, chudy mężczyzna z długim kucykiem. Zamierzała wykorzystać go przeciwko nam, ale okazało się, że on był zaskoczony jej zachowaniem tak samo jak my.

- Czy możesz coś zrobić, żeby zaczęła logicznie myśleć?
- zwróciłem się do Juliana. - Byliśmy już naprawdę blisko celu, mogliśmy odzyskać jej synów. Gdyby nie zmieniła zdania w ostatniej chwili, dzieci byłyby już z nami w Brisbane! Straciliśmy przez nią mnóstwo czasu. Może ty wiesz, co tu jest grane?

Mężczyzna nachylił się do Mary i zaczął coś jej szeptać. Zachowywał się z dużym taktem, to muszę przyznać.

- Julian - szepnęła trochę głośniej Mary. - Oni usiłują mnie zrobić.

- Wrobić? O czym ty mówisz? - wyglądał na autentycznie zaskoczonego.

- Nie rozumiesz? - Kobieta złapała się za głowę. - Gdybym przyjechała z dziećmi do Australii, zostałabym skazana za porwanie.

Mary wciąż próbowała przekonać samą siebie, że podjęła właściwą decyzję. A przecież tłumaczyliśmy jej kilka razy, że według australijskiego prawa nie dopuściłaby się żadnego przestępstwa. Spokojnie mogła zabrać dzieci z Fidżi do Brisbane. Nieoczekiwanie bohaterka filmu dokumentalnego stała się jego największą przeciwniczką.

- Wiesz... kiedy film trafi do telewizji... pomiędzy dwoma krajami... - zaczęła się jąkać.

- Ależ Mary, po pierwsze, nie sądzę, żeby twoja sprawa mogła popsuć stosunki dyplomatyczne. Chyba trochę przesadzasz. A po drugie, dlaczego nie pomyślałaś o tym wcześniej? - Julian wyraźnie był sceptyczny wobec jej tłumaczeń.

- Wcześniej nie wiedziałam, co oni tak naprawdę zamierzają zrobić! - powiedziała półszepem, jakby otaczali ją agenci KGB, a nie pasażerowie samolotu. - Dopiero ostatniej nocy zorientowałam się, co oni planują. Wtedy przejrzałam ich zamiary i dlatego rankiem uciekałam. A najpierw pojechałam do Izaaka i poprosiłam go, żeby ukrył dzieci.

A zatem po kilku tygodniach zastanawiania się, w jaki sposób odebrać mężowi synów, po wieczorach planowania, omawiania szczegółów, w czym sama brała udział - nagle Mary zaczęła szukać w byłym mężu sprzymierzeńca przeciwko ludziom, których wynajęła! To jakiś obłąd!

Wkrótce się przekonałam - wiercie albo nie - że podobne zachowania wcale nie są tak niezwykle, zwłaszcza

w sprawach rodzinnych. Ratowanie dzieci wiąże się z tak wielkimi emocjami, że ich rodzice bardzo często zmieniają zdanie w ostatniej chwili. Większość z nich żyje na krawędzi załamania nerwowego przez długi czas i w momencie krytycznym zachowuje się irracjonalnie.

A Mary? Cóż, Mary była po prostu niedojrzała. Kiedy zobaczyła, że może rzeczywiście odzyskać synów, uświadomiła sobie, ile obowiązków na nią spadnie. A przecież niełatwo jest być samotną matką. Widocznie nie była na to przygotowana. Ciężar odpowiedzialności tak ją przeraził, że się wycofała. Spotkany w pubie sprzedawca hummerów stanowił jedynie wymówkę. Szkoda tylko, że nie podzieliła się z nami swoimi wątpliwościami wcześniej.

Od innych detektywów z mojej branży dowiedziałem się, że rodzice tracą czasem odwagę w obliczu odpowiedzialności za czyjeś życie. To efekt uboczny długiej tęsknoty oraz stresu związanego ze sposobem, w jaki odzyskuje się dzieci. Kiedy cel wydaje się w zasięgu ręki, pojawiają się wątpliwości. Czy dziecku lub dzieciom nie stanie się krzywda? Czy podołam obowiązkom? A może u matki - lub ojca - byłoby jej, jemu, im lepiej?

Zazwyczaj miłość do dzieci zwycięża i pozwala opanować nerwy, jednak w przypadku Mary tak się nie stało. Napędzały ją emocje towarzyszące poszukiwaniom, radość z ich zobaczenia i perspektywa zamieszkania z nimi, jednak świadomość, że potem trzeba będzie się o nie troszczyć przez wiele lat: ubierać, karmić, posłać do szkoły, zabrać na wakacje, dosłownie ścięła ją z nóg. Strach wziął górę nad miłością.

Jakiś czas po naszym powrocie zadzwoniła do mnie matka Mary Gould i przeprosiła za jej zachowanie. Sama Mary nie odezwała się, ale nie powiem, żebym za nią tęsknił. Dowiedziałem się natomiast, że niewiele później Izaak doszedł do wniosku, że nie da sobie rady z dziećmi, i sam odesłał synów do matki do Australii.

Uznaliśmy z Loganem, że zachowanie Mary było dziwaczne, jednak to nie ona, a nasz nowy klient, Sven Ullrich, wyznaczył standardy szaleństwa. Im bardziej zbliżaliśmy się do wywiezienia jego syna z odludnego zakątka Filipin, tym skuteczniej narażał nas na niebezpieczeństwo.

Portret artysty

Sven Ullrich pojawił się w mediach jako znany artysta na początku lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Jako twórca miał wzloty i upadki - jakże charakterystyczne dla ludzi sztuki. Zawodowe porażki nie przygotowały go jednak na ból związany z rozpadem małżeństwa. W efekcie ten inteligentny i wrażliwy mężczyzna nie poradził sobie z nieprzypadkowym „zniknięciem” swojej żony i syna, przez co bez skrupułów wielokrotnie naraził mnie i Logana Clarke'a na niebezpieczeństwo. Zlecone przez niego zadanie okazało się najkosztowniejsze spośród tych, nad którymi pracowałem. Dwa lata poszukiwań wyciągnęły z kieszeni szwedzkich podatników półtora miliona dolarów, co stanowiło najwyższą sumę w historii tego kraju. Nikt wcześniej nie otrzymał od państwa pomocy w takim wymiarze jak on!

Sven był artystą - podobno geniuszem. Pracował z różnymi materiałami, od płótna do taśm wideo. Od początku kariery zachwycał krytyków, a w rodzinnej Szwecji odniósł również sukces komercyjny. W latach osiemdziesiątych

przyjechał do Australii. Podczas pobytu w Sydney poznał Eve Montez. Dziewczyna pochodziła z bogatej i wpływowej filipińskiej rodziny, powiązanej w ojczystym kraju z prominentnymi politykami.

W Australii ukończyła studia na Wydziale Administracji i pracowała jako sekretarka. Po kilku latach pobytu w Sydney otrzymała australijskie obywatelstwo.

Była katoliczką. Wprawdzie Sven nie podzielał jej przekonań religijnych, mimo to w 1988 roku zgodził się na ślub w kościele i zamieszkał na antypodach. Miał wówczas pięćdziesiąt jeden lat, a jego żona trzydzieści dziewięć.

- Było cudownie - wspominał pierwsze lata małżeństwa w wywiadzie, którego udzielił dziennikarce gazety „Manila Times” w 1994 roku. - Eve wydawała mi się najbardziej szczerą i otwartą osobą, jaką kiedykolwiek poznałem. Myślałem, że wygrałem los na loterii.

W 1989 roku para przeprowadziła się na północ stanu Queensland, zamieszkali w tropikalnym Currajong, na przedmieściach Townsville. Z radością wyczekiwali pierwszego dziecka. Ten lekko przygarbiony, ale zawsze elegancki skandynawski intelektualista był zakochany po uszy w swojej pięknej żonie. Myśl, że zostanie ojcem, napawała go dumą. Lubił ustawiać kamerę na statywie i filmować, jak głaszcze brzuch ciężarnej żony. Byli naprawdę szczęśliwi.

Kiedy jego syn Benny przyszedł na świat - 21 października 1989 roku w szpitalu w Townsville - Sven praktycznie nie odstępował Eve i nie odkładał kamery. Z ogromnym przejęciem filmował żonę tulącą w ramionach pomarszczone małe dziecko. Te sceny są, moim zdaniem, równie wzruszające, co najbardziej romantyczne obrazy wiszące obok dzieł

Svena w prestiżowych galeriach. Sven nakręcił mnóstwo taśm wideo dokumentujących pierwsze lata życia Benny'ego. Niestety z czasem radość w domu Ullrichów zmąciły gorzkie dyskusje religijne.

Religia miała dla Eve bardzo duże znaczenie. Kobieta wierzyła we wszystko, co napisano w Biblii, i starała się żyć według zasad wiary. Prawdopodobnie należała do wspólnoty neokatechumenalnej, ponieważ modliła się z uniesionymi rękami. Wierzyła też, że Duch Święty może zesałać na człowieka dar mówienia różnymi językami oraz leczenia chorób. Modliła się o taką łaskę. Oczywiście chciała ochrzcić syna, na co Sven - opisujący się jako „humanista” - wyraził zgodę. Sprzeciwił się natomiast, kiedy żona regularnie zaczęła zabierać syna do kościoła na msze.

Ten szwedzki intelektualista uważał, że religia to sprawa osobista. Chłopiec powinien sam zdecydować o swojej wierze, gdy dorośnie. Zamierzał wychować Benny'ego na człowieka tolerancyjnego i otwartego na różne kultury i religie. Już po rozstaniu z Eve - w rozmowie z dziennikarką gazety „Manila Times” - Sven wyznał, że nigdy nie zabraniał żonie praktykowania wiary, ale to nie znaczy, że syn musi być wychowywany w wierze matki.

- Jej wiara była jej sprawą - podkreślał w wywiadzie. - Chodziła do kościoła, kiedy tylko miała na to ochotę. Powtarzałem jej jedynie: „To twoja religia. Ja wierzę w co innego. Musimy szanować swoje przekonania”.

Kilka lat później Sven mógł jedynie narzekać.

- To przez religię nie mogę widywać własnego syna. Tak nie powinno być!

Jednak Eve pozostała nieugięta. Jej brat wyznał dziennikarce z „Manila Times”, że z czasem różnice religijne stały się główną przyczyną sporów między małżonkami. Mimo że Sven Ullrich był kochającym mężem i ojcem i dość długo walczył o uratowanie małżeństwa, związek z Eve rozpadł się na dobre.

Wcześniej doszło do kilku burzliwych rozstań i powrotów na krótko. W 1990 roku, po kolejnej awanturze, Eve uciekła z synem na kilka dni z Townsville. Po raz pierwszy zagroziła wówczas, że Sven nie zobaczy już syna. Nie zwrócił wtedy na to uwagi.

Podczas ostatniej próby uratowania małżeństwa, w maju 1993 roku, Sven zabrał rodzinę do Oskarströmu, spokojnej nadmorskiej wioski leżącej na południu Szwecji. Miał nadzieję, że łagodny krajobraz zatoki Kattegat na Morzu Północnym oraz leniwej rzeki Nissan uleczy ich związek. Małżonkowie mieli dla siebie dużo czasu, gdyż Benny kilka godzin dziennie spędzał w miejscowym przedszkolu.

Po trzech miesiącach Eve zapytała męża, czy może pojechać z Bennym na trzy tygodnie do swojej siostry do Stanów Zjednoczonych. Sven nie widział problemu. 17 sierpnia odwiózł ich na lotnisko, pożegnał się z żoną i Bennym, wyciął ich i długo machał na pożegnanie.

Siostra Eve mieszkała w Princeton, w bliskim sąsiedztwie prestiżowego uniwersytetu. Eve i Benny rzeczywiście polecili do niej, a kiedy odpoczęli po długiej podróży, Eve napisała do Svena list. Nie było to wyznanie miłości. Wręcz przeciwnie, Eve napisała, że pobyt w Szwecji przekonał ją, że ona nie pasuje do jego świata i źle się w nim czuje. W związku z tym podjęła decyzję, że już do niego nie wróci.

Sven zrozumiał, że klamka zapadła. Ich związek został „ostatecznie zniszczony”. Jego zdaniem zawinił fanatyzm. Rodzina żony znienawidziła go za próbę wychowania chłopca w duchu tolerancji religijnej.

- Tu nie chodziło o wiarę, lecz o dominację - powiedział w wywiadzie dla „Manila Times”. - Chodziło o przewagę jednego autorytetu nad innymi. Taki brak otwartości na innych uważam za rodzaj duchowej amputacji - skarżył się z żalem. - Oni chcieli za wszelką cenę uratować duszę Benny'ego. Nie wzięli pod uwagę faktu, że powinienem mieć wpływ na wychowanie swojego syna.

Za pośrednictwem adwokata Sven złożył wniosek do sądu w New Jersey o oddanie chłopca. Podczas posiedzenia 23 września 1993 roku amerykański sąd przyznał mu pełne prawo do opieki nad dzieckiem. Wydał również nakaz aresztowania żony Svena i przeszukania domu jej siostry. Jednak Eve i Benny'ego nie było już w Princeton. I nikt nie wiedział, gdzie przebywali.

Kiedy Sven Ullrich przyjechał do Stanów Zjednoczonych, żeby zeznawać przed sądem, z Eve skontaktowały się szwedzkie władze. Poinformowały ją o obowiązku — powołując się na postanowienia konwencji haskiej - przywiezienia dziecka do Szwecji. W odpowiedzi na groźby szwedzkich urzędników, Eve spakowała się, zabrała syna i wyjechała w nieznanym kierunku. Sven podejrzewał, że jego żona zatrzymała się u swojego brata w Kalifornii, skąd będzie próbowała uciec na Filipiny. Domagał się podjęcia szybkich kroków, żeby uniemożliwić jej wyjazd z synem. W sprawę zaangażowały się FBI i Interpol, lecz bez powodzenia. Eve po prostu zapadła się pod ziemię. A z nią Benny.

Sven bardzo cierpiał; nie umiał sobie poradzić z tęsknotą za synem. Postanowił go odszukać, lecz trudno mu było znaleźć kogoś, kto podjąłby się tego zadania. Szkopuł tkwił w tym, że najprawdopodobniej należało szukać jego żony na Filipinach. Wśród moich kolegów z WAD krążyły legendy o skorumpowanej i bezwzględnej filipińskiej policji. Jeśli sprawa dotyczyła sfery władz - a rodzina Eve Mendez była powiązana z prominentnymi politykami - można było nawet zginać. To skutecznie zniechęcało prywatnych detektywów.

Szwedzki artysta wpadł w depresję. Każdemu, kto był wystarczająco cierpliwy, opowiadał swoją historię. Ponieważ Benny urodził się w Australii i miał australijskie obywatelstwo, starał się przekonać władze w Canberze, śląc list za listem, do nawiązania współpracy ze szwedzką i z amerykańską administracją, żeby wywarły presję w jego sprawie na filipiński rząd. Napisał nawet do Paula Keatinga, ówczesnego premiera Australii, oraz Leneena Fordea, gubernator stanu Queensland. Podobnie jak inni rodzice w takiej samej sytuacji, szybko uświadomił sobie przykrą prawdę - właściwie nie było instytucji, do których mógłby się zwrócić o pomoc.

W odpowiedzi na listy Svena rzecznik australijskiego prokuratora federalnego, Michael Lavarch, stwierdził tylko, że w sprawach spornych między rodzicami odzyskanie dziecka z kraju, który nie podpisał konwencji haskiej, jest „ekstremalnie trudne”. Stanowisko rządu było jasne: mimo że Benny był obywatelem australijskim, rząd nie zamierzał zająć się sprawą, ponieważ chłopiec został porwany ze Szwecji, a na Filipiny trafił przez Stany Zjednoczone.

- Australijskie władze włożyły sprawę porwania Bennyego do koszyka z napisem „zbyt trudne” - skomentował wypowiedź australijskiego prokuratora Sven.

Przez kolejne sześć miesięcy Sven zrobił wszystko, co mógł, żeby się zbliżyć do syna. Zatrudnił na przykład szwedzkiego prawnika z cenionej kancelarii adwokackiej, który ustalił jedynie, że Benny ma się dobrze. Według tego adwokata Sven mógł liczyć co najwyżej na wiadomość o zdrowiu dziecka oraz jego zdjęcie raz do roku. Odmówiły mu również pomocy dwie znane kancelarie prawnicze z Manili. Z powodów... etycznych. „Sumienie nie pozwala mi zająć się tą sprawą - napisał w lutym 1994 roku filipiński prawnik Eduardo Ceniza. - Gdybym ją wygrał, dziecko trafiłoby do niechrześcijańskiego domu i wychowywałoby się w niewierzącej rodzinie”.

Wysiłki Svena przynosiły czasem niepożądane skutki. W Stanach Zjednoczonych i Szwecji wydano nakazy aresztowania Eve, mimo że Sven o to nie wnioskował. Wręcz przeciwnie, nawet nie chciał, żeby żona trafiła do więzienia. Marzył o ugodowym rozwiązaniu sprawy. Nie chciał też ograniczać kontaktów syna z matką. Uważał to za nieludzkie.

- Chciałem mieć tylko udział w jego wychowaniu - twierdził konsekwentnie.

Żadnych rezultatów nie przyniósł też list wysłany do papieża.

Sven ponosił porażkę za porażką. Niepowodzenia niszczyły go psychicznie. Uświadomił sobie w bolesny sposób, że wyrok sądu nic nie znaczy, jeśli nie można go wyegzekwować. Jego syn dołączył do tysięcy dzieci każdego roku wywożonych do krajów, w których nie obowiązywały międzynarodowe

umowy. Mimo że i w australijskim, i w amerykańskim sądzie przyznano mu prawo do opieki nad Bennym, nie mógł zrealizować postanowienia, ponieważ Eve uciekła na Filipiny, gdzie postanowienia obcych sądów nie miały mocy prawnej. Tym samym Sven Ullrich stał się kolejną ofiarą urzędniczej nieskuteczności.

Zdecydował się sięgnąć po ostatnią deskę ratunku i... wynająć detektywa. Przyszedł do mojego biura przy George Street w Brisbane na początku 1994 roku i opowiedział mi swoją historię. Był wówczas szczupłym mężczyzną przed sześćdziesiątką, o inteligentnej twarzy i z lekko siwiejącymi włosami. Sińce pod oczami świadczyły o jego dużym zmęczeniu. Nie miałem wątpliwości, że każdego dnia przybywało mu zmarszczek.

Sven przyznał otwarcie, że jest bezrobotnym artystą, ale że kiedyś cieszył się w Szwecji sporym uznaniem. Nie miał majątku ani etatu, otrzymywał za to pomoc od szwedzkiego rządu, który gwarantował swoim obywatelom świadczenia socjalne od kołyski aż po grób. Dzięki rozbudowanemu systemowi podatkowemu w Szwecji nikt nie chodzi głodny. Oprócz zasiłków dla potrzebujących, darmowej opieki medycznej oraz szczodrych emerytur rząd gwarantował wówczas swoim obywatelom również pomoc prawników i - jak w przypadku Svena - był gotowy wydać każdą sumę, byle tylko Benny trafił pod opiekuńcze skrzydła ojca.

Mężczyzna zwrócił się do mnie, ponieważ żaden detektyw nie potrafił lub nie chciał mu pomóc. Postawiłem jeden warunek: musi również wynająć Logana Clarkea. Nie tylko dlatego, że Logan doskonale znał się na swojej robocie. Wiele lat temu Logan Ciarke pracował dla CIA na Filipinach.

Prowadził bar w pobliżu amerykańskiej ambasady w Manili i świetnie znał miejscowe zwyczaje oraz układy. Myślałem, że to gwarantuje powodzenie misji. Nie przewidziałem jednak niespodzianek, które szykował Sven.

Kiedy pierwszy raz Sven przyszedł do mojego biura, opowiedział mi o swojej ostatniej rozmowie telefonicznej z synem. Mówił z wielkim zaangażowaniem. Ten postawny mężczyzna wydał mi się wtedy słaby i bezradny. Zrobiło mi się go zwyczajnie żal.

Jego ostatnia rozmowa z synem miała miejsce 10 września 1993 roku, niedługo po wyjeździe Eve i Benny'ego do Princeton. Eve nie tylko wysłała list, ale również zadzwoniła do niego, aby mu powiedzieć, że nie zamierza wrócić do Szwecji. Pozwoliła mu wtedy porozmawiać z synem. Okazało się, że skorzystała z telefonu w szpitalu w Princeton, do którego Benny trafił na ostry dyżur. Sven był tak zaskoczony, że w pierwszej chwili nie potrafił wydusić słowa.

- Papa - Benny odezwał się pierwszy (według Svena zawsze mówił „papa” zamiast „tata”). - Mama mnie dziś ukarała. Mam gorączkę. Jestem teraz w szpitalu. Prześwietlali mnie dwa razy. Raz płuca, a raz złamaną rękę.

- Złamaną rękę? - Sven zapytał syna. - Ale dlaczego? Co się stało?

Benny nie odpowiedział. Dodał tylko.

- Kocham cię, papa.

- Ja też cię kocham, synu - powiedział czule Sven. - Bardzo cię kocham i zobaczymy się w niedzielę.

- Nie, papa, nie zobaczymy się w niedzielę. Nie zobaczymy się bardzo, bardzo długo.

Benny miał bardzo smutny głos, kiedy to mówił.

Sven wystraszył się do tego stopnia, że poczuł, jakby w gardle utkwił mu kamień.

- Nie zobaczymy się, bo mi cię zabierają? Chcą cię porwać?! - krzyknął, ale rozmowa została przerwana.

Od tej pory Sven myślał nie tylko o swojej tęsknocie i samotności, ale również o traumie, jaką przeżywał jego syn. Być może posypał solą jego rany, mówiąc o porwaniu, ale był w takim szoku, że nie rozumował logicznie.

- Pewnie nie powinienem mówić dziecku, że chcą go porwać - zwierzył mi się. - Ale zareagowałem odruchowo. Dziś nie wiem nawet, czy chłopiec żyje. Nie mam na to żadnego dowodu, żadnej sprawdzonej informacji. Jestem przekonany, że rodzina Eve usiłuje wymazać mnie z jego pamięci. Zastanawiam się tylko dlaczego. Przecież nie jestem złym człowiekiem. Nie potrafię zapomnieć o synu. Myślę o nim w każdej minucie, a nawet każdej sekundzie mojego życia.

Sven nie podejrzewał, żeby to żona złamała synowi rękę. Uważał, że to musiał być wypadek. Według niego Eve była troskliwą matką i dbała o dziecko. Mimo wszystko przeżywał cierpienia syna, a zwłaszcza to, że nie mógł mu w żaden sposób pomóc.

Eve i Benny zapadli się pod ziemię. Podejrzewaliśmy, że ukrywali się na Filipinach. Tylko w jeden sposób można się było o tym przekonać. Wieloletnie doświadczenie zawodowe podpowiadało nam, że powinniśmy dotrzeć do rodziny Eve lub jej przyjaciół. Ludzie, którzy się ukrywają, z reguły nie zmieniają przyzwyczajzeń i kontaktują się z bliskimi osobami. Już niejednokrotnie w ten sposób docieraliśmy

do porwanych dzieci - ktoś wysłał list, ktoś inny zadzwonił. Eve miała rodzinę na Filipinach, w Stanach Zjednoczonych i Australii, więc zaczęliśmy obserwować pięć różnych domów w tych krajach. Pracownicy naszych agencji - mojej i Logana - zakładali gumowe rękawiczki i udawali śmieciarzy. Dwóch ludzi Logana pojechało na Filipiny, trzeci grzebał w śmieciach wyrzucanych z domu siostry Eve w Princeton. Ja kilka razy poleciałem do Sydney, żeby przeszukać śmietniki obok budynku, w którym mieszkała jej druga siostra, a Logan „pracował” przed domem jej brata w kalifornijskim Tustin, około czterdzieści minut jazdy od Los Angeles.

Przeszukiwanie śmieci nazywaliśmy „śmieciologią”. Dowiadaliśmy się w ten sposób mnóstwa niepotrzebnych rzeczy, ale zwykle zdobywaliśmy też bardzo przydatne informacje. W śmieciach z domu w Tustin, wśród zgniłych pomidorów, pustych puszek po gotowanej fasoli, skorupki z jajek, fusów z kawy i śmierdzących rybich łbów Logan znalazł podarte kartki, wyglądające na listy lub dokumenty, z których usunięto adresy. Potwierdziło to naszą teorię, że najprawdopodobniej rodzina znała miejsce pobytu Eve i dziecka. Wiedzieliśmy, że zbliżamy się do celu. Montezowie utrzymywali bowiem, że nie mają pojęcia, gdzie kobieta się ukrywa. Dowody świadczyły przeciwko nim.

Po powrocie do domu Logan z pomocą żony złożył zniszczone papiery w całość niczym puzzle. Były to listy. W jednym nadawca listu - uważaliśmy, że to Eve - opisał swojemu bratu program telewizyjny oglądany niedawno w filipińskiej telewizji. Bohaterem programu był rodzic porywacz sprytnie oszukany przez detektywów, ponieważ nieopatrznie wyjawiał, gdzie znajduje się dziecko. No cóż, tak bywa. W innym liście,

z 8 października 1994 roku, wyciągniętym ze śmieci przez naszego człowieka w Princeton, Eve informowała siostrę, że Sven złożył wniosek o rozwód. Dodała też, że sprawy zaszły zdecydowanie za daleko. Kobieta wiedziała, że jeśli kiedykolwiek opuści Filipiny, zostanie aresztowana za porwanie syna. Modliła się, żeby władze szwedzkie oddaliły wszystkie zarzuty wobec niej, wniesione na mocy postanowień konwencji haskiej. Eve przyznała też w liście, że była trochę samolubna i popełniła kilka błędów. „Atutem Svena jest to, że działał zgodnie z prawem i został uznany za stronę poszkodowaną, choć według mnie złamał obietnicę wychowania naszego dziecka w chrześcijańskiej wierze” — pisała do siostry. Po czym dodała, że nie chce żyć poza prawem. Pożegnała się błogostawieństwem: „Niech Duch Święty ma Cię w swojej opiece, a Święta Maria chroni Cię na co dzień”.

Zdobyliśmy prawie pewność, że Eve przebywa na Filipinach. Kwestią czasu było ustalenie dokładnego adresu. Poznaliśmy go szybciej, niż się tego spodziewaliśmy. Logan i Dona w śmieciach wyrzuconych z domu jej siostry w Princeton znaleźli zapisane skrawki papieru: kolejny list od Eve podarty na 82 kawałki. Udało się go złożyć. Zawierał cenną informację. Eve i Benny zatrzymali się w domu swojego wuja w dzielnicy mieszkaniowej Quezon City, na obrzeżach Manili. Osiedle nazywało się Paranaque, co oznacza: „Stój, chłopie”. Nazwa pochodziła z czasów, gdy ludzie korzystali tam z powozów konnych.

Eve i Benny mieszkali w posiadłości otoczonej betonowym murem wysokim na trzy metry i zwieńczonym drutem kolczastym. Pilnowali jej uzbrojeni ochroniarze. Byli wśród nich zarówno zawodowi żołnierze, jak i najemnicy,

w każdym razie ludzie dostatecznie twardzi, żeby odstraszyć potencjalnych włamywaczy. Ochroniarze nosili amerykańskie karabiny automatyczne. Można z nich było trafić człowieka w głowę z odległości stu metrów. Frontalny atak na dom byłby więc zbyt ryzykowny zarówno dla nas, jak i dla Eve i Benny'ego. Mimo to uznaliśmy pierwszy etap śledztwa za zakończony powodzeniem - dowiedzieliśmy się bowiem, gdzie Eve i Benny mieszkają.

Rodzinna fortuna oraz powiązania polityczne osłaniały Eve przed prawem i uniemożliwiły jej aresztowanie zarówno na Filipinach, jak i w Stanach Zjednoczonych. My jednak postanowiliśmy doprowadzić do odzyskania dziecka za pomocą legalnych środków, takich jak na przykład deportacja. Domagaliśmy się jej powrotu z synem do Szwecji. (Co prawda Sven miał również obywatelstwo australijskie, ale dziecko porwano ze Szwecji). Jednak wydostanie kobiety spod opieki uzbrojonych ochroniarzy, wynajętych przez jej krewnych, było równie łatwe, co wykradzenie Mony Lizy z Luwru. Rodzina Montezów miała koneksje zarówno w wojsku, jak i policji. Na pewno dużo zapłacili komu trzeba za skuteczną ochronę. Według naszych informacji byli zdecydowani nawet na to, by wynająć w razie potrzeby płatnego zabójcę. Dlatego kolejne wnioski o aresztowanie Eve składane do sądu w Manili po prostu ginęły - podobno w natłoku innych dokumentów.

W Manili nie tylko śledztwo okazało się ryzykowne. Równie niebezpieczne było poruszanie się po wąskich uliczkach i zatłoczonych chodnikach azjatyckiej metropolii, która liczyła wówczas 16 milionów mieszkańców. Codziennie

narażaliśmy życie, próbując po prostu przejść przez ulicę. Nie obowiązywały tam żadne przepisy ruchu. Pierwszeństwo mieli więksi, silniejsi i szybsi. Pieszy mógł być tylko zwinny. Stale więc musieliśmy uskakiwać w ostatniej chwili przed pędzącymi rikszami z silnikiem, zwanymi tuk-tukami, motocyklami oraz autobusami pomalowanymi na jaskrawe kolory i z lusterkami obwieszonymi portretami Jezusa, a zapchanymi do granic możliwości.

Mimo licznych przeciwności losu w kwietniu 1995 roku - rok po rozpoczęciu śledztwa - mieliśmy rozpracowany każdy ruch Eve. Ustaliliśmy, gdzie się uczy Benny, i poznaliśmy jego nauczyciela. Wiedzieliśmy, kto odwozi go do szkoły, w jakie dni i o której godzinie, a także kto go odbiera. Wiedzieliśmy nawet to, że chłopiec zabierał ze sobą kilka zabawek, w tym uzbrojonych kowbojów, których strzegł jak oka w głowie.

Codziennie obserwowanie posesji Montezów było trudne i niebezpieczne. W pobliżu znajdowało się dziesięć lub dwaście podobnych posiadłości, które bardziej przypominały małe fortece niż domy mieszkalne. Wszędzie kręcili się ludzie z bronią. I nie byli to emeryci, jak w supermarketach, tylko ludzie, którzy nie zawahaliby się pociągnąć za spust, gdyby było trzeba. Sowiec im za to płacono.

Wiele razy widzieliśmy, jak na teren posiadłości Montezów wjeżdża mercedes o przyciemnionych szybach, ale nie mieliśmy pojęcia, kto siedzi w środku. Szybko się przekonaliśmy, że śledzenie tego samochodu to ryzykowne zajęcie, nie mówiąc o próbie zrobienia zdjęć. Kiedy pojechaliśmy tam pierwszy raz i zaparkowaliśmy w pobliżu, już po pięciu minutach wzbudziliśmy zainteresowanie uzbrojonych ochroniarzy.

Jeden zapukał w szybę, a kiedy uchyliliśmy okno, zapytał, z jakich powodów mieliby nas - mówił w imieniu kolegów uzbrojonych w takie same karabiny - nie zastrzelić. Nie było wyjścia, natychmiast odjechaliśmy.

Staraliśmy się przekonać filipińskie władze, że Eve — która kilka lat temu zamieniła filipiński paszport na obywatelstwo australijskie - jest w Manili nielegalnym imigran-tem. Tłumaczyliśmy przedstawicielom prawa, że ucieka przed sprawiedliwością i powinna zostać deportowana, poszukiwały ją przecież FBI, Interpol, szwedzka policja oraz prokuratorzy generalni z Kalifornii i New Jersey. Filipińczyków to nie interesowało. Dla nich mogła być nawet zbiegłym przestępcą. I tak zrobiliby wszystko, by zapewnić jej bezpieczeństwo. Nie przejmowali się Svenem i postanowieniami zagranicznych sądów. Mieli gdzieś nawet to, że Benny bardzo chciał zobaczyć swojego ojca. Wiedzieliśmy, że na drodze prawnej niczego nie wskóramy. Odbicie dziecka wydawało się jedynym skutecznym rozwiązaniem. Tyle że bardzo niebezpiecznym! Po długiej rozmowie z Loganem doszliśmy do wniosku, że na pewno nie obyłyby się bez ofiar.

Sven też znalazł się w niebezpieczeństwie. Z listów Eve, które przechwytywaliśmy, wynikało niezbitcie, że podczas gdy my polowaliśmy na nią, jej rodzina przy pomocy filipińskich przyjaciół śledziła poczynania jej męża. Sven miał skołatane nerwy. Z jednej strony marzył o spotkaniu z synem, z drugiej bał się o własne życie. Kiedy rozmawialiśmy z nim przez telefon, czasami wydawał się spokojny i rozsądny, innym razem zachowywał się jak szaleniec.

- *Znaleźliście go? Gdzie on jest? Obiecaliście, że go znajdziecie!* - krzyczał przez telefon.

Zasugerowaliśmy mu, żeby wrócił do Szwecji i nawiązał współpracę z organizacją rządową, która wspierała go finansowo. Posłuchał naszej rady. Wtedy jego ówczesny prawnik, Bengt Nestrup, wysłał list do prezydenta Filipin Fidela Ramosa, w którym opisał sytuację oraz cierpienia swojego klienta. Podkreślił, że Sven nie chce odebrać żonie syna, a jedynie mieć wpływ na jego wychowanie.

„Każda ze stron kocha to dziecko i chce dla chłopca jak najlepiej - napisał Bengt Nestrup w liście do Fidela Ramosa. - Pan Sven Ullrich nie wątpi w miłość żony do syna. Uważają za dobrą matkę. Chodzi mu jedynie o rzecz wydawałoby się oczywistą. Otóż kobieta swoim postępowaniem uniemożliwiła dziecku kontakt z ojcem. Ta rozłąka trwa już ponad rok!”.

I ta ponadroczna rozłąka odbijała się na zdrowiu Svena. Zaczęło nas niepokoić jego nieprzewidywalne zachowanie. Nasz klient był w coraz gorszym stanie psychicznym. Logan od razu powiedział, że jeśli Sven znajdzie się na skraju wytrzymałości nerwowej, czekają nas prawdziwe kłopoty. Sytuacja była lekko absurdałna: wylądowaliśmy w miejskiej dżungli, gdzie życie było równie cenne co paczka papierosów, ale największe zagrożenie stanowił dla nas mężczyzna, który nas zatrudnił. Losy całej operacji zależały teraz od jego równowagi psychicznej.

A w czym przejawiały się jego problemy z psychiką? Sven zaczął wydzwaniać na Filipiny do domu wuja, w którym zatrzymała się Eve. Były to tak zwane głuche telefony. Wybierał numer, a kiedy ktoś podnosił słuchawkę, nie odzywał się,

tylko czekał w nadziei, że gdzieś w tle usłyszy głos ukochanego chłopca. Rozumieliśmy, jak bardzo tęskni za synem, i współczuliśmy mu, ale zachowując się w ten sposób, narażał nas na niebezpieczeństwo, i utrudniał wykonanie zleconego zadania.

Po wpadce z Mary Gould na Fidżi Terry Carlyon i Michael Rivette, którzy kręcili film o mnie i Loganie, tym razem liczyli na zdjęcia pokazujące nasz szczęśliwy powrót z Filipin. Towarzyszyli nam przez kilka tygodni w poszukiwaniu Eve na Filipinach, a potem pojechali do Szwecji, żeby spotkać się ze Svenem. Przywieźli niepokojące informacje. Mężczyzna był na granicy szaleństwa. Całymi godzinami oglądał film, na którym mały Benny, w krótkiej koszulce i kąpielówkach, słodko się uśmiecha do kamery i mówi: „Kocham cię, papa. Bardzo cię kocham”.

I wciąż dzwonił na Filipiny, mimo że błagaliśmy go, żeby tego nie robił. Na skutki nie trzeba było długo czekać. Eve wpadła w panikę i uciekła z Manili.

Ludzie jak koguty

WAustralii, Stanach Zjednoczonych i większości krajów Europy walki kogutów są zakazane, lecz na Filipinach wciąż się cieszą olbrzymim zainteresowaniem. Nazywają się tu *sabong* i uchodzą za jeden ze sportów narodowych. To niezwykle okrutne widowiska, jedna z ostatnich krwawych rozrywek, jakie pozostały z czasów walk psów i niedźwiedzi.

Ptaki pochodzą ze starannie wyselekcjonowanych ras i przygotowuje się je do występów niczym zawodowych sportowców. Właściciele pracują nad ich wytrzymałością, siłą i agresywnością. Do łap przywiązują im specjalne ostrza i uczą, jak atakować i rozdrapywać przeciwników ku uciesze miłośników lejącej się krwi i hazardzistów. Na Filipinach odbywają się nawet światowe derby kogutów, które fani takich walk uważają za najważniejszą międzynarodową imprezę.

Logan Clarke i ja uznaliśmy, że hałas i harmider panujące na drewnianych trybunach otaczających areny walk kogutów umożliwią nam bezpieczne wręczanie łapówek ludziom

pracującym dla Montezów i odbieranie od nich informacji o Eve i Bennym. Kiedy koguty tańczyły na ringu, atakowały się i raniły przyczepionymi do nóg ostrzami, setki pesos zmieniało właścicieli. Pieniądze bez przerwy krążyły z rąk do rąk. Wręczaliśmy więc koperty wypchane tysiącami dolarów naszym informatorom bez strachu, że wyda się to komuś podejrzanym. Liczyliśmy na to, że później odbierzemy te kwoty od szwedzkiego systemu socjalnego.

W całej Manili było kilkanaście aren walk kogutów. Jedna znajdowała się w Paranaque. Bywaliśmy tam regularnie i za każdym razem pozyskiwaliśmy cenne informacje, choć nieraz serce podchodziło nam do gardła.

Logan odszukał pewnego mężczyznę, z którym zaprzyjaźnił się podczas pobytu w Manili, kiedy pracował dla CIA. Andy - tak się nazywał jego dawny przyjaciel - znał wszystkich skorumpowanych urzędników i oficerów policji w mieście. Od lat pracował na Filipinach jako najemnik. Wielu wysokich rangą wojskowych darzyło go szacunkiem. Jeśli musielibyśmy obejść jakieś przepisy, Andy mógł nam w tym pomóc. Kiedy się zorientowaliśmy, że do odbicia chłopca będziemy potrzebowali uzbrojonych ludzi i sprzętu, skontaktował nas z filipińskim generałem, którego nie interesowało, dla kogo pracuje, byleby zleceniodawca był gotów dobrze zapłacić. Przez tydzień tuż przy arenie, na której zabiły się koguty, w hałasie przekrzykujących się bukmacherów negocjowaliśmy wynajęcie jego żołnierzy i samolotu. Generał przychodził na walki kogutów po cywilnemu i brał od nas pieniądze, jakby był zwykłym hazardzistą, który przed chwilą postawił na właściwego ptaka. Wreszcie za sto dwadzieścia

pięć tysięcy dolarów załatwił nam piętnastu swoich najlepszych ludzi oraz prywatny śmigłowiec prezydenta Fidela Ramosa - domyślaliśmy się, że nie pytał właściciela maszyny o zgodę.

Pojawiły się jednak komplikacje. Któregoś dnia przy arenie w Paranaque, kiedy kolejnego zamęzonego koguta podnoszono z betonowej podłogi, a bosy chłopiec splukiwał jego zakrwawione pióra do kanału ściekowego, dowiedzieliśmy się nieoczekiwanie, że żołnierze generała, owszem, chętnie nam pomogą odbić Benny'ego, ale nie wyobrażają sobie, że mogliby odseparować dziecko od matki. Jeśli chcemy go porwać do Szwecji, to tylko razem z matką. A my wiedzieliśmy doskonale, że to było niemal niewykonalne. Już samo porwanie Benny'ego z rąk otaczających go ochroniarzy stanowiło nie lada wyzwanie. Wywiezienie Eve wbrew jej woli zamieniało naszą misję w świetnie zaplanowane... samobójstwo.

Jednak żołnierze nie zamierzali ustąpić. Obawiali się, że jeśli kobieta zostanie w kraju, prędzej czy później pozna nazwiska osób zaangażowanych w operację, a wówczas wszyscy oni zapłacą straszną cenę.

Musieliśmy działać w pełnej konspiracji, skuteczniej niż Eve, która unikała kolejnych wniosków o aresztowanie. Czuliśmy ogromne napięcie. Coraz częściej urzędnicy lub wojskowi, poproszeni o jakieś informacje, odmawiali nam pomocy, otwarcie mówiąc, że boją się pokazywać w naszym towarzystwie. Mimo to nikt nigdy nie odmówił przyjęcia pieniędzy.

Niektóre moje poprzednie zlecenia były naprawdę proste. Czasem wystarczyło pojechać po dziecko do szkoły lub w obecności rodzica zabrać je z ulicy - na tym polegało moje

pierwsze zadanie, które przyjąłem w 1974 roku od Alistaira McCarthyego. Praca na Filipinach zupełnie ich nie przypominała, choć w miarę upływu czasu patrzyłem w przyszłość z coraz większym optymizmem.

Początkowo próbowaliśmy działać zgodnie z prawem. Zamierzaliśmy zmusić miejscowe władze do aresztowania Eve - była przecież nielegalnym imigrantem i osobą ściganą przez policję Szwecji i Stanów Zjednoczonych. Kiedy się to nie powiodło, zaczęliśmy się zastanawiać, w jaki sposób przerzucić ją wraz z synem do Hongkongu. Problem w tym, że wynajęci przez nas żołnierze zaczęli się denerwować. Na arenie łała się krew (kogucia), dookoła wrzeszczał tłum widzów, a wynajęci przez nas żołnierze dyskutowali, czy po akcji nie będą zmuszeni uciekać z kraju. Musieliby jeszcze wyjaśnić prezydentowi Ramosowi, dlaczego jeden z jego samolotów został bez jego zgody, a nawet wiedzy, wykorzystany podczas nielegalnej ekstradycji.

Powoli zbliżaliśmy się do elitarnego kręgu rodziny Montezów. Jednocześnie oni zbliżali się do nas. Jeden z naszych filipińskich współpracowników pokazał nam zdjęcie Svena, które zostało wycięte z fotografii rodzinnej przedstawiającej również jego żonę i syna. Podobne fotografie dostało trzech najemników zatrudnionych przez rodzinę Eve. Mieli zabić mojego klienta natychmiast, gdyby tylko się pojawił w pobliżu posiadłości Montezów albo gdyby zbliżył się do Benny'ego na ulicy.

Nic dziwnego, że zależało nam na zachowaniu naszych zamierzeń w zupełnej tajemnicy. Niestety zawodził w tym Sven. Bez przerwy wydzwaniał do Montezów i czekał przy słuchawce, licząc na to, że usłyszy głos syna. Co gorsza, czasami

się odzywał, żeby zasugerować osobie, która odebrała telefon, że Benny lada dzień wróci do Szwecji. Jego nieodpowiedzialne zachowanie narażało nas na niebezpieczeństwo.

- On zaczął wysyłać faksy! - poinformował mnie pewnego ranka Logan, kiedy jedliśmy śniadanie w hotelu Manila InterContinental. - Jeśli powie byłej żonie, że wysłał nas po syna, nasze plany wezmą w łeb.

Logan zadzwonił do Szwecji i zaczął wprost błagać Svena, żeby się opanował. Wyjaśnił mu, że jeśli rzeczywiście chce zobaczyć syna, musi nam zaufać i nie przeszkadzać w pracy. Oczywiście próbował go uspokoić.

- Nasza akcja dojdzie do skutku - obiecał Svenowi Logan. - Spróbuj zachować cierpliwość. Jesteśmy na ostatnim etapie przygotowań i już niedługo zobaczymy się w Szwecji. Przywieziemy ci syna. Na razie przygotowujemy się do odbicia go. Współpracujemy z WAD, Interpolem i policją królewską z Hongkongu.

Jednak przebywający w Oskarström mężczyzna był sceptyczny.

- Czy zobaczę Bennyego przed końcem miesiąca? - dopytywał się niecierpliwie.

- Mam nadzieję - odpowiedział Logan. - Czekamy tylko na nadarzącą się okazję.

W skład floty powietrznej będącej w dyspozycji prezydenta Filipin wchodzi kilkanaście śmigłowców przeznaczonych do różnych zadań. Podczas tej operacji przekonaliśmy się o ich przydatności. Dobrze, że pozyskaliśmy kogoś, kto mógł swobodnie korzystać z tego sprzętu - myślę oczywiście o skorumpowanym generale.

Nasz informator dowiedział się, że Eve - nękana telefonami przez Svena - spakowała się i wyjechała gdzieś z synem. Szybko ustaliliśmy, że przeniosła się do Roxas City, miasta położonego na północno-wschodnim krańcu wyspy Panay, jakieś osiemset kilometrów na południe od Manili. Próbowaliśmy się nam wymknąć, na szczęście, bez powodzenia. Wkrótce - dzięki wpływom naszego generała - lecieliśmy helikopterem nad rozległymi polami ryżowymi i gęstą dżunglą. Wypatrywaliśmy nowej kryjówki Eve, która kolejny raz zatrzymała się u przyjaciela rodziny Montezów, człowieka bogatszego niż jej wuj w Paranaque.

Kiedy przelatywaliśmy nad jego posiadłością, filmowałem wszystko z góry kamerą z potężnym zoomem. Ludzie na ziemi zauważyli prezydenckie symbole i zaczęli do nas machać. Pewnie myśleli, że na pokładzie znajduje się ich przywódca. Na szczęście nie widzieli nas dokładnie i nie znali naszych zamiarów. Gdyby tylko udało się nam pokonać bariery prawne... Niestety zdobycie nakazu rewizji w posiadłości w Roxas City było niemożliwe. Nawet gdyby do tego doszło, Eve zdążyłaby zabrać Bennyego i znowu z nim uciec.

Rozważyliśmy możliwość przeprowadzenia akcji typu „usiądź, złap i uciekaj”.

- A może by tak po prostu wylądować i z zaskoczenia porwać Bennyego? - kombinował Logan.

- Okej, lądujemy. I co dalej? - zapytałem. - W okolicy mieszka kilku innych polityków i wojskowych. Przecież roi się tu od ich uzbrojonych w niezłe karabiny ochroniarzy. Co zrobimy, jeśli zaczną strzelać?

Odrzuciliśmy ten pomysł.

W wolnych chwilach rozmyślałem o Bennym. Było mi go szkoda. Chłopak właściwie nie miał dzieciństwa. Wciąż uciekał. Od przyjazdu na Filipiny nie tylko nie rozmawiał z ojcem, ale również nie chodził do szkoły. Często się przeprowadzał. Teraz mieszkał wprawdzie w luksusowych warunkach, ale jednak znowu w ukryciu. To nie był jego dom ani jego rodziny. Ciągłe nie w swoim domu, ciągle w kryjówce - to musiało być dla niego niezwykle trudne. Chętnie pomógłbym temu małemu chłopcu, którego uśmiechniętą, niewinną twarz znałem jedynie z taśm Svena. Gdybym wcześniej miał jakiegokolwiek wątpliwości natury moralnej związane z akcją, z pewnością rozwiązałyby je sytuacja, w której Benny obecnie się znajdował. Oddanie go ojcu wydawało się najkorzystniejszym dla chłopca rozwiązaniem. Dawało mu szansę na normalne życie, a dla jego rodziców stałoby się, być może, okazją do ugodowego rozwiązania ich sporu. Dlatego porwanie go uważałem za ostateczność i nie ustawaliśmy w staraniach, żeby rozwiązać sprawę w sposób legalny.

Tymczasem system prawny na Filipinach okazał się równie nieprzenikniony co mury strzeżonych willi, w których ukrywała się Eve. Po wielu miesiącach lobbingu wywalczyliśmy nakaz jej aresztowania, jednak miejscowe władze odmówiły wyegzekwowania tego wyroku. Wiedzieliśmy, że kolejny raz urzędnicy i policjanci przestraszyli się pieniędzy oraz wpływów rodziny Montezów.

Zadzwoniliśmy więc do Bengta Nestrupa, prawnika Svena. Liczyliśmy na to, że przekona szwedzką administrację do wywarcia presji na filipiński rząd, co umożliwiłoby aresztowanie Eve. Wnioskowaliśmy też w Australii o unieważnienie jej paszportu. Bez niego nie miałyby prawa przebywać w Roxas City.

Bengt Nestrup był pragmatycznym człowiekiem. Wierzył, że gdyby Eve złożyła pozew o separację i walczyła o syna przed sadem, prawdopodobnie otrzymałaby prawo do opieki nad nim. Oszczędziłaby wtedy Bennyemu niepotrzebnego stresu, a szwedzkim podatnikom półtora miliona dolarów. Dlatego zależało mu na jak najszybszym doprowadzeniu sprawy do końca, jednak ciągle napotykał na problemy, z którymi i my się borykaliśmy. Po dwóch latach batalii prawnych i grania na zwłokę drugiej strony postanowiliśmy zmienić metody działania.

Kontrast między biednymi mieszkańcami Filipin, z trudem walczącymi codziennie o przeżycie, a bogatymi członkami rodziny Montezów był rażący. Jednak nawet oni nie zachowywali się tak ekstrawagancko, jak Imelda Marcos, która czasami towarzyszyła nam podczas śniadań w InterContinentalu w Manili.

Imelda była wdową po niesławnym dyktatorze Ferdinandzie Marcosie. Kiedy w 1986 roku obalono rządy jej męża i jego rodziny, oboje uciekli na Hawaje. Ferdinand Marcos zmarł w 1989 roku na wygnaniu, ale Imelda trzy lata po jego śmierci wróciła na Filipiny. Mimo że mieszkała w apartamencie w pobliżu hotelu, każdego ranka przylatywała na dach InterContinentalu śmigłowcem. Nic dziwnego, że w kraju nie była lubiana. Uchodziła za symbol niepohamowanej chciwości i moralnego zepsucia. Nam jednak wydała się przede wszystkim bardzo samotną osobą. Przyjemnie się z nią gawędziło, zwłaszcza że wiedziała o Australii tyle, ile o butach czy drogich futrach. Jej ucieczka z kraju po upadku reżimu męża zainspirowała nas do zaplanowania akcji lotniczej. Kilka lat wcześniej w podobny sposób — śmigłowcem! — wywoziłem

z Meksyku dzieci Herba Stebsona. Zaproponowałem więc Loganowi, żebyśmy zaplanowali podobną akcję do odzyskania Bennyego.

Zaczęliśmy ślęczyć nad mapami. Szybko się zorientowaliśmy, że choć Filipiny pod względem gęstości zaludnienia są dwunastym krajem na świecie, to na większości z siedmiu tysięcy stu siedmiu filipińskich wysp nie mieszka nikt poza małpami. W dodatku wyspy porośnięte są głównie bananowcami, które zapewniłyby idealną kryjówkę dziecku i jego gwałtownie protestującej - w co nie wąpiliśmy - matce. Postanowiliśmy porwać ich w Roxas City i przerzucić na jedną z bezludnych wysp, a stamtąd przewieźć do odległego o półtora tysiąca kilometrów Hongkongu. Chcieliśmy wykorzystać to, że - podobnie jak w Polsce na początku lat dziewięćdziesiątych - sieć dróg na wyspie Panay nie była rozbudowana. Gdyby udało nam się przechwycić Eve i Bennyego oraz zdobyć piętnastominutową przewagę nad ich ochroniarzami, spokojnie zdążylibyśmy się przyczaić w filipińskiej głuszy. Według naszych wyliczeń musieliśmy przeprowadzić całą akcję zaledwie w dwie godziny. Gdyby coś poszło nie tak, ryzykowaliśmy życiem.

Swoich informatorów mieliśmy wszędzie. Jeden z pracujących dla nas oficerów, oczywiście człowiek generała, romanował z pokojówką Montezów i przekazywał nam informacje dotyczące rozkładu dnia Eve. Stale też obserwowaliśmy jej kryjówkę. W końcu potwierdziło się to, co podejrzewaliśmy od początku - bez rozlewu krwi nie da się wejść do rezydencji. Dom był tak chroniony, że trzeba by przeprowadzić normalny wojskowy desant, żeby „wyjąć” kogoś ze środka. Nie mieliśmy

na to ani pieniędzy, ani ochoty. Po takiej zbrojnej interwencji to my zamienilibyśmy się w zwierzynę łowną ściganą nie tylko przez sprzymierzeńców Montezów, ale i prawo. Co robić? Wyjście było jedno - musieliśmy znaleźć sposób, żeby chłopiec wyszedł na zewnątrz. Łatwo powiedzieć!

W 1995 roku Eve otrzymała zgodę na stały pobyt na Filipinach, mimo że była poszukiwana międzynarodowym listem gończym. Nie mieliśmy wątpliwości, że jej rodzina załatwiła sprawę nielegalnie, przez jednego z przekupionych urzędników. Wciąż jednak liczyliśmy na to, że jeśli namówimy rządy Szwecji i Australii do współpracy, jej paszport zostanie unieważniony. Zostałaby wówczas osobą bez obywatelstwa, ściganą przez szwedzkie prawo. Przeprowadzenie takiej procedury było, niestety, niezwykle trudne.

- Australijski rząd zazwyczaj nie unieważnia paszportów swoich obywateli, chyba że wskazana osoba popełniła poważne przestępstwo na terenie naszego kraju - wyjaśnił nam urzędnik z australijskiej ambasady w Manili. - Mogę wam natomiast zasugerować, że Szwedzi powinni poprosić rząd w Canberze o taką przysługę. Przecież kobieta nieustannie podróżuje z dzieckiem, a w Stanach Zjednoczonych i Szwecji wydano nakazy jej aresztowania. Prośba ze Szwecji dałaby naszym władzom pretekst do wszczęcia podobnego postępowania.

Nasze nadzieje zgasła jednak urzędniczka z australijskiego biura prokuratora generalnego, która poinformowała nas, że paszportami zajmuje się departament spraw zagranicznych, a ona wysłała wprawdzie nasz wniosek, ale nie sądzi, żeby został załatwiony pozytywnie, ponieważ powody, które podaliśmy, nie wystarczają, żeby można było unieważnić paszport Eve.

- Skoro jest poszukiwana, do akcji powinna wkroczyć policja albo Interpol - dodała urzędniczka, dając nam do zrozumienia, że zrobiła, co należało do jej obowiązków, i więcej nie zamierza się zajmować tą sprawą.

Bengt Nestrup napisał ostry list do filipińskich władz. Zarzucił im, że nie respektują międzynarodowych umów o ściganiu przestępców. Mieliśmy nadzieję, że pobudzi w ten sposób jakiegoś polityka do działania. Nic z tego. Na jego list nikt nigdy nie odpowiedział. Zrozumieliśmy, że właściwie jesteśmy bezradni, a brak pomocy ze strony ambasad doprowadzał nas do szału. Svena także.

- To przerażające! - zwierzył się naszym filmowcom. - Nie zrozumiecie mojej sytuacji, dopóki nie znajdziecie się w podobnej. Aby pojąć, co czuję, trzeba to samemu przeżyć. Ale nadal jestem gotowy zrobić wszystko, żeby odzyskać Bennyego.

Stres rysował na inteligentnej twarzy Svena kolejne zmarszczki. Wyraźnie szczęśliwy i dumny z syna mężczyzna z taśm wideo zamienił się w przygarbionego siwego starca o udręczonej duszy.

Wydawało się nam, że jesteśmy przygotowani na wszystko, jednak nasz klient zaskoczył nas kolejny raz. Wcześniej narażał nas na niebezpieczeństwo, wydzwaniał do Montezów i strasząc ich, że wynajął ludzi do odbicia Bennyego. Trzynastego stycznia 1996 roku zrobił coś znacznie gorszego. Tym razem zagroził śmiercią ówczesnemu premierowi Szwecji, Ingvarowi Carlssonowi, za co został aresztowany. W szwedzkim dzienniku wieczornym „Aftonbladet” na pierwszej stronie napisano, że pięćdziesięcioośmioletni

artysta „rzucił groźby słowne” pod adresem zwierzchnika rządu. Oskarżono go również o kilka innych przestępstw, w tym o wysłanie faksu, w którym zapowiadał terrorystyczne ataki na filipińskie placówki w Szwecji i poza jej granicami.

Wydawałoby się, że nic głupszego już nie można zrobić, a jednak... Frustracja prowadzi czasem do zupełnie zaskakujących zachowań. Podobnie jak Mary Gould, która w ostatniej chwili zmieniła decyzję i zamiast odebrać mężowi dzieci, ostrzegła go, że ktoś chce je porwać, tak Sven nieoczekiwanie również stał się sojusznikiem byłej żony. Tym razem zadzwonił nie do Montezów, lecz do Logana i... zagroził nam, że poinformuje rodzinę żony o szczegółach przygotowywanej przez nas operacji. Za swoje milczenie zażądał dwadzieścia tysięcy dolarów. Oczywiście natychmiast zgłosiliśmy próbę szantażu policji, a ponieważ rozmowa była nagrywana, z udowodnieniem winy Svena nie było problemów. W efekcie oskarżono go również o próbę wymuszenia okupu od ludzi, których wynajął do odnalezienia syna.

Svena aresztowano w chwili, gdy Bengtowi Nestrupowi udało się namówić Eve i prawników jej rodziny do udziału w międzynarodowej konferencji telefonicznej. Adwokat liczył na to, że kobieta przełamie strach i przyleci do Manili, aby porozmawiać z byłym mężem. Chciał doprowadzić do porozumienia satysfakcjonującego obie strony. Uważał to za najlepsze rozwiązanie, zwłaszcza dla Benny'ego, który od dwóch lat nie widział ojca. Niestety adwokat się przeliczył - Eve nigdzie się nie wybierała.

Mimo to 15 stycznia 1995 roku konferencja się odbyła. Oczywiście bez udziału Svena, który siedział wówczas w areszcie. Jasne też, że Bengt nie wyjawiał, dlaczego nie ma

z nim jego klienta. Dyskusji przysłuchiwał się natomiast - w pokoju hotelowym w Manili przez specjalne słuchawki - Logan. Oto, co usłyszał.

- Witam! Mówi Bengt Nestrup. Jestem prawnikiem. Dzwonię ze Szwecji w imieniu pana Svena Ullricha. Czy rozmawiam z Eve Lourdes Montez?

- Tak, tu Eve.

- Pani mąż zastanawia się, kiedy będzie mógł zobaczyć syna. Jest przekonany, że jakoś się w końcu dogadacie i dojdziecie do porozumienia...

- Dojdziemy do czego...?

- Uważam, że powinniście porozmawiać. Czy zechciałyby pani przyjechać do Manili?

- Nie, ja...

- Mój klient od dawna nie widział się z synem.

- Wiem. Skoro Sven jest w Manili, dlaczego nie przyleci do nas? Dlaczego to my musimy polecieć do niego?

- Dobrze by było, gdyby miał numer pani telefonu. Czy mogłaby pani podać mi numer swojego telefonu?

- Nie.

- Nie poda go pani?

- Nie, ale to ja mogę zadzwonić do Svena, Proszę mi tylko podać jego numer.

- Obawiam się, że to niemożliwe, ponieważ nie znam numeru jego telefonu.

- A widzi pan.

- W takim razie proszę powiedzieć, jak inaczej mógłby się z panią skontaktować.

- J u ż powiedziałam, albo poda mi pan numer jego telefonu, albo będziemy się kontaktować wyłącznie przez prawników.

- Rozumiem. Myślę, że gdyby rozważyła pani przyjazd do Manili...

- Nie ma mowy.

- A więc nie zamierza pani przyjechać?

- Nie.

- Szkoda, naprawdę szkoda, ale skoro tak... Hm, cóż...

Dziękuję za rozmowę. Do usłyszenia.

- Do usłyszenia.

Logan zdjął słuchawki i zde gustowany rzucił je na łóżko.

- Nic nie zmusi tej kobiety do przyjazdu do Manili na spotkanie ze Svenem - powiedział. - A dopóki siedzi w fortecy otoczona strażnikami, nie zdołamy jej stamtąd wywieźć.

Tymczasem Sven Ullrich też siedział otoczony strażnikami, tyle że w więzieniu. Dwa tygodnie po aresztowaniu zawieziono go na badania psychiatryczne. Groźby pod adresem premiera sprawiły, że do czasu wydania wyroku przez sąd zamrożono przyznane mu środki finansowe na poszukiwania syna. Wróciłem więc do Brisbane, ale wciąż pracowałem nad sprawą. Doszliśmy tak daleko, że szkoda byłoby się poddać w tym momencie.

Podczas procesu Svena obrońcy przedstawili go jako mężczyznę bardzo cierpiącego, sfrustrowanego i zdesperowanego wskutek rozłąki z synem. Składając zeznania, Sven płakał. Skarżył się na bezradność policji i bezdusność urzędników, co wywołało w nim poczucie zupełnego osamotnienia. Oświadczył też, że groźby pod adresem Ingvara Carlssona były objawem ogromnego stresu. Wyraził skruchę i przeprosił za nieodpowiedzialne zachowanie. Ostatecznie został oczyszczony ze wszystkich zarzutów i po 53 dniach opuścił areszt.

W tym czasie Bengt Nestrup postanowił wzmocnić działania prawne. Pomagał mu Logan, który został w Manili i skontaktował go z odpowiednimi urzędnikami. Nestrup zaczął słać list za listem do filipińskich władz, składał wnioski za wnioskiem, rozmawiał z wieloma urzędnikami, naciskał, naciskał i wreszcie osiągnął sukces. Tak mu się przynajmniej wydawało. Dwunastego marca 1996 roku sześciu członków prezydenckiej komisji do zwalczania przestępstw i kilku policjantów pojechało do Roxas City, żeby aresztować Eve na podstawie listów gończych wydanych w Szwecji i Stanach Zjednoczonych. I na tym się skończyło. Mimo że stało za nimi prawo, wycofali się spod bramy posiadłości wpływowego przyjaciela Montezów. W raporcie poinformowali przełożonych, że wstępu do posiadłości, w której schroniła się Eve, broniło ponad stu uzbrojonych ochroniarzy. Rodzina Montezów została uprzedzona o ich akcji i odpowiednio się przygotowała. Potem okazało się, że na lotnisku czekała kolejna grupa ochroniarzy. Mieli wkroczyć, gdyby policjantom mimo wszystko udało się wydostać Eve z domu.

- Gdyby się nie wycofali, mogłoby się skończyć prawdziwą jatką - przyznał potem Logan. - Ciekawe, kto ich ostrzegł?

Tego samego dnia Sven zadzwonił do mnie do Brisbane. Tym razem chciał mnie ostrzec, żebym nie wracał na Filipiny, bo grozi mi tam niebezpieczeństwo. Logan był przekonany, że zagłuszał w ten sposób wyrzuty sumienia.

- Ten facet to wariat, kompletny szaleniec! - wściekł się Logan. - Ilekroć zbliżamy się do celu, kombinuje, żeby nasz plan się nie powiódł. To ponad moje siły.

Logan miał dość nieodpowiedzialnych zachowań Svena. Wycofał się z udziału w zadaniu i wrócił do Stanów. Bengt

Nestrup nadal starał się o ekstradycję Eve. Kobieta dostała wezwanie do stawienia się w sądzie pod groźbą kary. Miała być przesłuchana podczas rozprawy dotyczącej legalności jej pobytu na Filipinach. Oczywiście nie przyjechała i nie wyciągnięto wobec niej żadnych konsekwencji. Nadal wspierałem Svena, ale znaleźliśmy się w impasie. Wreszcie Sven postanowił opuścić Szwecję i wrócił do Queensland.

W połowie sierpnia 1996 roku minęły trzy lata od porwania, a w sprawie nie było żadnych postępów. Eve nadal konsekwentnie odmawiała udziału w przesłuchaniach i dzięki finansowemu wsparciu rodziny unikała jakiegokolwiek odpowiedzialności. Oficjalnie prawo do opieki nad Bennym miał Sven, tyle że nie mógł tego prawa wyegzekwować. Jego syn wciąż przebywał na Filipinach. Szwedzcy urzędnicy uznali, że nie da się odzyskać chłopca bez szkody dla niego, bali się też rozlewu krwi i wstrzymali wsparcie finansowe, zamykając tym samym najbardziej frustrującą sprawę w mojej karierze. Nigdy więcej nie rozmawiałem ze Svenem, mimo że jego nazwisko co jakiś czas pojawiało się w prasie. Dziennikarze pisali o jego artystycznych poszukiwaniach oraz żalu, który stopniowo w nim narastał.

W 2002 roku Eve chciała wyrobić trzynastoletniemu wówczas synowi australijski paszport. Potrzebowała do tego zgody byłego męża. Sven odmówił. Przypomniał jej, że chłopiec powinien znajdować się pod jego opieką. Z kolei australijski departament spraw zagranicznych poinformował Eve, że w ewidencji paszportowej Benny'ego obowiązuje tzw. dziecięcy alarm. To oznacza, że zanim urzędnik wyda Bennyemu

paszport, musi dokładnie sprawdzić wszystkie inne dokumenty dotyczące dziecka.

Kolejny raz Benny doświadczył skutków kłótni rodziców. Sven nie zamierzał rezygnować ze swoich praw, jeśli nawet musiał grać nieczysto. Założył stronę internetową dedykowaną synowi, na której opisywał na bieżąco swoje odczucia i przemyślenia. Zamieszczał też na niej teksty dotyczące znieprawdzonego katolicyzmu, filipińskiego rządu, mediów, systemu prawnego, kobiet, a zwłaszcza swojej żony Najednym ze zdjęć przerobił ją w potwora o zielonych oczach i określił „religijną socjopatką”.

Na stronie znalazły się też fragmenty jego korespondencji z amerykańską prawniczką Risą A. Kleiner. Sven zatrudnił ją w 1993 roku, kiedy amerykańskie władze próbowały zatrzymać Eve i Benny'ego na terenie Stanów Zjednoczonych. Dziesięć lat później prawniczka sama odezwała się do niego. Nie mogła uwierzyć, że mimo upływu czasu FBI nie zrobiło nic, żeby mu pomóc. Odradziła jednak mężczyźnie, by kontynuował starania prawne. Z upływem czasu miał coraz mniejsze szanse na wygranie przed sądem, a oskarżenia pod adresem Eve mogły jedynie odstraszyć Benny'ego. Syn, który znał punkt widzenia tylko jednej strony konfliktu, mógłby mieć o to w przyszłości żal do ojca.

Risa starała się przekonać Svena, żeby pogodził się z sytuacją i zaczął normalnie żyć. Tłumaczyła Svenowi, że kiedy chłopiec dorośnie, będzie mógł bez zgody matki odwiedzić ojca, a może nawet z nim zamieszkać. Na razie jednak tak się nie stało. Przez siedemnaście lat Eve uniemożliwiała Bennyemu spotkanie z tatą. Wygrała wojnę z mężem, ale jakim kosztem?

Droga do Damaszku

Na początku 1996 roku siedziałem w moim biurze przy George Street, kiedy nieoczekiwanie zadzwonił do mnie Mustafa Abib. Tego arabskiego specjalistę od ropy naftowej poznałem półtora roku wcześniej w samolocie lecącym z Larnaki. Opowiadałem mu wówczas o mojej pracy. Wymieniliśmy się wizytówkami.

- Mam nadzieję, że nigdy nie będę musiał korzystać z twoich usług - powiedział wtedy Mustafa Abib.

Jak widać, los bywa przewrotny...

Mustafa przyjaźnił się z Helen, która wyszła za mąż za Libańczyka mieszkającego w Australii. Czarne chmury zebrały się nad jej małżeństwem, kiedy mąż pojechał do rodziny. Wrócił po kilku tygodniach, mówiąc, że chce zabrać ją i dzieci do Libanu, żeby nową rodzinę przedstawić swoim rodzicom. Nieświadoma niebezpieczeństwa kobieta się zgodziła. W Libanie mąż zabrał jej i dzieciom paszporty, zostawił ich z teściami i po prostu gdzieś wyjechał. Helen ugrzęzła w obcym kraju, bezbronna i pozbawiona opieki prawnej.

Jedyną osobą, na którą mogła liczyć, był właśnie Mustafa Abib. Skontaktowała się z nim i poprosiła o pomoc, nie informując o tym teściów ani innych członków rodziny męża.

Dla mnie miała to być sprawa inna niż poprzednie. Tym razem matka była z dziećmi, tyle że nie mogli wrócić do kraju. Po latach ciągłych wyjazdów, unikania straży granicznej i uciekania przed kulami mogłem wreszcie popracować, nie ruszając się z biura. Zamierzałem bowiem pomóc Helen i jej dzieciom głównie przez telefon.

Powiedziałem Mustafie, że gdyby Helen udało się dotrzeć do Damaszku, odległego o sto dwadzieścia kilometrów od Libanu, to pomogliby jej moi znajomi z australijskiej ambasady przy ulicy Farabi. Problemy były dwa i oba wynikały z braku paszportów. Po pierwsze, Damaszek leży w Syrii, czyli trzeba było przekroczyć granicę. Po drugie, już w Libanie kobieta musiała przedstawić jakiś dokument potwierdzający jej tożsamość. Bez tego mogła jedynie liczyć na współczucie urzędników. Na szczęście mąż zabrał jej wprawdzie paszport, ale przeoczył australijskie prawo jazdy, zawierające jej zdjęcie, podpis oraz datę urodzin. Na podstawie tego dokumentu można było odnaleźć jej papiery paszportowe w Sydney.

Zadzwoiłem do ambasady w Damaszku i opisałem znajomemu sytuację Helen. Zgodził się pomóc. Tylko jak przewieźć matkę z dwójką dzieci przez granicę libijsko-syryjską? To przecież wyjątkowo niebezpieczny, zniszczony wojną rejon. W dodatku cała trójka nie miała paszportów! Mustafa udowodnił jednak, że jest dobrym przyjacielem.

Helen codziennie odprowadzała dzieci do miejscowej szkoły. Mustafa postanowił to wykorzystać. Wynajął długą, elegancką limuzynę i ku zdziwieniu uczniów odebrał Helen i jej dzieci spod szkoły. Cała trójka ukryła się za ciemnymi szybami luksusowego auta, które od razu popędziło w stronę granicy. Kierowca limuzyny dostał od Mustafy dostatecznie dużo pieniędzy, by zniechęcić celników na granicy do sprawdzenia, którego dygnitarza wiezie. Pogranicznik wpatrywał się wprawdzie w ciemne szyby samochodu, ale kiedy tylko dostał pieniądze, machnął ręką i kierowca bez przeszkód przejechał przez przejście graniczne. Obyło się bez opóźnień. Helen i jej dzieci dotarły do Damaszku w klimatyzowanym, luksusowym samochodzie. Moi przyjaciele z ambasady załatwili im paszporty i tydzień później cała trójka szczęśliwie znalazła się na lotnisku w Sydney.

Oczywiście Helen bardzo się bała. Wiedziała, co jej grozi, jeśli zostanie zatrzymana, zwłaszcza za próbę wywiezienia dzieci. Nie miała jednak wyjścia. Nie chciała żyć jak więźniarka w domu męża. Bała się przede wszystkim o przyszłość dzieci. Dlatego postanowiła zaryzykować. Los jej sprzyjał i dzięki przychylności w zasadzie obcych jej ludzi - wygrała.

Znacznie mniej szczęścia niż Helen miała Denise, nauczycielka z Nowej Południowej Walii, która również wyszła za mąż za Libańczyka mieszkającego w Australii. Kiedy małżeństwo się rozpadło, mąż nielegalnie wywiózł ich dwie córeczki do Libanu. Denise nie zamierzała się poddać, chciała walczyć o dzieci. Pojechała za nimi i rozpoczęła batalię prawną. Nieoczekiwanie sąd przyznał jej prawo do opieki nad córkami. Tyle że nie miał kto wyegzekwować tego prawa.

Denis zwróciła się o pomoc do mnie. Słyszała o moich sukcesach w odzyskiwaniu dzieci. To dawało jej nadzieję. Oszacowałem koszty: uwzględniłem ceny biletów lotniczych, noclegów, wypożyczenia samochodu i tym podobne. Okazało się, że sprowadzenie dzieci do kraju będzie ją kosztowało co najmniej trzydzieści tysięcy dolarów. Denis powiedziała, że cena nie gra roli. Podobnie jak inne matki, była gotowa do wielkich poświęceń, nie tylko finansowych. Polecałem do Libanu, żeby wstępnie rozpoznać sytuację. Szybko zrozumiałem, że sprawa jest właściwie beznadziejna. Mąż Denis skrył się z dziećmi pod skrzydłami Hezbollahu, szyickiej organizacji polityczno-militarnej, która ma duże wpływy w Libanie. Sytuacja jej córek przypominała tę, w której znalazł się Benny, syn Svena Ullricha, uwięziony w posiadłości strzeżonej przez filipińskich najemników. Gdybyśmy próbowali porwać dziewczynki, na pewno napotkalibyśmy na opór zbrojny. Ktoś mógłby zginąć. Ryzyko było zbyt duże. Musiałem przekazać Denise smutną wiadomość. Nie mogłem się podjąć tego zadania. Wróciłem do Brisbane i oddałem jej pieniądze, oczywiście, poza tymi, które już wydałem.

Denise pozostawało tylko liczyć na to, że jej mężowi zmięknie serce. W ostateczności mogła czekać kilka lat w nadziei, że gdy dziewczynki dorosną, same spróbują skontaktować się z matką.

Szczerze jej współczułem, ale nic nie mogłem zrobić. Umieć realnie ocenić ryzyko, co uratowało mnie z niejednej opresji. A teraz wiedziałem doskonale, że w starciu z Hezbol-
lahem nie miałem żadnych szans. Nikt by nie miał - poza regularną armią.

W latach dziewięćdziesiątych więcej czasu spędzałem poza granicami Australii niż w domu. Odbiło się to boleśnie na moim małżeństwie. Przede wszystkim tęskniłem za dziećmi. Niestety kolejne zlecenia wymagały, żebym podróżował z jednego krańca świata na drugi. Dosłownie! Poleciałem nawet na Antarktydę po dwa samoloty biznesowe oraz osiemdziesięcioosobową łódź turystyczną uprowadzone z argentyńskiej bazy morskiej w Ushuaii. Dzierżawiła je agencja, która woziła turystów z Ameryki Północnej na Falklandy i do Antarktyki. Ponieważ zgodzono się zapłacić mi dziesięć procent wartości odnalezionego sprzętu, wyjazd okazał się naprawdę opłacalny.

Dzięki mediom, dla których przygody detektywa są łakomym tematem, stałem się znany w tak zwanych kręgach biznesowych i nie tylko, a zlecenia przychodziły z całego świata. Czasem podejmowałem się zadań, które nie gwarantowały korzyści materialnych. Robiłem tak, ponieważ uważam, że należy pomagać ludziom. W lutym 1996 roku pojechałem w okolice słynnej góry Fudzi, najwyższego szczytu w Japonii. Tym razem nie zamierzałem nikogo ratować. Miałem jedynie pomóc odzyskać spokój załamanej kobiecie z Brisbane, której syn tam zginął.

Margaret Dewes, agentka nieruchomości mieszkająca w dzielnicy Clayfield w Brisbane, podejrzewała, że jej dwudziestosześcioletni syn Peter został zamordowany. Przez ponad dwa lata męczyła ją myśl, że japońscy policjanci zatuszowali sprawę. Chciała pojechać do Japonii i rozwiązać zagadkę, ale w końcu uznała - słusznie! - że lepiej wysłać na miejsce doświadczonego śledczego.

Peter wyjechał do Japonii, gdzie uczył angielskiego, w 1992 roku. Poznawał i podziwiał japońską kulturą i był zafascynowany górą Fudzi - podobnie jak tysiące Japończyków i turystów, którzy co roku wchodzą na jej szczyt. Postanowił zdobyć Fudzi podczas noworocznego weekendu. Ostatni raz zadzwonił do matki 1 stycznia 1995 roku, dokładnie o godzinie dziesiątej dziesięć rano. Siedział w schronisku u podnóża ukochanej góry i życzył matce wszystkiego najlepszego w nowym roku.

Padał śnieg, temperatura na dworze wynosiła około minus sześciu stopni Celsjusza. Ponieważ na kolejne trzy dni zapowiedziano burzę, w schronisku odradzano mu wspinaczkę. Peter zignorował ostrzeżenia i wyruszył nocą na szlak. Prawdopodobnie chciał zobaczyć ze szczytu malowniczy wschód słońca. Takie informacje japońska policja przekazała australijskiemu departamentowi spraw zagranicznych.

Początkowo Margaret Dewes nie była świadoma, że stało się coś złego. Zaniepokoiła się dopiero 9 stycznia 1995 roku, gdy zadzwonił do niej znajomy Petera, też Australijczyk mieszkający w Japonii. Chłopak zapytał ją, czy wie, gdzie jest Peter? Wydawało mu się, że przyjaciel wrócił do Australii. Po Nowym Roku nie pojawił się bowiem w pracy i nie odbierał telefonu. Kiedy Margaret powiedziała, że ostatni raz rozmawiała z synem 1 stycznia, było wiadomo, że należy zacząć szukać Petera. Jego przyjaciel skontaktował się natychmiast z ambasadą australijską w Japonii, a urzędnicy ambasady zgłosili sprawę policji.

Przez pięć i pół miesiąca Margaret żyła nadzieją, że Peter odnajdzie się cały i zdrowy. Walczyła z rozpaczą i ze zwątpieniem do 22 maja 1995 roku, kiedy to w trakcie wiosennych

roztopów odnaleziono ciało jej syna. Miał złamany kark i dużą ranę na głowie. Japońska policja uznała jego śmierć za wypadek, jednak Margaret Dewes nie potrafiła w to uwierzyć. Była przekonana, że ktoś zamordował Petera i zapłacił policji za zatuszowanie sprawy.

Żeby potwierdzić dręczące ją podejrzenia - albo ostatecznie je obalić - skontaktowała się ze mną. Pojechałem do Tokio, mimo że nie bardzo wiedziałem, czego szukać. Na miejscu pomogli mi japońscy policjanci, którzy bardzo chętnie ze mną współpracowali. Bez problemu dostałem do wglądu protokoły śledztwa. Wynikało z nich niezbiecie, że chłopak zachowywał się dość nieroztropnie. Padał śnieg i było poniżej zera, a on zamiast butów do wspinaczki miał na nogach zwykłe adidas. Zignorował ostrzeżenia pracowników schroniska, że idą burze. Prawdopodobnie zszedł po ciemku ze szlaku i ześlizgnął się w kilometrową przepaść. Na podstawie obrażeń ciała można było wnioskować, że zginął od razu. Policjanci zabrali mnie nawet śmigłowcem na miejsce wypadku, który wydarzył się jakieś sto kilometrów na południowy zachód od Tokio.

Wszystko się zgadzało. Na żadne niedociągnięcia w śledztwie nie natrafiłem. Chłopak po prostu przeszarżował, przecenił swoje umiejętności; widocznie nie zdawał sobie sprawy z tego, że zimą każda góra może być groźna. Informacje, które przywozłem, nie ukoiliły tęsknoty Margaret Dewes, ale przekonały ją, że syn nie cierpiał i nie padł ofiarą przestępstwa.

W 1997 roku pojechałem na Litwę, by przywieźć do domu córkę zrozpaczonego Amerykanina, Toma Baxtera. Przedstawił nas sobie Logan Ciarke, mój stary przyjaciel, który nie

mógł przyjąć zlecenia od Toma, ponieważ w tym samym czasie szukał w Chartumie innego porwanego dziecka.

Tom Baxter przez długie lata pracował w amerykańskiej firmie komputerowej w Wilnie. To właśnie tam poznał Katarincę, w której zakochał się od pierwszego wejrzenia i którą szybko poślubił. W ich małżeństwie nie brakowało przemocy, tyle że jej ofiarą był... mój klient. Ten dojrzały, jasnowłosy mężczyzna o adetycznej sylwetce nie potrafił się obronić przed wysportowaną żoną, która traktowała go jak worek treningowy.

Kiedy Tomowi skończył się kontrakt w Wilnie, zabrał rodzinę - nie tylko żonę, ale i maleńką córeczkę Susan - do swojego domu na Florydzie. Niestety nawet amerykańskie słońce nie wyleczyło Katariny z agresji. Wręcz przeciwnie, zrobiła się jeszcze bardziej brutalna. Po jakimś czasie Tom miał dość. Kiedy Susan ukończyła drugi rok życia, zażądał rozwodu i wywalczył prawo do opieki nad dzieckiem. Rany z okresu małżeństwa okazały się niczym wobec ciosu, który Katarina zamierzała mu zadać.

Jego była żona miała prawo do widzeń z córką bez obecności męża. Wykorzystała to, żeby porwać dziecko i uciec ze Stanów. Kiedy Katarina nie przywiozła córeczki na umówioną godzinę, Tom od razu domyślił się, że będzie miał kłopoty. Policja wszczęła poszukiwania, ale ani córki, ani Katariny nie odnaleziono. Tom podejrzewał, że żona wywiozła córkę na Litwę. Ale jak? Granicę Stanów Zjednoczonych musiała przekroczyć nielegalnie, ponieważ nie odnotowały tego amerykańskie służby celne. Możliwe, że Katarina posłużyła się fałszywym paszportem.

W każdym razie 9 września 1997 roku poleciałem najpierw na Łotwę. Wcześniej postarałem się o wszystkie potrzebne

dokumenty, w tym odpowiednie wize. Miałem też w zapasie fałszywe „rodezyjskie” papiery. Kiedy wylądowałem w Rydze, prosto z lotniska pojechałem do wypożyczalni samochodów. Pokazałem podrobiony paszport oraz prawojazdy. Urzędnik trochę się krzywił na brak wize w tym dokumencie, ale dwieście dolarów załatwiło sprawę. W ten sposób wypożyczyłem volkwagena golfa, auto nie za duże, ale solidne, którym pojechałem do Wilna. Tam czekał już na mnie Tom.

Podczas lotu na Łotwę poczytałem trochę o państwach nadbałtyckich. Z kolei na drogowym przejściu granicznym przyjrzałem się środkom bezpieczeństwa i oceniłem możliwość ucieczki tą drogą. Doszedłem do wniosku, że gdyby nam się udało odebrać małą Susan matce, próba legalnego przekroczenia granicy litewsko-łotewskiej samochodem byłaby szaleństwem. Na przejściu roiło się od pograniczników, którzy pracowali bardzo sumiennie.

Zameldowałem się w wileńskim hotelu. Traf chciał, że budynek stał jakieś sto pięćdziesiąt metrów od domu Katariny. Potem spotkałem się z Tomem. Opowiedziałem mu o moich przemyśleniach z przejścia granicznego i poprosiłem, żeby na razie nie wychodził z mieszkania, które wynajął. Nie chciałem, żeby wystraszył byłą żonę, gdyby się przypadkiem spotkali na mieście.

W Wilnie wypożyczyłem drugi samochód. Tym razem była to toyota camry. Drugie auto mogło się przydać, gdybyśmy musieli porzucić golfa w trakcie ucieczki. Na razie objechaliśmy nim miasto, żeby poznać okolicę. Zajrzałem nawet do bloku, w którym mieszkały Katarina i Susan. W tym czasie Tom siedział w samochodzie. Jego żona nie miała pojęcia,

że przyjechał do kraju po dziecko, i tak powinno pozostać. Lepiej nie drażnić lwa.

W Wilnie z łatwością dowiedzieliśmy się, że Katarina pracuje na pół etatu i wynajmuje nianię, która opiekuje się córką, między innymi wychodzi z nią na spacer, kiedy matki nie ma w domu. Na balkonie suszyły się ubranka małej, jednak dziecka nie widzieliśmy. Zapukałem do mieszkania Katariny, udając, że się zgubiłem. Drzwi otworzyła mi kobieta zgrabna, ale niezłe umięśniona. Nie chciałem stanąć z nią do walki o dziecko. Wróciłem do toyoty zaparkowanej przy ulicy.

- Trafiliśmy w dziesiątkę - powiedziałem do Toma.
- Widziałem dziecięce zabawki na podłodze. Teraz tylko musimy wybrać właściwy moment. A potem trzeba zabrać Susan i uciec z nią jak najdalej stąd.

Kilka następnych dni upłynęło nam na obserwowaniu Katariny, jej bloku oraz sąsiednich uliczek. Musieliśmy zaplanować trasę ucieczki. Przy okazji sporo rozmawialiśmy, tak od serca. Utwierdziłem się wówczas w przekonaniu, że robiłem coś ważnego. Pomagałem zabrać małą dziewczynkę od agresywnej i impulsywnej matki. Nie miałem co do tego wątpliwości. Ale jak to zrobić.'

Najchętniej wywiózłbym małą Susan przez Niemcy, ponieważ dość dobrze znałem ten kraj. Wiedziałem też, że mogę tam liczyć na pomoc pracowników australijskiej ambasady. Wiązało się to jednak z koniecznością przejechania przez całą Polskę i przekroczenia aż dwóch granic. Pomyślałem więc o ucieczce przez sąsiednią Białoruś, gdyż do granicy było nie więcej niż czterdzieści pięć minut jazdy

na południowy wschód. Ale czy to w ogóle było możliwe? Trzeba było to sprawdzić. Ponieważ nie znaleźliśmy sieci lokalnych dróg, wynająłem kierowcę, z którym Tom się przyjaźnił, gdy pracował na Litwie. Kierowca od razu ostrzegł nas, że wjechać do Republiki Białorusi nie jest łatwo. Granica jest bardzo dobrze strzeżona przez uzbrojonych żołnierzy, a na przejściach granicznych jest jeszcze gorzej.

- Celnicy wszystkich dokładnie sprawdzają - opowiadał kierowca. - Zaglądają wszędzie! Do każdego samochodu, schowka, bagażu. Każą pokazać, czy ma się pieniądze na pobyt i dokładnie je liczą. W drodze powrotnej sprawdzają wszystkich i wszystko kolejny raz. I jeszcze jeden szczegół. Przejechanie przez granicę zajmuje, w zależności od szczęścia, od trzech godzin do trzech dni.

Postanowiliśmy sprawdzić, czy słowa kierowcy się potwierdzą. Nie kłamał. Tak więc Białoruś nie wchodziła w grę.

Gdy obserwowałem przejście graniczne, zauważyłem coś dziwnego. Podjechały trzy luksusowe mercedesy, bmw i jaguar. Samochody skierowano od razu na boczny pas i - jak mi się wydawało - przepuszczono poza kolejką i prawie bez kontroli. Zwróciłem na to uwagę kierowcy.

- To kradzione wozy - powiedział od razu. - Rosyjska mafia płaci celnikom po sto dolarów od sztuki za ich sprawne odprawienie.

Wyjaśnienie wydało mi się sensowne. Po drodze minęliśmy około dwudziestu ciężarówek z naczepami załadowanymi samochodami przeróżnych marek. Niektóre były po wypadkach, co najwyraźniej nie miało znaczenia dla interesów odradzającej się mafii.

Niestety nadal nie wiedzieliśmy, jak bezpiecznie uciec z Litwy. Kierowca odwiózł nas do Wilna, gdzie przesiedliśmy się do toyoty. Tym razem pojechaliśmy w kierunku granicy z Polską. Liczyliśmy na to, że znajdziemy przejście graniczne z wrywkową kontrolą, co dawałaby nam jakąkolwiek szansę. Niestety przejścia drogowe były tylko dwa i na obu celnicy przykładali się do pracy - przynajmniej takie wrażenie na nas zrobili.

- Wygląda na to, że będziemy musieli przekroczyć granicę na piechotę - ostrzegłem Toma.

- A co to zmieni? Tych na piechotę też sprawdzają. Widziałeś na przejściu. - Tom zaczynał wątpić w powodzenie akcji.

- Przejdziemy przez granicę na piechotę, ale nie na przejściu granicznym — wyjaśniłem. - Musimy znaleźć drogę przez las. Potem wybierzemy jakąś niezbyt uczęszczaną drogę, może być przecinka w lesie, i podjedziemy jak najbliższej granicy. Najlepiej, gdyby po drugiej stronie też czekał na nas samochód. Przesiedlibyśmy się po prostu z jednego wozu do drugiego i popędzilibyśmy do Warszawy.

Kupiłem szczegółową mapę okolicy. Miałem nadzieję, że znajdziemy jakąś nieuczęszczaną drogę prowadzącą w kierunku granicy. Na mapie zaznaczono kilka tras, które mogły się okazać przydatne. Trzeba było sprawdzić, dokąd naprawdę prowadzą. Jedna z dróg zaczynała się obok stacji benzynowej przy autostradzie.

Był to właściwie utwardzony dukt biegnący równolegle do granicy. Po drodze po litewskiej stronie minęliśmy łąki i jakieś gospodarstwo rolne, po polskiej stronie był tylko las. Granicy

strzegły dwa wysokie płoty z siatki przedzielone pięćdziesięciometrowym pasem zaoranej ziemi.

Dukt prowadził do dwóch zardzewiałych bram przeciwpożarowych po obu stronach granicy. Po polskiej stronie stały jeszcze wieże obserwacyjne. Były to około dziesięciometrowe drewniane konstrukcje z niewielkimi platformami umieszczonymi na gnijących wspornikach. Wyglądały jak dogorywający strażnicy przeszłości.

- Tu przejdziemy granicę. Pieszło! - wskazałem Tomowi bramy. - Musimy tylko odnaleźć to miejsce po polskiej stronie i zorganizować tam jakiś samochód.

Korzystając z kompasu oraz wież strażniczych jako punktu odniesienia, zanotowałem nasze położenie. Przez kolejnych kilka godzin kręciliśmy się po okolicy, starając się nie rzucać w oczy. Musieliśmy się dowiedzieć, czy służby graniczne często patrolują ten teren. Nie widzieliśmy nikogo i mieliśmy nadzieję, że na nas też nikt nie zwrócił uwagi. Potem wróciliśmy na litewską autostradę i pojechaliśmy w stronę Polski. Przekroczyliśmy granicę w Ogrodnikach. Celnik sprawdził nasze paszporty, zajrzał do środka przez szybę, potem kazał otworzyć bagażnik, po czym pozwolił nam przejechać.

Jechaliśmy w stronę Sejna, potem skręciliśmy z głównej drogi. Okolica była raczej odludna. Poza rolnikami wykopującymi ziemniaki nie było kogo spytać, gdzie jesteśmy. Ci rolnicy też nam nie pomogli, bo żaden nie mówił po angielsku. Byliśmy zdani na siebie. Kluczyliśmy, wypatrując płotu granicznego. Po dwóch czy trzech godzinach natrafiliśmy na brukowaną drogę, która doprowadziła nas do utwardzonego duktu po drugiej stronie granicy. Zobaczyliśmy te same zardzewiałe bramy i wieże strażnicze, które widzieliśmy

z drugiej strony. Udało się, trasa ucieczki została ustalona. Pierwszy etap przygotowań za nami. Wróciliśmy do Wilna, żeby opracować plan porwania Susan.

Następnego dnia znów pojechaliśmy na granicę. Tym razem jednak Tom siedział za kierownicą golfa, a ja prowadziłem toyotę. Jego samochód zostawiliśmy po litewskiej stronie, w pobliżu przejścia przeciwpożarowego. Na wszelki wypadek rozmontowałem aparat zapłonowy, żeby uniemożliwić złodziejom uruchomienie wozu. Przejechaliśmy granicę moim samochodem i pojechaliśmy w stronę bram przeciwpożarowych. Chcieliśmy dobrze poznać okolicę. Stosunkowo niedaleko natrafiliśmy na opuszczone gospodarstwo. Wjechaliśmy toyotą do jakiejś dużej szopy i starannie zamknęliśmy drzwi. Miejsce wyglądało na całkiem zapomniane, jednak i tym razem rozłożyłem aparat zapłonowy na części. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Potem wróciliśmy do bram przeciwpożarowych. Ich pokonanie okazało się stosunkowo łatwe i niezauważeni przeszliśmy przez granicę, dotarliśmy do wypożyczonego golfa stojącego w lesie i wróciliśmy do Wilna.

- Już niedługo, chłopie - dodałem otuchy Tomowi, kiedy zatrzymaliśmy się na podjeździe prowadzącym do hotelu. - Naprawdę niedługo. Poczekamy, aż Susan wyjdzie na spacer z Katariną lub nianią. Zatrzymamy się obok bloku, wciągniemy dziewczynkę do samochodu i popędzimy do granicy. Musimy działać szybko, ale z wyczuciem. Na tyle szybko, by zabrać twoją córkę, ale też na tyle delikatnie, by jej nie zdenerwować. Nie może zacząć krzyczeć. Ja usiądę za kierownicą, a kiedy się zatrzymam i powiem: „Goń”, będziesz miał minutę, żeby zabrać dziecko.

Tom nic nie mówił, ale było widać, że zaczyna się denerwować. Dotarło do niego, że czeka nas teraz najniebezpieczniejsza część zadania. Do tej pory odpowiadaliśmy tylko za siebie. Już niedługo będzie z nami dziecko.

Następnego dnia spakowaliśmy dokumenty i najpotrzebniejsze rzeczy do jednej torby, wsiedliśmy do wypożyczonego golfu i zaparkowaliśmy w pobliżu bloku Katariny. Poszedłem trochę się rozejrzeć. Wyglądało na to, że w mieszkaniu nikogo nie było, więc domyśliłem się, że dziewczynka wyszła z mamą lub opiekunką na spacer. Tom wsadził nos w gazetę i udawał, że czyta. Nakazałem mu, żeby zasłaniał twarz. Katarina nie mogła go teraz zobaczyć. W schowku czekały nowe dokumenty Susan. Wcześniej za pomocą taśmy izolacyjnej zmieniłem cyfry na tablicy rejestracyjnej wozu. Na wypadek, gdyby podczas porwania ktoś zapamiętał numery rejestracyjne. Dzięki wprowadzeniu policji w błąd być może zyskalibyśmy trochę czasu. Komisariat znajdował się zaledwie sto metrów od bloku Katariny.

Byliśmy świadomi ryzyka, mimo to cierpliwie czekaliśmy na Susan. Chyba trochę się zagapiliśmy, bo nagle zobaczyliśmy dziewczynkę tuż przed samochodem. Szła obok swojej młodej opiekunki. Obie powoli skręciły do bloku. Trzeba było działać natychmiast!

Tom wyskoczył z samochodu, podbiegł do Susan, złapał ją na ręce i mocno przytulił. Zrobił to tak szybko, że dziecko nie zdążyło nawet krzyknąć. Zanim niania zrozumiała, co się stało, Tom siedział już z małą w samochodzie. Ruszyliśmy z piskiem opon, ale zaraz za zakrętem wyhamowałem. Nie zamierzałam pędzić przez miasto na złamanie karku

jak w amerykańskim filmie akcji. *Zależało* nam raczej na tym, żeby nie zwracać uwagi. Spokojnie przejechaliśmy kilka przecznic, po czym wjechaliśmy na jakieś odludne przedmieście. Natychmiast skręciłem za kępę krzaków przy drodze i się zatrzymałem. Musiałem zerwać taśmę izolacyjną z tablic rejestracyjnych. Rozejrzałem się. Chyba nikt niczego nie zauważył.

Susan początkowo krzyczała i płakała, jednak Tom dość szybko zdołał ją uspokoić. Wyciął córkę, utulił, a potem dał jej środek nasenny w herbacie z termosu. Nie mogliśmy postąpić inaczej. Susan była zbyt mała, żeby mogła z nami świadomie współpracować. Kiedy wyjeżdżaliśmy z Wilna, już prawie spała. Teraz musieliśmy dojechać do przejść przeciwpożarowych na granicy, a następnie przekraść się do Polski. Pojawił się jednak nieoczekiwany problem.

Podjechaliśmy tak blisko bram w granicznym płocie, jak to było możliwe. Wjechaliśmy golfem do lasu i przykryliśmy gojakimiś gałęziami, po czym ruszyliśmy lasem w stronę granicznego płotu. Kiedy się zbliżyliśmy do zardzewiałej bramy po litewskiej stronie, gdzieś w oddali usłyszeliśmy motocykl. Początkowo mieliśmy nadzieję, że to mieszkaniec przygranicznej wioski wraca duktem do domu. Jednak maszyna wyraźnie zbliżała się do nas. Susan spokojnie spała, więc położyliśmy ją w wysokiej trawie i przygotowaliśmy się na spotkanie z nieznajomym.

- Tylko nie panikuj! - ostrzegłem Toma, który właśnie zaczynał rozumieć, że odzyskiwanie dzieci to cięższy kawałek chleba niż praca w branży informatycznej. - Ktokolwiek się pojawi, nie uciekaj. Zachowuj się normalnie. Jesteśmy

parą turystów na spacerze. Kto wie, może ten gość wybrał się po prostu na grzyby?

Wreszcie zobaczyliśmy motocykl. Ku naszemu przerażeniu nie kierował nim chłop z koszykiem na grzyby, a strażnik graniczny w mundurze. Mężczyzna miał niewiele ponad dwadzieścia lat. Wyglądał na jeszcze bardziej zaskoczonego niż my. Najpierw gwałtownie się zatrzymał, ale po chwili podjechał bliżej. Był wyraźnie zdenerwowany. Krzyczał coś po litewsku. Bez znajomości języka wiedzieliśmy, o co mu chodzi. Zrobiłem jednak zdziwioną minę i zapytałem, czy mówi po angielsku, a w duchu modliłem się, żeby Susan się nie obudziła i nie zaczęła płakać. Próbowałem przekonać młodego pogranicznika, że jesteśmy turystami i zabłądziliśmy w lesie, ale szybko się okazało, że jego znajomość angielskiego nie pozwala na swobodną rozmowę. Chyba nawet nie zamierzał z nami rozmawiać. Znał jedno słowo i to mu wystarczało.

- *Passeporte* - powtarzał, wyciągając dłoń i patrząc na nas spode łba.

Udawałem, że nie rozumiem. Tom stał obok w milczeniu. Mężczyzna nie był naiwny. Zszedł z motocykla, prawą rękę położył na kaburze pistoletu i ruszył w naszą stronę. Nie od dziś wiadomo, że najlepszą obroną jest atak. Postanowiłem być szybszy od niego. Wprawdzie nie jestem dumny z tego, co wówczas zrobiłem, jednak stawką była wolność Susan, co - mam nadzieję - trochę mnie usprawiedliwia. Nie wiem tylko, czy ten mężczyzna też by mnie zrozumiał, uderzyłem go bowiem znienacka prosto w pachwinę. Kolanem, z całej siły!

Przewrócił się na ziemię i skulony, jęcząc, turlał się po trawie. W tym czasie wyciągnąłem mu pistolet z kabury i schowałem do kieszeni. Zakopałem go potem w lesie po polskiej

stronie. Zabrałem mu też krótkofalówkę i roztrzaskałem 0 motocykl. Biedny dzieciak wciąż stękał. Wyraźnie zbierało mu się na wymioty. Trzeba było też zniszczyć jego motocykl, żeby nie mógł pojechać po kolegów. Tym razem pomógł mi Tom. Powyrywaliśmy wszystkie kable, które było widać, i spuściliśmy paliwo. Potem przewróciliśmy maszynę i zaczęliśmy po niej skakać. W tym czasie bohaterски pogranicznik - naprawdę uważam, że zasłużył na medal za odwagę - podniósł się z ziemi i wyraźnie stanął do walki! Druga runda nie trwała jednak długo. Wyprowadziłem cios lewą ręką i trafiłem go w szczękę. To był nokaut. Znowu upadł na ziemię i właściwie czekał na wykonanie wyroku. Chyba sądził, że chcemy go zabić. Klepnałem go przyjaźnie po ramieniu i pokazałem ręką, żeby sobie poszedł. Na szczęście chyba już zrozumiał, że jestem silniejszy i zdeterminowany, i przestał udawać chojraka. Podniósł się obolały i zrezygnowany ruszył w stronę duktu. Według moich obserwacji do najbliższego posterunku policji miał co najmniej kilkanaście kilometrów. To dawało nam czas na ucieczkę.

Kiedy pogranicznik zniknął nam z pola widzenia, Tom ostrożnie podniósł Susan z ziemi. Pomimo niezłego zamieszania, wciąż spała. Już bez przeszkód dotarliśmy do starej szopy, w której zostawiliśmy wypożyczoną toyotę. Samochód stał, jak go zostawiliśmy. Złożyłem aparat zapłonowy, Tom ułożył się wygodnie z Susan na tylnym siedzeniu i szczęśliwie - nie licząc dziurawych dróg - dojechaliśmy do Warszawy.

Załatwienie dokumentów wyjazdowych zajęło Tomowi kilka dni, aż wreszcie mogłem go zawieźć z Susan na lotnisko.

- Bardzo ci dziękuję, Keith - powiedział Tom, kiedy czekał na samolot na Florydę. - Nigdy nie zapomnę tego, co dla nas zrobiłeś.

Kiedy Tom opuścił Polskę, ja jeszcze raz wróciłem do Wilna, odstawiłem toyotę do wypożyczalni, a potem zadzwoniłem do firmy z Rygi, w której wypożyczyłem golfa. Wyjaśniłem, że nie mogę oddać samochodu osobiście, za to dokładnie opisałem, jak dojechać do miejsca, w którym można auto odebrać. Odpowiedzieli mi, że nie mają w zwyczaju jeździć po wypożyczone samochody i zagrozili, że będę musiał zapłacić za każdy dzień zwłoki. Zgodziłem się i poprosiłem, żeby wysłali rachunek na mój domowy adres.

- No wiecie, do Rodezji - dodałem.

Chłopiec w worku

W 1993 roku kolejny z moich klientów, Bill Harper, podróżował po Stanach Zjednoczonych. Podczas wyprawy poznał piękną trzydziestoletnią Turczynkę Miriam i zakochał się w niej do szaleństwa.

Bill pracował w handlu nieruchomościami. Mimo że miał amputowaną nogę, co było efektem wypadku motocyklowego w młodości, nieźle zarabiał, a ponieważ ukończył już 42 lata, coraz częściej myślał o założeniu rodziny. Marzył mu się ładny domek w Brisbane, w którym zamieszka z żoną i gromadką fajnych dzieciaków. Miriam wydała mu się dobrą kandydatką, zwłaszcza że pochodziła z bogatej tureckiej rodziny. Znalazł w niej wszystko, co chciał widzieć w przyszłej żonie.

Początkowo rodzice Miriam byli przeciwni temu małżeństwu, jednak bardzo kochali córkę i wyrazili zgodę. Ślub odbył się w Stambule, podobniejak huczne wesele. A potem młodzi małżonkowie zamieszkali w wynajętym luksusowym apartamencie w stolicy Turcji. Nie na długo, bo zawodowe zobowiązania Billa dość szybko zmusiły ich do przeprowadzki

do Brisbane. Szesnaście miesięcy później przyszedł na świat ich syn Ali. Niestety sytuacja w firmie Billa zaczęła się pogarszać, a wraz z tym pojawiły się pierwsze małżeńskie kłopoty.

W 1996 roku, w drugą rocznicę ślubu, Miriam postanowiła pojechać z synem do Turcji, do rodziny, za którą bardzo tęskniła. Bill miał nadzieję, że Miriam wróci stamtąd wypoczęta i skończą się ich kłótnie, dlatego nawet się ucieszył z wyjazdu żony. Miały to być dla niej upragnione wakacje. Miriam spędziła u rodziny pięć miesięcy. Długa rozłąka nie naprawiła małżeńskich relacji i wkrótce po powrocie do Brisbane Miriam i Bill złożyli wniosek o separację. Przed rozstaniem ustalili, że Bill będzie mógł widywać Alego pięć razy w tygodniu.

W lipcu 1997 roku Miriam znów wyjechała z synem do Stambułu. Tym razem miały to być znacznie krótsze odwiedziny - tylko na takie Bill wyraził zgodę. Niestety jego wola nie została uszanowana. Miriam znalazła w Stambule pracę i poinformowała męża telefonicznie, że zamierza zostać w Turcji na stałe. Wtedy Bill Harper postanowił odzyskać przynajmniej dziecko. Chciał złożyć pozew do sądu o bezprawne przetrzymywanie jego syna poza krajem i przyznanie mu na tej podstawie pełnych praw do opieki nad synem. Nie miał jednak wymaganych funduszy, a w wydziale pomocy prawnej stanu Queensland oświadczone, że koszty postępowania „przekroczą spodziewane korzyści” i odmówiono mu wsparcia.

Bill Harper postanowił nagłośnić sprawę i opowiedział swoją historię w wywiadzie dla dziennika „The Courier-Mail”. W efekcie pomoc zaproponował mu adwokat, który

przeczytał wywiad i szczerze współczuł Billowi. Dzięki temu mężczyźnie udało się wywalczyć w australijskim sądzie rodzinnym prawo do opieki nad chłopcem. Zobowiązał się wtedy do dbania o jego dobro i wykształcenie oraz do tego, że umożliwi matce kontakty z synem tak często, jak będzie to możliwe i wskazane.

Decyzja sądu rodzinnego okazała się kolejnym postanowieniem tylko na papierze. W Turcji wyrok nie miał mocy prawnej. Wtedy Bill wynajął tureckiego prawnika, który zgodził się reprezentować go w miejscowym sądzie i wziął za to pieniądze, niewiele jednak zdziałał. A ponieważ Turcja nie podpisała konwencji haskiej, Bill zaczął się obawiać, że może już nigdy nie zobaczyć syna. Dlatego wkrótce zwrócił się do mnie.

Kiedy Bill starał się o nowy paszport dla Alego, jego żona wystąpiła o rozwód. Z kolei Bill znalazł w tym czasie ukojenie w ramionach nowej partnerki, Francuzki o imieniu Arianne. I choć wkrótce spodziewali się dziecka, nie zrezygnował z walki o syna. Nie chciał przy tym czekać do sprawy rozwodowej. Nie miał wątpliwości, że turecki sąd przyzna prawo do opieki nad chłopcem matce i nie weźmie pod uwagę decyzji australijskiego sądu rodzinnego ani też tego, że kobieta wprowadziła dziecko. Wiedział, że po rozwodzie prawdopodobnie straci kontakt z synem na długo i odzyskanie Alego będzie znacznie trudniejsze. Chciał działać szybko.

Bill, Arianne i ich mała córeczka opuścili Australię w maju 1999 roku. Arianne przeniosła się do Paryża, a Bill Harper pojechał do Turcji po syna. Nalegał, żebym wybrał się z nim, ja jednak musiałem zostać w Brisbane, byłem bowiem świadkiem w procesie sądowym w innej sprawie.

Teoretycznie Bill mógł sam wywieźć chłopca z kraju. Był *przecież jego* ojcem i legalnym opiekunem, przynajmniej w Australii. Problem tkwił w tym, że nie miał paszportu dziecka - Miriam zabrała ze sobą stary dokument, a australijscy urzędnicy nie chcieli wydać mu nowego, bo nie widzieli podstaw.

Mężczyzna przebywał w Turcji tydzień. Przez cały czas zastanawiał się, jak odzyskać syna. Rodzina Miriam pozwoliła mu wprawdzie spędzić z chłopcem weekend, jednak jej bracia ostrzegli go, że jeśli spróbuje wywieźć syna, wróci do Australii w kawałkach. Przestraszył się i zadzwonił do mnie. W niedzielę wieczorem musiał odwiedzić Alego do Miriam, a w poniedziałek w tureckim sądzie mogła zapaść decyzja o ich rozwodzie.

- Keith, błagam cię, przyjedź tu jak najszybciej. - Kiedy zadzwonił do mnie, był wyraźnie zdenerwowany. - Jestem z synem i myślę, że bez trudu moglibyśmy go stąd wywieźć.

- Uspokój się, proszę! - Studziłem jego zapał. Musiałem załatwić ważne sprawy w Brisbane i mogłem pojechać do Stambułu dopiero za kilka dni. - Bądź cierpliwy. Wkrótce do ciebie dołączę. Daj mi tydzień.

Biedny Harper był w kropce. Zdrowy rozsądek nakazywał mu poczekać na mnie, serce zaś radziło, by czym prędzej uciekał z synem. W dodatku Ali przez półtorej godziny prosił go, że chce jechać do Australii, a potem zobaczyć siostrzyczkę.

- Kiedy dziecku na czymś bardzo zależy, nie możesz tego tak po prostu zignorować - wyznał później Bill, który był tak zdesperowany, że postanowił samodzielnie przemyścić chłopca przez granicę.

Jego kłopoty zaczęły się od razu. Bill nie miał karty kredytowej, ponieważ na co dzień wolał płacić gotówką. Ku swojemu niezadowoleniu odkrył, że nikt mu w Turcji nie wypożyczy samochodu bez karty kredytowej, nawet jeśli zaproponuje znacznie większą stawkę niż ta w cenniku. W Turcji, podobnie jak w Europie Wschodniej, kradzieże aut były tak częste, że żadna firma nie zaryzykowałaby przyjęcia gotówki od klienta. Jedyny plus to ten, że przy okazji Bill dowiedział się, że po tureckiej stronie granicy celnicy rzadko przeszukują bagaże wyjeżdżających turystów. Dokładnie kontrolują jedynie przyjeżdżających, bo chcą mieć pewność, że nikt nie wwozi narkotyków i innych nielegalnych używek i przedmiotów. To podsunęło Billowi pewien pomysł.

Opowiedział swoją smutną historię dwóm tureckim braciom prowadzącym agencję turystyczną i wypożyczalnię samochodów. Historia ojca, któremu żona ukradła syna, poruszyła ich do głębi. Przynajmniej tak uważał Bill. Co prawda nie wypożyczyli mu samochodu (z powodu braku karty kredytowej), jednak zaproponowali, że przewiozą go przez granicę.

Bill Harper nigdy niczego nie przemyślał i widocznie sądził, że to nic trudnego. Postanowił przewieźć syna w dużej torbie zapinanej na zamek błyskawiczny. Oczywiście miał wątpliwości, czy to rozsądne, ale Ali się upierał, że chce wracać do Australii.

- Dobrze, synu, pojedziemy - obiecał Bill. - Ale będziesz musiał mi pomóc. Tylko wtedy nam się uda.

- Co będę musiał robić? - zapytał Ali.

- Schowasz się w tej dużej torbie, a ja zasunę zamek. - Bill pokazał chłopcu stojącą w kącie sportową torbę. - Będziesz

siedział cichutko, żeby nie wiem, co się działo! Wyjedziesz dopiero wtedy, gdy ci pozwolę i powiem, że już można. Potrafisz to zrobić? Będziesz grzecznym chłopcem? Nie będziesz płakał?

- Tak, tatusiu. Schowam się w torbie i nic nie będę mówił. Będę naprawdę cichutko - obiecał maluch.

- Dobry chłopak! Pamiętaj, wyjedziesz dopiero wtedy, gdy powiem, że już można. Do tego czasu nie wolno ci się odezwać, poruszyć ani płakać. Zrozumiałeś? - Ali pokiwał głową. - A potem pojedziemy do Australii. - Bill przytulił mocno syna.

Ali uznał ukrycie się w sportowej torbie za fajną przygodę, jednak Bill był tak przerażony, że cały się spościł. Mimo to zamierzał zrealizować swój plan. Zadzwoił do właścicieli agencji turystycznej, którzy obiecali przewieźć go przez granicę.

Kilka godzin później ważący dwadzieścia kilogramów Ali wszedł do sportowej torby. Bill położył na wierzchu jakiś podkoszulek, zasunął zamek, po czym postawił torbę na tylnym siedzeniu samochodu. Kierowcą był jeden z właścicieli agencji; jego brat siedział obok. Bill usiadł z tyłu. Późnym popołudniem dojechali do przejścia granicznego. Na pierwszym z trzech punktów kontrolnych uzbrojony turecki celnik poprosił o paszporty. Bracia zaczęli mu tłumaczyć, że odwożą przyjaciela. Celnik rzucił tylko okiem na zdjęcia i pozwolił im przejechać. Po chwili samochód minął trzymetrowy płot. Na drugim punkcie kontrolnym stojący tam pogranicznik jedynie machnął ręką, pokazując, żeby jechali dalej. Od wolności dzielił ich już tylko jeden posterunek.

I wtedy się zaczęło. Kierowca powiedział, że dalej nie pojedzie. Po prostu nie da rady, bo bardzo się zdenerwował. Poparł go brat. Chwilę porozmawiali po turecku i oświadczyli Billowi, że przez ostatni punkt kontrolny musi przejść sam. Bill był inwalidą, miał protezę nogi. Musiałby teraz z ciężką torbą z Alim i swoją walizką kuśtykać ponad kilometr, a potem jeszcze przejść odprawę celną. Tłumaczył to obu mężczyznom, jednak ci nie chcieli go słuchać.

- Dasz radę. Tak, na pewno się zmęczysz, ale to nie jest aż tak daleko - powtarzali Billowi.

Wreszcie bracia odjechali, a Bill został sam. To znaczy niezupełnie sam. Wjednej z dwóch dużych toreb, które stały obok niego, ukrywał się jego syn. A przez ramię miał przewieszane kolejne dwie mniejsze torebki. Ponieważ nikt się nim nie interesował i go nie obserwował, Bill pozwolił synowi wyjść z torby, a sam gorączkowo szukał rozwiązania. Myślał nawet o powrocie do Turcji, ale to oznaczałoby kolejną rozłąkę z synem, tym razem zapewne na długo. Postanowił więc poprosić o pomoc przyjaciół. W Australii poznał kiedyś kilku Greków, którzy z pewnością mieli znajomych mieszkających blisko granicy. Bill miał nadzieję, że może któryś z nich zgodzi się przyjechać po niego, żeby przewieźć go do Grecji. Jednak takich spraw nie da się załatwić przez telefon, nic więc dziwnego, że i Billowi się nie udało. Kiedy wreszcie zrozumiał, że jest zdany wyłącznie na siebie, pomógł Alemu znowu wejść do torby. Na szczęście chłopiec nie protestował, wręcz przeciwnie - potraktował to jak świetną zabawę.

— Siedź cicho i nie ruszaj się. Niedługo będziemy na miejscu - powiedział Bill, po czym zasunął zamek, podniósł torby i ruszył w stronę ostatniego celnika dzielącego go od wolności.

Było już późno i ciemno. Celnik był zmęczony i znudzony, mimo to wyraźnie się ożywił na widok Australijczyka obładowanego bagażami jak wielbłąd. Ożywił się, ponieważ... postanowił mu pomóc. Najpierw odłożył karabin i podstemplował Billowi paszport, a potem poinformował go, że granicy nie wolno przekraczać pieszo i ktoś powinien go podwieźć, zwłaszcza, że dźwiga tyle bagaży. Zaproponował, że za niewielką opłatą chętnie podrzuci go na drugą stronę. „Uff, nareszcie, koniec gehenny” - pomyślał Bill i odetchnął z ulgą. Odłożył torby i wyciągnął gotówkę z portfela. Strażnik poprosił kolegę, żeby wziął służbowy samochód i zawiózł tego zdezorientowanego Australijczyka do Grecji. Kiedy podjechał samochód straży granicznej, Bill wstawił najpierw swoją walizkę. Zanim się zorientował, jeden z celników sięgnął po jego sportową torbę. Zaskoczyło go, że torba jest tak ciężka.

- Co tu wiesz. ¹ Cegły? - zażartował celnik i nagle pojął, że coś jest nie tak.

Drugi raz tego dnia Ali przez długi czas siedział w torbie bez ruchu. Nasłuchiwał tylko, co się dzieje na zewnątrz. Najpierw czuł, jak ojciec go niesie. Potem słyszał jego rozmowę z celnikiem. A kiedy ojciec postawił torbę na ziemi i czekał na samochód, który miał ich przewieźć przez granicę, i zrobiło się znowu cicho, po prostu zasnął. To była fajna przygoda, tyle że długa. O wiele za długa dla małego chłopca. Obudziło go gwałtowne szarpnięcie. Był zdezorientowany. Nie miał pojęcia, że podniósł go nie ojciec, ale ktoś inny. Poza tym chciało mu się pić i było mu niewygodnie, więc lekko się poruszył.

- Tato, czy już? - wyszeptał.

Celnik rzucił torbę na ziemię i odskoczył jak oparzony, po czym natychmiast wyciągnął broń. Tak legły w gruzach marzenia zdesperowanego Billa.

Ojciec i syn trafili na całą noc do izolatki bez wody i toalety. Przez cały czas zastanawiali się, jaki czeka ich los. Bill oglądał kiedyś słynny film *Midnight Express* wyreżyserowany przez Alana Parkera, a opowiadający historię Amerykanina odbywającego karę w tureckim więzieniu. Dokładnie pamiętał, jakie straszne warunki panują w zakładach karnych w tej części świata, więc był przerażony. Ali płakał, ponieważ domyślał się, że jeszcze długo nie pojedzie do Australii i nie zobaczy siostrzyczki.

Następnego dnia w mieście w pobliżu przejścia granicznego odbyło się posiedzenie sądu. Bill Harper został oskarżony o kidnaping i groziło mu dziesięć lat więzienia. Na szczęście sędzia okazał się wyjątkowo mądrym człowiekiem. Rozumiał, że ma do czynienia nie z pospolitym przestępcą, ale zdesperowanym ojcem. Ulitował się nad Billem i zasądził tylko symboliczną grzywnę - półtora dolara australijskiego - za próbę przekroczenia granicy bez paszportu.

Prawdziwą karą dla Billa był przyjazd Miriam, która zabrała Alego. Przez kolejne lata Bill wielokrotnie wracał do Turcji. Nie mógł jednak swobodnie kontaktować się z chłopcem. Rodzina byłej żony oraz policja starannie go pilnowali. W ten sposób Billowi Harperowi odebrano możliwość jakiegokolwiek wpływu na wychowanie syna. Nie pozwolono mu nawet obserwować, jak dojrzewa.

Po powrocie do Australii i nieudanym porwaniu syna Bill powiedział dziennikarce Annie White z programu *The World*

Today w telewizji ABC, że jest wściekły na administrację rządową, ponieważ żaden z urzędników nie zrobił nic, żeby pomóc mu w walce o dziecko.

- My, Australijczycy, nie możemy liczyć na taką pomoc prawną, jaką otrzymują choćby Turcy. Tamtejsze władze dbają o interesy swoich obywateli - oświadczył rozżalony Bill. - Wiedziałem, że dopóki moja żona opiekuje się synem, będzie utrudniała nam kontakty. Chciałem przywieźć go do kraju, ponieważ ja zadbałbym o to, żeby Ali miał właściwe relacje i ze mną, i z matką. Jestem jego biologicznym ojcem. Dopóki nie zapadł wyrok w sprawie naszego rozvodu, zgodnie z tureckim prawem potrzebowiałem jedynie paszportu syna, żebym mógł razem z nim wyjechać z Turcji legalnie. Mogłem wsiąść z synem do samolotu na oczach żony i nikt nie zdołałaby mnie zatrzymać. Gdyby tylko urzędnicy australijskiego departamentu spraw zagranicznych wydali mi nowe dokumenty Alego, nie straciłbym syna i dziecko mogłoby nadal mieszkać w Australii.

Wiele urzędowych przeszkód musiała też pokonać Heather Francis, zanim po dziesięciomiesięcznej rozłące odzyskała swoje dzieci. Heather miała 23 lata i mieszkała na zachodzie stanu Queensland, w miasteczku Quilpie. Była matką bliźniaków, a potem urodziła córeczkę. W październiku 1997 roku, kilka tygodni po narodzinach trzeciego dziecka, ojciec bliźniaków zabrał chłopców na spacer do miasta i już z nimi nie wrócił. Heather zgłosiła zaginięcie dzieci na policji, ale kiedy się zorientowała, że stróżę prawa nie przejęli się sprawą - widocznie uznano, że skoro porywaczem jest ojciec, dzieciom nic nie grozi - zadzwoniła do mojego biura.

Oczywiście zgodziłem się jej pomóc. Ustalenie, gdzie przebywającej synowie, okazało się dość łatwe. O wiele trudniejsza była współpraca z policją. Trzykrotnie namierzaliśmy byłego partnera Heather, ale za każdym razem mężczyźni udawało się uniknąć zatrzymania, ponieważ policjanci działali wyjątkowo opieszale i nieudolnie. Najbardziej nieodorzeczna sytuacja miała miejsce w Boże Narodzenie 1997 roku, gdy odebranie dzieci było wyjątkowo łatwe, ale policjanci odmówili wyjechania na akcję, ponieważ... zabrakło im funduszy. Gdyby nie to, chłopcy mogli wrócić do matki już po trzech miesiącach, a nie po dziesięciu. Wreszcie, w sierpniu 1997 roku, udało się odebrać dzieci ojcu. Przywiozłem je z dalekiego Melbourne.

- Po prostu zamarałam - przyznała potem Heather. - Byłam zaskoczona, jak bardzo moi chłopcy się zmienili. Kiedy ich ostatni raz widziałam, byli grubiućkami niemowlakami. Teraz zobaczyłam duże dzieci, szczuplejsze i znacznie wyższe. Nie byłam pewna, czy nie będą się mnie bali, przecież nie mogli mnie pamiętać, ale Andrew rzucił mi się od razu na szyję z okrzykiem: „Mamusia?”.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych moja firma detektywistyczna rozwijała się znakomicie. Nieliczne chwile wolne od pracy poświęcałem na odnawianie zabytkowych samochodów. Kupiłem też sportową limuzynę, mercedesa E55, z którego byłem niezwykle dumny. Niestety australijski kodeks drogowy nie pozwalał mi na wykorzystanie choćby połowy mocy jego pięćcioipółlitrowego silnika V8, co trochę mnie frustrowało. Być może dlatego przy pierwszej nadarzającej się okazji zachowałem się jak kierowca Formuły 1. Logan Ciarke

siedział wówczas obok mnie, na fotelu pasażera. Jechaliśmy na francuską riwierę, żeby odwiedzić naszego przyjaciela Johna Normana, podobnie jak my, członka Międzynarodowego Stowarzyszenia Detektywów, który po latach pracy dla Interpolu przeszedł właśnie na emeryturę.

Przy okazji mała dygresja. Jechaliśmy do Saint-Tropez przez Lyon, gdzie zupełnie przypadkowo poznałem gadatliwego oficera polskiej policji o imieniu Władysław. Kiedy w hotelowym barze opowiadałem mu o uprowadzeniu z Polski Jenny i Antona Wojtków, omal się nie zakrztusił z rozbawienia.

- Przez całe lata akta tej sprawy leżały na moim biurku - powiedział, grożąc mi dla żartu palcem. - Długo bawiliśmy się przez ciebie w śledztwo. Cieszę się, że wreszcie udało mi się ustalić winnego. Jeśli będziesz kiedyś w Polsce, odezwij się do mnie. Mam nadzieję, że tym razem nie dasz nam powodu do aresztowania.

Zycie pisze naprawdę przedziwne scenariusze.

Wizyta u Johna Normana w Saint-Tropez przypominała wakacje, jednak dla nas, detektywów, miała również wymiar edukacyjny, zrozumieliśmy bowiem, że na pracy życie się nie kończy, a emerytura nie musi oznaczać nudnej wegetacji. John rozpoczął karierę w „skórzanych butach”, czyli został najpierw stójkowym w angielskiej policji. Potem przeniósł się do królewskiej policji w Hongkongu, aż wreszcie zatrudnił się w tamtejszym oddziale Interpolu. Dopiero na emeryturze zaczął spełniać swoje marzenia. Pół roku mieszkał w Trencie, w angielskim hrabstwie Dorset, a drugie pół w odnowionej

willi na francuskiej riwierze, skąd miał blisko do przyjaciół oraz kasyn w Monako. My również - skoro byliśmy tak blisko - postanowiliśmy spróbować szczęścia w słynnych kasynach.

Droga do Monako okazała się właściwie długą na sto trzydzieści kilometrów serpentyną. Jechaliśmy, podziwiając cudowne widoki na Morze Śródziemne. Zakręty robiły się coraz bardziej ostre, a zbocza, od strony pasażera, coraz bardziej strome. Nie mogłem nie skorzystać z okazji i zafundowałem Loganowi przejażdżkę, o której trudno mu było zapomnieć.

Nigdy nie widziałem, żeby Logan stracił zimną krew. Zawsze zachowywał się jak prawdziwy bohater, jakby uczucie strachu było mu zupełnie obce. Tym razem pozwolił sobie na okazanie słabości. Gdy z piskiem opon wchodziłem w kolejny wiraż, trzymał się kurczowo fotela albo deski rozdzielczej i rozluźniał się dopiero wtedy, gdy znowu wyjeżdżaliśmy na prostą, Logan nie bał się w pracy, ale poza pracą nie lubił szarżować. Dlatego zresztą lubił - jak mówił - pracować ze mną, ponieważ wprawdzie jeździłem znacznie szybciej niż on, ale zwykle byłem też bardziej rozważny od niego. Kiedy sytuacja wymykała się spod kontroli, zawsze umiałem znaleźć rozsądne rozwiązanie, podczas gdy on reagował czasami zbyt gwałtownie. Miałem też znacznie więcej doświadczenia w kontaktach z urzędnikami z obcych krajów, ponieważ Logan pracował najczęściej w Stanach. Uzupełnialiśmy się znakomicie. W ciągu kilku lat współpracy dotarliśmy się tak, że działaliśmy jak dobrze naoliwiony silnik albo para tancerzy. Nic dziwnego, że w środowisku detektywów nazywano nas „Astaire i Kelly” - od Freda Astairea i Genea Kelly ego,

którzy rewelacyjnie razem stepowali. Mieliśmy też we wspólnej pracy sporo szczęścia, co pozwoliło nam wyjść cało z niejednej opresji, choćby w Adenie, na Fidżi i Filipinach. Los nam sprzyjał również podczas kolejnego wspólnego zlecenia. W 2000 roku Logan zajął się sprawą Amerykanki Nancy Kozcinski, której mąż wywiózł syna do Polski.

Nancy sama miała polskie korzenie, być może dlatego wyszła za mąż również za Polaka. Kiedy małżonkowie postanowili się rozstać, Henryk, mąż Nancy, nie czekał na postanowienie amerykańskiego sądu, tylko zabrał syna Adama do swojego rodzinnego miasta, czyli Gdańska. Nancy wystraszyła się, że straci kontakt z dzieckiem, i zaczęła szukać pomocy. Dowiedziała się o detektywie, który wywiózł potajemnie z Sudanu kuzynkę niemieckiego sędziego i tak trafiła na Logana. Zadzwoiła do jego domu w Lake Arrowhead w Kalifornii i poprosiła, żeby pomógł jej odzyskać syna. Mój przyjaciel przyjął to zlecenie i zaproponował mi współpracę. W przeciwieństwie do Logana wiedziałem już trochę o Polsce. Byłem tu kilka lat wcześniej, gdy pomagałem wywieźć z tego kraju Jenny i Antona Wojtków.

To zlecenie miało dla mnie również wymiar osobisty, dlatego tak chętnie się zgodziłem. Mieliśmy wywieźć syna Nancy z Gdańska, gdzie pod koniec XIX wieku mieszkał mój dziadek, zanim wszedł na pokład żaglowca „Karola Dickensa”, żeby rozpocząć nowe życie w australijskim stanie Queensland. Ekscytowałem się powrotem do kraju przodków.

Najpierw jednak poleciliśmy z Loganem do Berlina, gdzie spędziliśmy dzień w hotelu InterContinental, ślęcząc nad mapami i dopracowując logistyczne drobiazgi.

Potem wypożyczyliśmy dwa samochody, mercedesa klasy A i volkswagena golfa i ruszyliśmy w stronę granicy niemiecko-polskiej.

Mimo że niektórzy nazywają mercedesy klasy A - ze względu na stosunkowo nieduże rozmiary - „wózkami na zakupy”, szybko się przekonałem, że to auto potrafi nieźle śmigać. Na niemieckiej autostradzie bez najmniejszych kłopotów rozpędziłem się do stu czterdziestu kilometrów. Jadący za mną Logan wciąż dawał mi znaki światłami i trąbił. Po prostu nie mógł za mną nadażyć. W Stanach jeździł na co dzień szerokim amerykańskim kabrioletem. Opuszczał dach, rozpinął koszulę, zakładał okulary przeciwsłoneczne i kowbojski kapelusz, ale jazda na złamanie karku była dla niego czymś równie niezrozumiałym co rozmowa w suahili. Dość często musiałem zwalniać, żebyśmy się nie pogubili. Wreszcie przekroczyliśmy granicę.

Do Gdańska dojechaliśmy w nocy. Wynajęliśmy pokój w motelu i poszliśmy na miasto coś zjeść. Niestety było już dość późno i poza jednym barem wszystkie lokale w okolicy były zamknięte. W tym barze też nie mogliśmy niczego zamówić, ponieważ okazało się, że nie mamy czym zapłacić. Oczywiście mieliśmy przy sobie pieniądze, ale były to niemieckie marki, których nie chciano przyjąć w barze. „No tak, zapomnieliśmy wymienić pieniądze na granicy i czekają nas kłopoty” - pomyślałem. Pamiętałem, że wymiana walut w tej części Europy wymagała sprytu i trudu. Widocznie nic się nie zmieniło od mojego ostatniego pobytu. Krążyliśmy po okolicy mercedesem, szukając otwartego kantoru, a nasze niezadowolenie rosło wraz z coraz głośniejszym burczeniem w brzuchu. W dodatku wiał silny wiatr i co chwilę siało.

- Żadnych podejrzanych ruchów, Keith. Mamy towarzystwo! - powiedział w pewnym momencie Logan, wpatrując się uważnie w lusterko.

W lusterku zobaczyłem czarnego sedana, w którym najwyraźniej ktoś nas śledził. Wóz wyglądał jak samochód policyjny, ale nie był oznakowany.

- Okej, przekonajmy się.

Skręciłem gwałtownie w boczną uliczkę, oświeconą równie słabo co pozostałe. Zgodnie z naszymi podejrzeniami, sedan skręcił za nami. Tak więc, zanim wkroczyliśmy do akcji, zadanie skończone?! Czyżby namierzyła mnie polska policja? Ale przecież Władysław mówił, że nie rozgryźli sprawy i nie wiedzieli, kto porwał dzieci. A teraz? Czy śledzili nas od granicy? A może dostali cynk z hotelu, gdzie się zameldowaliśmy? - pytania przychodziły mi do głowy jedno po drugim. Skręcałem w każdą wąską uliczkę, którą zobaczyłem, przyspieszałem i hamowałem - sedan wyraźnie siedział nam na ogonie. Mogłem docisnąć gaz do dechy i z piskiem opon uciec, ale wolałem nie ryzykować. Gdyby rzeczywiście jechali za nami policjanci, sprawdziliby nas wówczas dokładnie i wtedy mogliby odkryć, kim jestem, a tak, zawsze istniała szansa, że to nieporozumienie. Starałem się więc wykorzystać sygnalizację świetlną i tuż przed zmianą świateł na czerwone przejechać przez skrzyżowanie, ale kierowca sedana nie dał się nabrać na proste sztuczki, zwłaszcza że na ulicach było zupełnie pusto. Przypomniałem sobie słowa mojego ojca: „Uspokój się, wyluzuj i nie rób niczego głupiego. Sytuacja zaraz się wyjaśni”. I tak się stało. Z wąskiej uliczki skręciliśmy nagle w szerszą arterię, a wówczas śledzący nas samochód zrównał się z nami. Pasażer siedzący obok kierowcy dał nam znak przez okno, żebyśmy się

zatrzymali. Podjechałem do krawężnika. Wokół było ciemno - jak wszędzie w Gdańsku poza ścisłym centrum.

- Sukinsyny! - jęknął Logan. - Dopadli nas!

- Uspokój się, może to pomyłka - powiedziałem, choć denerwowałem się tak samo jak on.

Od sprawy Wojtków upłynęło osiem lat i gdybym teraz trafił do polskiego więzienia, uznałbym to za ogromną niesprawiedliwość losu. Miałem nadzieję, że to rutynowa kontrola. W lusterku zobaczyłem zbliżających się dwóch mężczyzn. Byli młodzi, wysocy i umięśnieni, zwłaszcza jeden, który wyglądał, jakby miał napompowaną skórzaną kurtkę. Ten mniej barczysty miał włosy ostrzyżone na jeża i szedł nabuzowany - to było widać z daleka.

- Nie odzywaj się - szepnąłem do Logana. - Ja będę mówił, a ty po prostu wyluzuj. I nie wysiadamy z samochodu.

Byłem się, żeby Logan przez swoją gwałtowność nie zaostrzył sytuacji, a że wpadliśmy w tarapaty, nie miałem wątpliwości. Najgorsze, że wciąż nie wiedzieliśmy, czy to policjanci po cywilnemu, czy zwykli przestępcy. Bandziorem mogliśmy uciec, ale gdyby się okazało, że to jednak policjanci, lepiej było zareagować spokojnie.

- *Good evening* - odezwałem się łagodnie.

Drab ostrzyżony na jeża popukał w szybę, żebym uchylił okno. Uchyliłem. W tym czasie ten potężnie umięśniony podszedł do samochodu od strony Logana i zajrzał do środka przez szybę.

- *Nye Polski* - powiedziałem łamaną polszczyzną i spojrzałem na mojego rozmówcę.

Miał oczy rekina. Raczej nie wyglądał na policjanta, ale na wszelki wypadek nie okazałem zdenerwowania.

- *Ale mówić po angielski* - wydukałem.

Mężczyzna stojący obok mnie uśmiechnął się dość zjadliwie, a potem sięgnął do tylnej kieszeni. Spodziewałem się, że wyciągnie notatnik albo bloczek z mandatami, zamiast tego zobaczyłem wycelowany we mnie pistolet.

- Wsiadaj z wozu, alejuż! - powiedziała płynnie po angielsku, choć dziwnie akcentował wyrazy. Zrobiłem, o co mnie poprosił. - Dawaj portfel! - wydawał krótkie polecenia.

Wyciągnąłem portfel z kieszeni. Nie zainteresował się moim fałszywym rodezyjskim prawem jazdy ani podrabianą kartą ubezpieczeniową, ani dokumentami wystawionymi przez różne poważne instytucje w Hondurasie Brytyjskim. Zależało mu jedynie na tych kilku niemieckich banknotach, których nie zostawiłem w motelu. Po chwili oddał mi portfel, oczywiście bez pieniędzy.

- A teraz bagaże - powiedział właściciel ogolonej głowy i wskazał pistoletem na bagażnik.

Była tam jedynie niewielka torba z kosmetykami i aparat fotograficzny, który oczywiście od razu zabrał. Żałowałem, że zostawiłem w motelu paralizator, dzięki któremu moglibyśmy z naszymi nowymi znajomymi nawiązać bardziej elektryzującą relację. Choć niewykluczone, że właśnie to nas uratowało. W naszej sytuacji chyba bezpieczniej było nie stawiać oporu. Mogłem przecież powalić paralizatorem tylko jednego drania, ale ten drugi też mógł mieć broń, a nawet wielce prawdopodobne, że miał, i zapewne użyłby jej bez skrupułów. A tak po chwili usłyszeliśmy grzeczne - o ironio - *Goodbye*, potem warkot silnika i napastnicy szybko znikli nam z oczu na słabo oświetlonej ulicy.

- Ale nas przekręcili - wkurzył się Logan. - To nie byli policjanci.

- Racja, chłopie - szepnąłem. - Być może mieliśmy do czynienia z fałszywymi gliniarzami, ale pistolet, z którego do mnie mierzyli, na pewno był prawdziwy.

Wróciliśmy do motelu trochę biedniejsi i mocno wystraszeni, a do tego strasznie głodni. Doszliśmy jednak do wniosku, że sprawy muszą się czasem skomplikować, żeby potem wszystko dobrze się zakończyło. Nie uważaliśmy się nad sobą - ważniejsze było, abyśmy odzyskali dziecko.

Następnego dnia wcześniej rano spotkaliśmy się z Nancy. Widzieliśmy ją pierwszy raz. Okazała się elegancką brunetką przed czterdziestką, kobietą zadbaną i dobrze ubraną. Towarzyszył jej polski detektyw, Tomasz Proksa, z którym skontaktowałem się za pośrednictwem WAD. Miał nam pomóc w śledztwie i rzeczywiście był dobrze przygotowany. Ustalił już, w której szkole uczy się Adam, i zaproponował, że pojedzie po niego podczas przerwy śniadaniowej w szkole. Zgodziliśmy się.

Gdy Tomasz poszedł do szkoły Adama, Nancy, Logan i ja czekaliśmy w pobliżu. Siedzieliśmy w zaparkowanych samochodach: ja z Nancy w mercedesie, a Logan w golfie. Tomasz miał przy sobie *zdjęcie* Adama. Podczas przerwy śniadaniowej bez trudu odnalazł chłopca i powiedział mu, że niedaleko w samochodzie czeka na niego mama. Chłopiec był nieufny, ale Tomasz przekonywał go cierpliwie i po kilku minutach wyszli razem ze szkoły i Adam wsiadł bez sprzeciwów do jego auta. Przejechali kilkaset metrów i zatrzymali się obok nas.

Wszystko poszło gładko i szybko. Nancy bardzo się ucieszyła na widok syna.

- Moje kochanie! - krzyknęła i zaczęła go całować i tulić.

Ale Adam zachowywał dystans. Wyglądał, jakby rozboleł go brzuch. Kiedy Nancy zaproponowała mu coś do picia, odmówił i zacisnął usta.

- Tata powiedział, że nie wolno mi przyjmować niczego od innych ludzi. - Chłopiec był bardzo zdenerwowany. - Mam mówić „nie”, jeśli ktoś proponuje mi coś do jedzenia lub picia - dodał, po czym się rozpłakał.

Nie było czasu do stracenia, musieliśmy ruszać. Adam był wyraźnie zdezorientowany, nie wiedział, co ma robić. Zostać czy wysiąść? Martwił się, co powie tato. Kiedy minęliśmy tablicę przy drodze z napisem Gdańsk, wpadł w histerię. Nancy próbowała go uspokoić. Zaczęła mu przypominać, jaki szczęśliwy był na Alasce, i zrobiła to tak skutecznie, że wkrótce chłopiec wręcz kipiał radością z powrotu do Stanów.

Niedaleko granicy zatrzymaliśmy się na poboczu. Nie mieliśmy paszportu Adama, dlatego musieliśmy go po prostu przemycić przez przejście graniczne. Mercedes, którym kierowałem, był większy niż golf, którego prowadził Logan, za to Logan miał większą szansę uniknąć niewygodnych pytań ze strony pograniczników, ponieważ umiał niesamowicie zagađać celników. Byłem tego świadkiem wielokrotnie. Postanowiliśmy, że się zamienimy: Logan pojedzie mercedesem, a chłopiec schowa się pod kocem z tyłu. Trzeba było wytłumaczyć Adamowi, jak się ma zachowywać. Kucnąłem, żeby mógł patrzeć mi w oczy. Musiał mi zaufać.

- Adam - powiedziałem. - Niedługo będziemy przekraczać granicę z Niemcami. Celnicy potrafią być naprawdę niemili. Musisz się ukryć z tyłu, między fotelami, i siedzieć bez ruchu. Nie wolno ci też się odezwać, dopóki ci nie pozwolimy.

Podobnie jak przed laty Jenny Wojtek, tak i Adam potraktował sytuację jak wielką przygodę. Dlatego chętnie współpracował. Schował się bez słowa sprzeciwu. Wsiadłem z Nancy do golfa i ruszyliśmy w stronę granicy. Przejechaliśmy przez przejście graniczne bez kontroli i najmniejszych problemów i zatrzymaliśmy się pięć kilometrów dalej. Czekaaliśmy na Logana zupełnie spokojni o powodzenie akcji. Nie miałem wątpliwości, że da sobie radę. Gdyby gadanie było sportem olimpijskim, zdobyłby kilka złotych medali. Ale jak już wspominałem, życie pisze przedziwne scenariusze.

Logan zatrzymał się na przejściu granicznym, opuścił szybę i podał celnikowi paszport. Pogranicznik z polskim orzełkiem na czapce obejrzał dokładnie dokument, spojrzał na Logana, porównał zdjęcie i machnął ręką, dając w ten sposób znak, że może jechać. Jednak zanim Logan zdążył przekręcić kluczyk w stacyjce, celnik zauważył coś niepokojącego. Spod koca, który wyglądał, jakby zsunął się z tylnego siedzenia, wystawał dziecięcy bucik.

- Stop! Stop! - krzyknął celnik i wyskoczył Loganowi przed maskę.

Wyciągnął pistolet i wycelował w Logana. Natychmiast otoczyli ich inni celnicy. Wszyscy z bronią w ręku. Logan nie miał wyjścia. Podniósł ręce i wysiadł. Za chwilę dołączył do niego Adam.

Logan postanowił zaatakować celników swoją tajną bronią, czyli gadką. Nie przestawał mówić nawet wtedy, gdy dwaj służbiści prowadzili go w stronę biura. Obok niego dreptał zapłakany Adam. Mój zawodowy partner nie przewidział jednego - że celnicy nie znali angielskiego, a co gorsze zupełnie ich nie obchodziło, co chciał im powiedzieć. Dopiero kiedy ściągnięto tłumacza, wysłuchali go uważnie.

Logan wyjaśnił wtedy, że Adam został przywieziony do Polski wbrew decyzji amerykańskiego sądu, co należy rozumieć jak porwanie dziecka, natomiast on naprawia tylko jawną niesprawiedliwość, wioząc dziecko do matki, która powinna się nim zajmować. Oczywiście dodał, że kobieta kilkanaście minut temu przekroczyła granicę - co mogli potwierdzić celnicy - i wiezie ze sobą paszport chłopca - co nie było prawdą.

Celnicy pozwolili Loganowi zadzwonić i dopiero po trzydziestu minutach zabrali mu komórkę. Przez ten czas zdążyliśmy pogadać. Opisał mi dokładnie, co się wydarzyło na przejściu granicznym. Nie wydawał się szczęśliwy, zwłaszcza że mnie już nic nie groziło i w każdej chwili mogłem wpaść do knajpy na dobre niemieckie piwo, a jego czekała przejazdka policyjnym samochodem do Gdańska, a potem proces o uprowadzenie dziecka.

Przyszła pora, by odnowić stare znajomości. Zadzwoniłem do Władysława, emerytowanego oficera polskiej policji, którego poznałem w Lyonie. Nakreśliłem mu nasz problem. Przyznał, że sytuacja jest bardzo trudna, ale nie bez wyjścia. Potem szybko ustalił, dokąd zabrano Logana, i dowiedział się, że następnego dnia czeka go wstępne przesłuchanie.

Kiedy przekazywał mi te informacje, powiedział, że słyszał o naszych działaniach na Filipinach i bezowocnych próbach wydostania stamtąd Bennyego Ullricha. Dodał intrygująco, że filipińscy urzędnicy nie mają monopolu na korupcję. Od razu zapytałem, ile kosztowałoby wyciągnięcie Logana z aresztu. Bardzo szybko otrzymałem odpowiedź. Tego samego dnia po południu właściwy urzędnik dostał pięć tysięcy dolarów i Logana zwolniono. Policjanci odwieźli go na to samo przejście granicznego, z którego został zabrany. Oczywiście, kiedy zobaczyli jego mercedesa klasy A (stojącego w tym samym miejscu, co dzień wcześniej), zażądali dodatkowych pięciuset dolarów za fatygę. Na szczęście miał w portfelu wymienioną kwotę. Wręczył pieniądze policjantom, ci zaszutowali, i był wolny. Mógł wjechać do Niemiec. Kiedy opowiadał mi to wszystko, złościł się, że przedstawiciele prawa, z którymi miał do czynienia, niewiele się różnili od oprychów, którzy obrabowali nas pierwszej nocy w Gdańsku.

A co z Adamem? Policjanci zabrali go razem z Loganem na komendę policji do Gdańska, gdzie przyjechał po niego ojciec. Od Władysława wiem, że dość niepochlebnie wyrażał się w obecności chłopca o jego matce, co na pewno pogłębiło traumę dziecka.

Nie udało się nam wywieźć Adama Kozcinskiego z Polski, mimo to wyprawa zakończyła się sukcesem. Kiedy Logan był już bezpieczny po niemieckiej stronie granicy, Nancy uparła się, że wraca do Polski i tak zrobiła. Chciała dalej walczyć o syna, a my, mimo wszystko, byliśmy gotowej pomocy. Okazało się, że poradziła sobie sama. Tak długo rozmawiała z mężem, tak go przekonywała, tak naciskała, że w końcu

ustąpił i pozwolił jej zabrać Adama na Alaskę. Henryk zrozumiał, jak bardzo jego żonie zależy na synu, jak była zdeterminowana - nie przypuszczał na przykład, że mogła się posunąć do tego, by wynająć detektywów. Jednocześnie sam nie miał takiej pewności jak Nancy, że podoła odpowiedzialności i dobrze wychowa Adama, dlatego w końcu uległ. Natomiast ja sądzę, że Henrykowi bardziej chodziło o żonę niż syna. Liczył na to, że w ten sposób zmusi ją do przyjazdu do Polski. Marzył, by do niego wróciła! A ja kolejny raz w mojej długiej karierze przekonałem się, że nigdy nie wolno się poddawać.

W Australii najlepszymi przyjaciółmi detektywów są starzy kumple. Kumpel z półciężarówką to wielki skarb, lecz w mojej pracy jeszcze cenniejszy jest kumpel z małym samolotem. Do pełni szczęścia brakuje wtedy tylko opuszczonego lotniska...

W 2001 roku prywatny samolot i rzadko używany pas startowy bardzo mi się przydały. Jak zwykle poruszałem się bowiem fatalnymi wiejskimi drogami, tym razem w pobliżu rybackiego miasteczka Saint Helens na Tasmanii. Wiozłem dopiero co odzyskane dziecko i jego przerażonego ojca spoglądającego co chwilę przez tylną szybę.

Mój klient, Terry, był dość nieśmiały, ale przyjacielskim chłopakiem, w wieku około dwudziestu pięciu lat. Trafił do mojego biura w Brisbane, ponieważ jego prawnik powiedział mu, że jestem specjalistą od odzyskiwania dzieci porwanych przez rodziców. Przyszedł z mamą - oboje wyglądali na zdecydowanych na wszystko.

Naprawdę współczułem Terryemu. Wydawał się zbyt młody, by poradzić sobie samemu z sytuacją, w której się

znalazł. Jego żona Anna, podobnie jak żona Herba Stebsona, zupełnie nieoczekiwanie wyjechała z Brisbane i dołączyła do fundamentalistycznej wspólnoty religijnej.

- Początkowo miałem nadzieję, że szybko jej przejdzie - zaczął opowiadać Terry. - Myślałem, że oprzytomnieje, zrozumie, w co się pakuje, i wróci. - Jego historia wyglądała na typową i wiedziałem, co będzie dalej, mimo to słuchałem z uwagą. - I faktycznie po jakimś czasie wróciła do domu, ale, jak się okazało, przyjechała tylko na kilka dni. Któregoś wieczoru wróciłem z pracy, a już jej nie było. Najgorsze, że zabrała naszą córkę Kym. Poczułem, jakby mi się ziemia usunęła spod nóg, jakby mnie ktoś dźgnął w serce nożem. Straszliwy ból... A potem Anna zadzwoniła do mnie. Tylko po to, żeby mi powiedzieć, że przeprowadziła się z Kym na Tasmanię, a za bilety lotnicze zapłaciła moją kartą kredytową.

Przyjąłem zlecenie i sprawdziłem informacje uzyskane od Terrygo. Szybko ustaliłem, że Anna wywozła córkę wbrew prawu, czyli faktycznie ją uprowadziła. Moi współpracownicy odszukali Annę na Tasmanii. Mieszkała w religijnej komunie w Saint Helens, w rybackim miasteczku liczącym około dwóch tysięcy mieszkańców, a leżącym na wschodnim wybrzeżu wyspy. Kobieta wierzyła, że członkowie wspólnoty pomogą jej wychować dziecko. Nie miała pojęcia, że Terry może pokrzyżować jej plany.

Opracowałem plan wywiezienia dziewczynki z wyspy w sposób najmniej stresujący dla dziecka. Nie chciałem korzystać z lotnisk w Hobart lub Launceston, ponieważ tam Anna mogła sprawić nam kłopoty. Poprosiłem o pomoc mojego przyjaciela Maksa, byłego komornika i prywatnego

detektywa. Zgodził się bez wahania. Na co dzień prowadził firmę świadczącą usługi lotnicze biznesmenom z Melbourne i miał dwusilnikową awionetkę zabierającą na pokład sześciu pasażerów.

Poleciałem z Terryem z Brisbane do Launceston, skąd wypożyczoną toyotą camry ruszyliśmy autostradą na wschód. Po stu pięćdziesięciu kilometrach dojechaliliśmy do Saint Helens i zatrzymaliśmy się w motelu leżącym nad zatoką Georges. Z Maksem umówiliśmy się na dziewiątą rano następnego dnia. Miał czekać na nas na pobliskim lądowisku dla małych samolotów. W ostatnim czasie przewoził rybaków na przylądek Barren i Wyspę Flindersa leżące na północ od Saint Helens. Zrządzeniem losu tego dnia miał podrzucić do Saint Helens pewnego wędkarza, więc przy okazji mógł nas zabrać z powrotem. Szczęśliwie dla nas na lądowisku w Saint Helens był tylko jeden pas startowy i nie było ani jednego kontrolera lotu!

Motel opuściliśmy około ósmej rano. Przenieśliśmy bagaże do samochodu i podjechaliśmy pod niewielki domek, w którym mieszkała Anna z Kym. Terry wszedł do środka. Zamierzał uciec z córką, gdy jego żona na chwilę wyjdzie albo się odwróci. Rozmawiał z Anną blisko trzy kwadransy i jednocześnie tulił dziecko w ramionach. Co chwilę zerkał na zegarek. Wreszcie poprosił o coś do picia i Anna poszła do kuchni. Wtedy Terry mocniej przytulił małą do siebie, wybiegł z domu i pobiegł do samochodu.

Od prawie godziny siedziałem w pobliżu domu Anny w samochodzie z włączonym silnikiem, trzymając stopę na pedale gazu. Kiedy zobaczyłem Terryego, natychmiast ruszyłem. Terry wskoczył do samochodu prawie w biegu. W tym

czasie Anna zdążyła wybiec z domu. Stanęła na środku drogi, żeby zablokować nam przejazd, ale udało mi się ją ominąć. Kilka minut później zatrzymaliśmy się na lądowisku pod miasteczkiem. Maks właśnie wylądował. Kiedy wędkarz, którego wiozł, zabrał swój sprzęt i wysiadł, szybko usiedliśmy w fotelach i zapięliśmy pasy. Na pożegnanie rzuciłem wędkarzowi kluczyki do wypożyczonej toyoty. Ostatni etap akcji zajął nam niecały kwadrans.

Terry wystąpił do sądu z wnioskiem o prawo do opieki nad Kym i je otrzymał. Anna może odwiedzać córkę w Queensland, jednak tylko pod nadzorem - na wypadek, gdyby przed domem czekał ktoś w samochodzie z włączonym silnikiem.

Rozpaczajcie, drogie dzieci

W 2006 roku z wielkim zainteresowaniem śledziłem historię Melissy Hawach, która wynajęła czterech byłych żołnierzy sił specjalnych z Australii i Nowej Zelandii, żeby wywieźli jej córki, Hannah i Cedar, z Libanu. Były mąż Melissy, Joseph, najpierw zabrał dziewczynki na trzytygodniowe wakacje, na co pani Hawach wyraziła zgodę, a potem ukrył je gdzieś w Libanie.

Kobiecie udało się odzyskać córki, jednak podczas akcji australijski żołnierz Brian Corrigan i były komandos z SAS David Pemberton zostali aresztowani na lotnisku w Bejrucie. Trafili do cieszącego się fatalną sławą więzienia Roumieh i zostali oskarżeni o kidnaping. Groziło im nawet piętnaście lat odsiadki, na szczęście zwolniono ich po trzech miesiącach, ponieważ to pani Hawach sąd przyznał prawo do opieki nad dziećmi.

W „Daily Telegraph”, dzienniku wychodzącym w Sydney, czytałem wywiad z Melissą Hawach. Mówiła ciekawe rzeczy, między innymi o wyrzutach sumienia po szczęśliwym dla niej

finale. Kobieta doskonale zdawała sobie sprawę, jak bardzo zraniła męża, odbierając mu dzieci. Wiedziała, co czuł, ponieważ wcześniej sama tego doświadczyła.

- Pewnie wyda się to niewiarygodne, ale w pierwszy dzień po odzyskaniu córeczek czułam się gorzej niż w pierwszy dzień po ich porwaniu. Po porwaniu musiałam szybko dojść do siebie i zacząć działać, a po odzyskaniu dzieci poczułam się podle. Wiedziałam, że Joseph zachował się niewłaściwie, lecz ja nie chciałam zrobić tak samo i się mścić. Zależało mi tylko na dzieciach.

Kiedy Melissa Hawach szukała najemników, byłem już na emeryturze, ale pomagałem w trudniejszych śledztwach jako konsultant. Zaprzyjaźniony śledczy z Sydney zadzwonił do mnie, żebym oszacował koszty ewentualnego wywiezienia jej córek z Libanu. Sceptycznie oceniłem wtedy szanse powodzenia akcji. A jednak się udało. Dzieci wróciły, tyle że dwóch żołnierzy trafiło do straszego więzienia. Później skarżyli się, że klientka nawet nie podziękowała im za podjęte ryzyko.

Tak, ryzyko było ogromne, ale doświadczeni komandosi popełnili też kilka podstawowych błędów. Wyprawa do tak nieprzyjaznego dla mieszkańców Zachodu kraju, jak Liban, wymaga specjalnych przygotowań i skrupulatnego rekonesansu. Najważniejszą częścią planu jest ucieczka. Próba opuszczenia Libanu przez główne lotnisko w Bejrucie to mурowane kłopoty, zwłaszcza jeśli ma się coś na sumieniu. Corrigan i Pemberton dostali solidną naukę i już wiedzą, że odzyskiwanie dzieci jest bardzo niebezpiecznym zajęciem.

Przyjmując zlecenie, nigdy nie kierowałem się wyłącznie chęcią zysku. Znacznie ważniejsze były towarzyszące akcjom emocje, niektórzy nazywają to adrenaliną, a także satysfakcja, którą dawało mi pomaganie ludziom w potrzebie i uszczęśliwianie dzieci.

Od 1974 roku, kiedy razem z Alistairem McCarthym przeszedłem pewnym krokiem przez bramę podmiejskiej szkoły w Brisbane, sprowadziłem do domu ponad setkę dzieci uprowadzonych wbrew prawu. Wszystkie doświadczyły złych emocji, gdy małżeństwa ich rodziców się rozpadły. Niemal każda z tych spraw pozwoliła mi poznać ciekawych ludzi oraz interesujące miejsca. Bywałem w sytuacjach ekstremalnych, w jakich nie znalazłbym się, gdybym wykonywał inny zawód. To była fascynująca praca, choć paradoksalnie lepiej byłoby, gdybym nie miał co robić. Oczywiście wolałbym żyć w świecie bez przemocy i głodu, ale jestem realistą. Na razie to niemożliwe. Czasem sobie myślę, że utrudnianie życia innym, także tym, których kochamy, tkwi po prostu w ludzkiej naturze.

Trudno o smutniejszy widok niż niewinne dziecko obserwujące walczących rodziców. Ach, zapomniałem, jest jeszcze coś gorszego. To widok dziecka, które wbrew własnej woli wykorzystywane jest jako narzędzie do zadawania ran. Dla mnie to największa zdrada, jaką może popełnić rodzic wobec dziecka.

Rodzice porywający własne dzieci tłumaczą się najczęściej tym, że chcieli je chronić przed przemocą fizyczną lub molestowaniem seksualnym. W większości przypadków, z którymi miałem do czynienia, prawdziwym motywem działania była zemsta. Porwanie traktuje się zwykle jako sposób

na dotkliwe zranienie drugiego rodzica lub jego rodziny. A przecież to szczyt egoizmu! Niejednokrotnie zgłaszali się do mnie rodzice, którzy byli gotowi sownie zapłacić za odzyskanie dziecka, ale tak naprawdę chodziło im o rewanż. Nie szukali dzieci z miłości do nich, tylko z nienawiści do byłego partnera lub partnerki. Tego typu spraw nie przyjmowałem.

Każde porwanie pociąga za sobą stres i szkody psychiczne. Jako detektyw musiałem rozwiązywać problemy etyczne i dokładnie analizować, co tak naprawdę jest dla konkretnego dziecka najlepsze. Niektórzy rodzice myślą, że gdy porwają dziecko, uderzają w byłego partnera lub partnerkę, ale w rzeczywistości to ich dzieci cierpią najbardziej i najdłużej wychodzą potem z traumy.

Oczywiście porwanie jest z reguły dla rodziców ciosem w splot słoneczny. Osamotnieni, bardzo cierpią psychicznie, co często kończy się chorobami psychosomatycznymi. U niektórych stres i załamanie nerwowe skutkują problemami w pracy. Inne osoby zżera zgrzyzota i żal z powodu popełnionych lub domniemanych błędów. Są tacy, którzy twierdzą, że trauma będąca skutkiem porwania jest gorsza niż w przypadku śmierci dziecka, rodzi bowiem poczucie całkowitej bezradności i strach, co się dzieje z dzieckiem.

Jednak w każdym przypadku to dzieci, a nie dorośli, przechodzą prawdziwą gehennę. Początkowo, zaraz po porwaniu, są oszołomione, zdeorientowane i zawsze smutne. Potem trafiają do nowych szkół w obcych krajach i z reguły zaczynają się kłopoty z nauką. Stres zaburza koncentrację uwagi. Problemy pogłębia często słaba znajomość języka obcego, która uniemożliwia również znalezienie przyjaciół.

Blizny po burzliwym rozstaniu rodziców mogą pozostać w dzieciach do końca życia. Słyszałem o dziewięcioletnim chłopcu, który wrócił do kraju po dwóch latach spędzonych w Iraku i wpadł w skrajną depresję, przytłaczało go bowiem ogromne poczucie winy, ponieważ ojciec pozwolił wrócić do matki tylko jemu, ale jego siostrze już nie. Wiele lat później chłopiec wciąż obwiniał się o to, że nie wybłagał dla siostry wolności. To wpłynęło na jego osobowość. Inny maluch wskutek nieustannego stresu nabawił się poważnej choroby immunologicznej.

Szacuje się, że w samych Stanach Zjednoczonych co roku rodzice uprowadzają ponad trzysta tysięcy dzieci. To zatrważająca liczba, mimo to wiele przepisów dotyczących porwań zarówno w Australii, jak i w Stanach Zjednoczonych, nie jest wartych tuszu, który zmarnowano na ich napisanie. Ciekawe, jak szybko zmieniono by prawo, gdyby co roku ginęło w ten sposób zaledwie trzystu polityków lub szefów wielkich korporacji? O tym, że problem istnieje, świadczy fakt, iż amerykański departament stanu opublikował ponad stu-stronicowy poradnik wyjaśniający, jak radzić sobie w sytuacji porwania dziecka przez drugiego rodzica. W Australii średnio dwoje dzieci na tydzień uprowadza się do krajów, które honorują konwencję haską. Zapewne znacznie więcej nie ma tego szczęścia i trafia tam, gdzie nawet kobiety mają znacznie ograniczone prawa, nie mówiąc o dzieciach. Międzynarodowe konwencje - nawet jeśli rodzice i ich prawni przedstawiciele starali się wykorzystać najmniejsze luki w prawie - pomogły wielu dzieciom wrócić do prawowitych opiekunów, ale często jedynym sposobem na powrót dziecka do domu jest

wynajęcie człowieka, który pojedzie po nie do obcego kraju i je przywiezie, niejednokrotnie ryzykując nawet życiem.

Podczas ostatniej akcji, którą przeprowadziłem poza granicami Australii, wyjechałem do Japonii. Było to w 2004 roku. Niedawno znów planowałem wyjazd. Tym razem miałem pojechać do Korei Południowej. Na szczęście skłóceni rodzice w porę ochłonęli i wspólnie postanowili, że dziecko powinno mieszkać z matką. Na początku 2010 roku doradzałem właścicielowi greckiej restauracji w Sydney, jak odzyskać syna, którego matka wywiozła do dobrze mi znanej Polski. Kraj ten podpisał konwencję haską, więc sprawa toczy się na drodze sądowej. Ostateczny wyrok ma zapaść wkrótce.

Nie ruszając się z Brisbane, pomagałem też w poszukiwaniach pięcioletniego Andrew Thompsona. Interpol szukał chłopca w 187 krajach, co zapewne było największym w historii „polowaniem” na Australijczyka. Jego ojciec, Ken Thompson, przyleciał do mnie z Sydney. Pracował jako komendant straży pożarnej w Nowej Południowej Walii, ale był tak załamany zniknięciem żony i syna, że poprosił o bezterminowy urlop.

Ken był mężem Melindy, wykształconej pielęgniarki pracującej jako product manager w branży medycznej. Związek nie był udany i małżonkowie od dawna żyli w separacji. Sąd przyznał prawo do opieki nad synem Kenowi i wydawało się, że Melinda pogodziła się z tą decyzją. Dlatego Kenowi nie przyszło do głowy, że kobieta może zabrać ich syna i wyjechać z kraju w nieznane. A jednak! Melinda zrezygnowała z przepięknie umeblowanego domu, dobrego samochodu i świetnej

pracy, po czym razem z trzyletnim Andrew weszła, 24 kwietnia 2008 roku, na pokład samolotu singapurskich linii lotniczych lecącego do Niemiec i słuch o niej zaginęła. Mimo międzynarodowych poszukiwań policji nie udało się ustalić, dokąd się udała po opuszczeniu lotniska we Frankfurcie.

Ken powiedział mi dokładnie to samo, co już niejednokrotnie słyszałem od wielu innych rodziców, których poznałem od 1974 roku. Stres i zgryzota dławiły go przez całą dobę, dosłownie pożerały go od wewnątrz.

- Dopóki nie znajdziesz się w takiej sytuacji, nie masz pojęcia, jak bardzo boli bezradność - wyznał Ken. - Wychowałem się w szacunku do prawa i nigdy nie kwestionowałem zaleceń policji lub postanowień sądów. Melinda całkowicie zignorowała decyzję dotyczącą opieki nad naszym dzieckiem. Kiedy opuściła kraj, dowiedziałem się od mojego prawnika, że australijskie sądy są tolerancyjne wobec rodziców, którzy nie respektują ich decyzji. Kiedy zgłosiłem porwanie, policjanci powiedzieli mi, że nie widzą tu przestępstwa. Ich zdaniem wywiezieniem Andrew z Australii powinien się zająć sąd cywilny, ponieważ uprowadzenie własnego dziecka nie podlega pod kodeks karny. Zmuszenie ich do działania zajęło mi cały kwartał. Te trzy miesiące pozwoliły mojej żonie rozpocząć nowe życie w Niemczech. W Europie nie mająż właściwie kontroli na granicach, więc Melinda może swobodnie podróżować i niktjej nie zatrzyma.

Ken dodał, że obawia się nie tylko o swojego syna, ale również o żonę, której nietypowe zachowanie niepokoiło go już wiele miesięcy przed porwaniem. Z kolei dziennikarzom wyznał, że zgłosił się do mnie, ponieważ nikt inny nie mógł mu pomóc.

Ken Thompson był osobą dość skrytą i nie zamierzał informować mediów o swoich problemach rodzinnych, lecz w końcu uznał, że tylko nagłaśniając sprawę, zdoła odnaleźć Andrew. Liczył, że międzynarodowy rozgłos ożywi pamięć choćjednej osoby, która widziało jego żonę lub syna. Ten sam cel przyświecał mu, kiedy założył stronę internetową Find-andrew.com. Sąd rodzinny nakazał mu we wszystkich publikacjach dotyczących sprawy umieszczać ostrzeżenie, że nie wolno naruszyć wolności osobistej Melindy i Andrew, jedynie można poinformować władze o tym, gdzie się ich widziało.

Ken próbował nawiązać współpracę z instytucjami zajmującymi się przestrzeganiem konwencji haskiej, ale powiedziano mu, że najpierw musi ustalić, w jakim kraju przebywa jego syn. W chwili, gdy piszę te słowa, szukam dla niego pomocy u moich przyjaciół z Międzynarodowego Stowarzyszenia Detektywów. Podobno chłopca i jego matkę widziano w kawiarni w Niemczech. Trudno to potwierdzić, ponieważ lokalna policja niechętnie udziela informacji. Według innych świadków matka z synem wyprowadzili się do Wietnamu*.

Mam 67 lat. W ciągu ostatnich czterech dekad objechałem niemal cały świat. Posługiwałem się fałszywymi paszportami, wręczałem łapówki, a czasami sięgałem po broń. W końcu postanowiłem przejść na emeryturę i podarować sporą część mojego sprzętu nasłuchowego, aparatów fotograficznych i pamiątek detektywistycznych muzeum z San Diego. Może się to komuś przyda.

* W 2010 roku Andrew Thompson wrócił do ojca do Australii (przyp. red.)-

Czasami odzywają się do mnie dzieci, które zwróciłem rodzicom. Kiedy mi dziękują, że dałem im szansę na lepsze życie, czuję się naprawdę szczęśliwy. To najwspanialsza część mojej pracy. Niedawno czytałem wywiad z Andrew Abbottsfordem, którego przywiozłem w 1994 roku do Australii z Larnaki na Cyprze. Mówił, że kiedy jego mama opowiedziała mu o moich działaniach i poświęceniu, stałem się w jego oczach prawdziwym bohaterem. „Nie sądzę, żeby traktował to jak zwykłą pracę - przeczytałem o sobie w tym wywiadzie. - Wykonał kawał naprawdę dobrej roboty”. W 1992 roku dziewięcioletnia Jenny Wojtek gryzła mnie, kopała, draapała i krzyczała przerażona, kiedy próbowałem ją posadzić w samochodzie obok jej mamy. Ale potem - pamiętam to dokładnie - mocno się przytuliła do swojego siedmioletniego brata, który powitał ją na lotnisku w Brisbane. Chłopiec podbiegł do niej z bukietem kwiatów i australijską flagą, a dziewczynka rozpostarła ramiona i szeroko się uśmiechnęła. Wtedy zmieniła swój stosunek do mnie.

Oczywiście nie wszystkie moje sprawy dobrze się kończyły. Często wspominam Sarę Hassan, której mąż wypełnił cierpieniami jej krótkie i smutne życie, a także Svena Ullricha doprowadzonego do granic wytrzymałości psychicznej wskutek rozłąki z ukochanym synem.

Jedno wydaje mi się pewne. Dzieci rodzą się po to, by były kochane. To straszne, że czasami dorośli - przez egoizm, nieodpowiedzialność, chciwość bądź złośliwość - przysparzają im cierpienie lub wykorzystują, żeby zniszczyć i upokorzyć byłych współmałżonków. Na szczęście udało mi się naprawić niektóre błędy dorosłych.

Lubię myśleć, że ten biedny chłopak z australijskiej farmy, ciężko pracujący, ale słuchający rad swojego ojca, ten młodzieniec, który trwonił czas, wpatrując się godzinami w rozgwieżdżone niebo, został detektywem i pomógł kilku osobom. Największą satysfakcją w życiu jest dla mnie to, że stałem się kimś ważnym dla kilkorga dzieci i ich rodziców.